

**Jerzy Kierst**

# **Przygody detektywa Tutama**

## Tajemnica telefonicznej budki

### *(Pierwsza przygoda detektywa Tutama)*

Feliks Tutam to nie jest nazwisko prawdziwe. Nie. To pseudonim. Dlaczego taki? Na to pytanie sam dał taką odpowiedź:

- Feliks to inaczej Szczęsny. Czyli ten, któremu się szczęści. A mnie powodzi się nie najgorzej. Tutam to dwa przysłowki złączone w jeden wyraz - tu i tam. Czyli że jestem wszędzie. I tu, i tam. Feliks Tutam do waszych usług.

Specjalnością Feliksa Tutama jest wykrywanie tego, co ukryte i co „zmalowane”. Ale nie takie tam wielkie afery wielkich aferzystów. Nie. Jego specjalność to sprawy i sprawki mniejsze małych łapserdaków i kombinatorów. Tych, którzy mają w sobie zadatki na wielkich. Nie brak ich w każdej szkole - czy to na wsi, czy to w mieście. Nie wiadomo, kto stłukł latarnię, nie wiadomo, kto wyłamał wycieraczki w samochodzie, kto przewrócił ławkę w parku... Otóż ci niewiadomi sprawcy to właśnie „klienci” Feliksa Tutama. Wyłapuje on ich jak pchły walcząc z nimi ich bronią, to znaczy kawałami. Dowcip na dowcip. Jak to wygląda w praktyce detektywa, zaraz zobaczycie. Tajemnica telefonicznej budki. Historia ta zdarzyła się nie tak dawno temu. Była nawet o niej wzmianka w prasie.

W pewnym dużym mieście na rogu ulicy Traugutta i Poczobutta stała budka telefoniczna. Ze wszystkich stron była oszklona jak latarnia morska, w środku - aparat do rozmów i łykania monet, pochyły pulpit i książka abonentów na łańcuchu. Wygląd budki nie świadczył najlepiej o mieszkańcach dzielnicy. Aparat raz łączył, raz nie, bo każdy walił w niego pięścią, gdy po nieudanym połączeniu pięćdziesięciogroszówka nie chciała wypaść z automatu. Ale budka i tak miała powodzenie. Ludzie często stali w ogonku rzucając niecierpliwie spojrzenia na gadającego w szklanym zamknięciu. Gdy godzina szczytu mijała, ogonek znikał. Wtedy zaczynali wkoło niej krążyć mali kombinatorzy. No bo taki automat telefoniczny to przecież coś jest! Ma w środku stosy pięćdziesięciogroszówek, za które - o ile dałoby się je wydłubać - można by kupić bilet do kina. No więc szły w ruch różne druty i dłutka. Okropność!

Ta budka stała się punktem centralnym sprawy, którą detektyw Tutam tak znakomicie załatwił.

Głównymi jej motorami byli dwaj czołowi kombinatorzy i figlarze dzielnicy: Julek i Elek.

Razu pewnego plądrując po zapleczu budki taką prowadzili rozmowę, którą rozpoczął Julek.

- Ty, Elek! Wiesz co?

- No?
- Mam fajowy pomysł.
- Z czym?
- Z budką telefoniczną.
- Pięćdziesięciogroszówki?
- Coś ty! Nie jestem złodziejem automatowym.
- Myślałem, że pójdziemy do kina...
- Nie o forszę mi chodzi tylko o wyczyn. Kapujesz?
- Szkoda, ale gadaj, coś zaplanował.

Julek i Elek pogadali, pochichotali i poszli prędko do garażu, w którym stał samochód ojca Elka. Wisiało tam na gwoździu stare ubranie, które ojciec Elka wkładał, gdy dłubał w samochodzie, a przed garażem leżały stare słomiane maty - pozostałość po zimowej budowie. Rozpoczęło się wypychanie ubrania słomą. Powstała w ten sposób kukła... ale bez głowy.

- Klops. Jeździec bez głowy... - zmartwił się Julek.

- Żaden klops! - zaśmiał się Elek. - Mam w domu karnawałową maskę z czerwonym nochem. Głowę mu się zrobi z damskiej pończochy. Przyniosę.

- No to gnaj! I przynieś jakieś stare kapello! Ja tymczasem skończę go wypychać.

Elek wkrótce wrócił z maską, pończochą i starym kapeluszem. Kukła otrzymała główkę jak makówkę.

- Trzeba mu okręcić szal dookoła szyi i zasłonić potylicę, bo słomę ma w głowie - stwierdził Julek.

- Dobra. Masz. Zrób szal z tej ścierki. Fajowo! Ale z ciebie artysta!

- Jeszcze mu brak jednego ważnego detalu.

- Jakiego?

- Ręki, a właściwie dłoni. Rękawica by się przydała.

- Jest! Wymazana smarami, ale jest.

- Dawaj!

Po chwili ręka była gotowa. Przymocowali ją drutem wewnątrz rękawa.

- Fajnie. Jak żywy! - Ucieszył się Julek. - Teraz najważniejsza rzecz transport.

- No!

- To trzeba będzie zrobić wieczorem. Żeby nikt nie widział.

- Zwłaszcza Leszek!

- Uch! Ta harcerska chodząca doskonałość! Nuda i flaki z olejem.

- Nie takie znów flaki z olejem. Ma swój polot.

- Jak kura!
- Kura nie kura, ale oko ma bystre. Musimy się doczekać wieczoru.
- Jasne. Spotykamy się o ósmej.
- Naszego wypchanego przykryję brezentem, żeby czasem...

Gdy się ściemniło, gdy zapaliły się latarnie i pierwsze gwiazdy, zza rogu wysunęli nosy rozrabiacze. Było ich trzech: Julek, Elek i ten trzeci wypchany z czerwonym nosem. Stał oparty o mur jak prawdziwy pijak. W pewnym momencie, gdy koło budki nie było nikogo, Julek i Elek chwycili kukłę pod pachy i powlekli do środka. Udało się. Ulica była w tym momencie pusta. Latarnię prawie całkowicie przesłaniał gałęzisty jesion. Było ciemnowo.

- Byczo jest. Dawaj go!
- O rety! Nikt nie widział.
- Oprzemy go łokciem o pulpit. Tak... Słuchawka w łapę. Trzeba przywiązać... Wiąż!
- Już. Postawię mu kołnierz od marynarki, bo słoma mu sterczy.
- Popraw mu szalik i kapello.
- Żeby się nam nie przewrócił...
- Ale fajny!
- Zamykamy go i chodu za parkan!
- Genialny!
- Rozmówca uniwersalny!
- Ale heca! Tego jeszcze nie było! Ale może być z tego piwo.
- Nic się nie bój. Nikt się nie dowie, że to my. Skok! Ktoś idzie.

Julek i Elek przycupnęli za płotem odgradzającym plac pobliskiej budowy od ulicy. Przez dziury w zbitych na krzyż łątach obserwowali budkę.

Najpierw przyszła jakaś starsza zafrasowana pani z wyładowaną siatką. Przeszła obojętnie, nie widząc budki. Potem przeszła jakaś para trzymając się za ręce. Potem... Zaczęło się! Szybkim krokiem podszedł do budki jakiś pan ostrzyżony na jeża i zatrzymał się przed drzwiami spostrzegłszy, że ktoś rozmawia przez telefon. Po chwili za panem uczesany na jeża przystanęła dziewczyna uczesana w „koński ogon”. Po następnej chwili za „końskim ogonem” zjawił się pan z teczką. Za nim pani z pudłem na smyczy. Po następnej chwili dołączył do ogonka pan w nieprzemakalnym płaszczu. Za nim dwie rozgadane damy. Za damami - Leszek, harcerzyk bystry i wesoły. A za Leszkiem sto innych osób. Ogonek zmienił się w ogon. Po chwili pojawiły się pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

- Pan ostrzyżony na jeża zastukał pięćdziesięciogroszówką w szybę.
- Proszę kończyć. - Przemówił jak dziad do obrazu.

- Ale się rozgadał... - westchnęła dziewczyna uczesana w „koński ogon”.

- Niech pan mocniej zastuka - powiedział Leszek. - Przecież regulaminowo można rozmawiać tylko dwie minuty.

- Cicho, Bambo. Ciicho - uspokajała zniecierpliwiona pani swego zniecierpliwionego pudełka. - Ten pan zaraz skończy.

- To jest postępowanie wybitnie antyspołeczne - dorzucił z oburzeniem pan z teczką.

- To okropne, proszę pani! Jak tak można, proszę pani! Ten pan myśli, proszę pani, że telefon jest tylko dla niego. Proszę pani!

- Właśnie, proszę pani. Żeby taki ktoś z czerwonym nosem, proszę pani...

- Trzeba interweniować energicznie - doradzał pan w płaszczu.

- On stoi jak posąg, a mnie... mnie prywatka przepadnie... Och! - załkała dziewczyna uczesana w „koński ogon”.

- Mnie ziemia pali się pod nogami. Sprawa bardzo poważna. Państwo rozumieją, doktor do chorej...

- Boże, Boże! Ja mam dzwonić do weterynarza - lamentowała pani z pudłem. - Jak teraz nie zadzwonię, wszystko przepadnie. Bambusia boli gardło.

- Stoi i gada. Przecież to coś okropnego, proszę pani. Muszę zamówić sobie fryzjera, proszę pani...

- No właśnie, proszę pani. Ja krawcową, proszę pani...

- On stoi jak martwy - skonstatował pan w nieprzemakalnym płaszczu.

- Skamieniał - stwierdził pan uczesany na jeża.

- Ja go przebudzę - oświadczył energicznie Leszek i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi telefonicznej budki. - Proszę kończyć. Czeka sto pięćdziesiąt osób.

Człowiek w budce nawet nie drgnął.

- Co to? Ja się boję... - jęknął „koński ogon”.

- Proszę pana, to naprawdę nie po oby... Co to?

- Ludzie! To zawał! Ratunku!!

- Gdzie zawał, proszę pani? Jaki zawał, proszę pani?

- Ha, ha, ha, ha! To nie zawał, tylko kawał! - zawołał w nagłym olśnieniu Leszek. - To jest, proszę państwa, człowiek wypchany. Ha, ha, ha!

Zapanowała ogólna konsternacja, a potem zawrzało.

- To kukła! Słomiana kukła! - wołał pan w płaszczu.

- Ale ktoś z nas zrobił balona! - zawołał pan z teczką.

- Sto pięćdziesiąt balonów, proszę pana! Ha, ha, ha! Wspaniałe! - wołał rozbawiony

Leszek.

- Nic w tym nie ma wspaniałego. Prawda, proszę pani? Trzeba wezwać milicję.

Miliicja!

- Natychmiast, proszę pani! Milicjaa!

Obserwującym tę scenę zza płotu Elkowi i Julkowi nogi ze strachu wrosły w ziemię, a włosy uniosły się do nieba.

W tym właśnie momencie w akcję włączył się detektyw Tutam. Szedł sobie ulicą Traugutta i miał skręcić w Poczobutta, gdy spostrzegł ten wzburzony ogonek. Cała jego detektywistyczna natura zmobilizowała się do akcji. Należało przecież wykryć sprawców tego zamieszania.

- Proszę państwa - powiedział - dobry żart tynfa wart. Niech państwo przejdą do drugiej budki telefonicznej, a ja się zajmę tą kukłą. Jestem Feliks Tutam, detektyw, do państwa usług. Chwileczkę. Potrzebny mi będzie ktoś do pomocy. Kto z państwa zechce?

- Ja - odpowiedział bez wahania Leszek.

- Świetnie. Chodź. Musimy się zastanowić, jak wykryć tego urwipółcia czy urwipółciów, co wymyślili i wstawili tę kukłę.

- To nie będzie łatwe.

- Rzeczy łatwe są nieciekawe.

- Oczywiście. Cieszę się, że pan chce ze mną współpracować. To zaszczyt dla mnie.

- Jesteś bardzo elegancki.

- To nie elegancja. To szczerłość. Bo my, harcerze...

- Jesteś harcerzem? To doskonale! Harcerz i detektyw to dobra para.

To powiedziawszy Tutam objął Leszka po przyjacielsku. Odeszli w mrok ulicy Poczobutta.

Julek i Elek krążyli w pobliżu. Duszę mieli na ramieniu. Zastanawiali się za płotem, co robić dalej. Ze strachu potracili głowy. Przestali obserwować budkę, zaszyli się głęboko w krzaki i czekali nie wiadomo na co. Wreszcie Julek nie wytrzymał. Wyrzał zza krzaka.

- Julek! Co ty robisz? Nie wychylaj się! - Złapał go za kurtkę Elek. - Przecież oni tu mogą być w pobliżu. Ten detektyw i Leszek.

- Nie ma nikogo. Poszli. Kukła stoi w budce jak stała. Musimy ją przetransportować do garażu.

- Dobrze by było, bo to ubranie... Może się wydać, że to moje, a raczej mojego taty. Ale, uważasz, mam pietra...

- E, tam! Nie ma nikogo... Taksówka przejechała. Zobacz!

- Taki szum podnieśli, a kukłę zostawili...
- Klawo jest. Siup!
- Siup! Czekaj! Ktoś idzie... Skręcił w Poczobutta...
- Teraz! Skok do budy, manekina pod pachy - i noga! Skoook! Bierz go!

Podbiegli do budki telefonicznej, otworzyli drzwi i... w tym momencie stała się rzecz niezwykła. Sensacyjna! Kukła ożyła. Wyskoczyła z budki, jedną ręką chwyciła za kołnierz Julka, drugą Elka, potem wepchnęła ich obydwu do środka i zatrzasnęła drzwi. Potem jednym ruchem ręki zdjęła z głowy kapelusz, a z twarzy maskę karnawałową z czerwonym nochalem. Oczom przerażonych rozrabiaczy ukazał się detektyw Feliks Tutam. To on czekał w telefonicznej budce w tym przebraniu na Julka i Elka, którzy wpakowali się do pułapki jak myszy. Detektyw zatrzasnął drzwi, a Leszek obwiązał budkę sznurem i zawiązał na marynarski węzeł. Sprawcy zostali ujęci.

Cała ta historia w gruncie rzeczy byłaby tylko świetnym kawałem, gdyby nie sprawa pana z parasolem, który nie dodzwonił się w czas do lekarza, a ktoś chory bardzo z tego powodu ucierpiał. Nieprzyjemne porachunki z Julkiem i Elkiem załatwili ich rodzice i wychowawcy, ale to już nie była sprawa detektywa Feliksa Tutama.

### **Król grzybowy**

#### ***(Druga przygoda detektywa Tutama)***

Chociaż dopiero zaczynamy marzyć o prawdziwej wiośnie, a wakacje to sprawa jeszcze bardzo daleka, warto chyba zaznajomić się z pewną wakacyjną historią, w której uczestniczył jako detektyw Feliks Tutam. Otóż spędzał on ostatnie wakacje w pewnej uroczej leśniczówce, położonej w sercu puszczy Augustowskiej. Swój różowy namiocik rozbił w pobliżu owej leśniczówki - tak że gdy chciał, mógł się włączać w sprawy jej mieszkańców i gdy chciał, mógł się z nich wyłączać. Leśniczy był jego długoletnim przyjacielem. Był to wspaniały człowiek, miał w swoim lesie tysiące drzew, a wiedział o ich każdej gałązce. Tu jemiała, tu szczeliniak - szkodnik uparty, tu to, tam owo. Dziecioł pstry, nie pstry, kukułka, jaszczurka, wiewiórka - wszystko miał w małym palcu. Był duży, silny, opalony i mówił grubym głosem. Serce miał gołębie, a skory był do śmiechu jak swawolny chłopiec.

Do tej leśniczówki i do tego leśniczego zjeżdżali się na lato jego znajomi i przyjaciele. Podczas tych właśnie wakacji znalazła się tam również trójka bohaterów historii, której akcja zaraz się rozwinie. Była tu Basia, dziewczynka ze staromodnymi warkoczykami i kokardkami, choć pełna nowoczesnej energii - żywe sreberko i żywe utrapienie rodziców. Był też Adaś - chłopczyk „równy”, a co najważniejsze, najmniejszy i najmłodszy z całej trójki. I był Czesiek „sportowiec - wdechowiec” w nieodstępnej dżokejce na głowie.

Pewnego sierpniowego dnia pan Leśniczy tak zagrział potężnym basem do swoich małych domowników:

- Ha, ha, ha! Tak chodźcie na te grzyby i chodźcie, ale do stu tysięcy żubrów, nie wiadomo, kto z was jest grzybowym królem!

- Ja nasuszyłam najwięcej grzybów! Oni się mogą schować! - zawołała chełpliwie Basia.

- A widziałaś moje wianki i patyki? - zaprotestował Czesiek.

- A moje widzieliście? - wtrącił swoje Adaś.

- Ty się w ogóle nie liczysz - zakpiła Basia.

A Czesiek dołożył:

- Ty jesteś za mały nawet na mysiego królika, a chcesz być grzybowym królem. Ha, ha!

- Nie kłóćcie się, do stu tysięcy żubrów! - odezwał się grzmiącym głosem Leśniczy. - Kto jest królem, okaże się jutro. Jak się jest w leśniczówce, trzeba słuchać leśniczego. Otóż moi drodzy, jutro będzie tak: pobudka o godzinie szóstej, śniadanie i natychmiast wyjazd na rowerach na grzyby. Do tego lasu za trzecim jeziorem. Wiecie. Tam przecież najwięcej prawdziwków. W konkursie liczą się tylko prawdziwki. Powrót na godzinę dziesiątą. Kto się spóźni, odpada, do stu tysięcy żubrów. A kto przywiezie najwięcej prawdziwków, będzie grzybowym królem. Ha, ha, ha! I tytuł ten będzie mu przysługiwał przez okrągły rok aż do nowego konkursowego grzybobrania. Do stu tysięcy borowików... żubrów chciałem powiedzieć.

- Hurra! Fajnie! - wykrzyknęła cała trójka.

- Ja będę. tą królową borowikową, proszę pana - oświadczyła Basia.

- Ty będziesz królowa z Pacanowa - szydził Czesiek.

- Znowu się kłóćcie? - zagrział Leśniczy. - Do stu tysięcy żubrów! W leśniczówce nie wolno się kłócić. Niezależnie od tytułu króla ustanawia się trzy pamiątkowe nagrody: pierwsza - rozek koziołka, druga - sęk w kształcie diabła Boruty i trzecia - pióro kraski. Do stu...

- Fajowo!

- Jutro raniutko pobudka. A nie zapomnijcie scyzoryków, żebyście mi grzybni nie niszczyli!

Następnego dnia pogoda była przepiękna. Detektyw Tutam uchylił rąbka swego różowego namiotu i oddychał w zachwyceniu. Obłoczki płynęły jak kaczuski, drzewa jeszcze spały i tylko wzdychały przez sen, pajęczyny srebrzyły się jak pogubione gwiazdy.



W pewnej chwili zagrzmiało:

- Pobudka! Wstawać, do stu tysięcy kaczek!!

Wkrótce z leśniczówki wyjechały trzy rowerowe sylwetki. Basia, Czesiek i Adaś jechali leśną drogą na konkursowe grzybobranie. Przed siódmą byli na miejscu. Z jednej strony drogi wznosił się gęsty młodziak, pełen grzybów, z drugiej - starolas podniebny, ale niegrzybowy. Wzdłuż rowu rosły po tamtej stronie drogi koleczaste fortyfikacje jeżyn.

- No, to jesteśmy - powiedział zsiadając z roweru Adaś. Dochodzi siódma. Uregulujmy zegarki.

- Rowery trzeba dobrze schować - przypomniał Czesiek. - Ale ja pojedę jeszcze trochę dalej. Nie będziemy przecież deptać sobie po piętach.

- Właśnie. Musimy się rozejść - dodała Basia. - A po robocie wracamy do leśniczówki na swoją rękę.

- I nogę. Dobra. Cześć! - zawołał odjeżdżając Czesiek.

- Cześć! - zawołał Adaś i odjechał również.

Basia schowała rower w kępie małych choinek rosnących naprzeciw telegraficznego słupa. Zapamiętała jego numer: 125. I poszła w las. Niedaleko od słupa ulokował swój rower Czesiek. Przyjrzał się uważnie rosnącej w pobliżu podwójnej sośnie. I poszedł w las. Adaś znalazł kryjówkę dla swego roweru o sto metrów od Cześka, we wrzosach wysokich w tym miejscu do kolan. Niedaleko stał w tym miejscu drogowskaz. I poszedł w las.

Rozpoczęło się grzybobranie. Tym razem nie takie tam sobie zwyczajne. Konkursowe! Podwajało to emocję. Basia, Czesiek i Adaś - każdy swoją trasą - szli w skupieniu i wyczekiwaniu. Basi towarzyszyła wiewiórka.

- Mogłabyś, ruda bestio, zamiast wieszać się po tych czubach pomóc mi w szukaniu borowików. Ja muszę zostać królową! Słyszysz? Muszę! Powinnam już mieć dobry początek, a tu figa z makiem. Jest!! E... Do niczego. Stary, robaczywy kapeć...

Czesiek podobny dialog prowadził z dzięciołem.

- Ej, ty tam! Czego rąbiesz sosnę? Nie widzisz czasem, panie kowalu, borowika? Dziękuję. Jeest! O do licha! Zapomniałem noża. Muszę cię, grzybku, wyrwać razem z grzybnią... Trudno się mówi. Śliczny. Dziękuję ci, panie kowalu.

Partnerem Adasia był ślimak.

- Cześć, panie „pośpieszny”! Ślimak, ślimak wystaw rogi! Wystaw grzyby. Ha, ha! O! Jest! I drugi. Bliźniaki. Wspaniale! Więcej takich par, a zostanę królem.

Czas płynął. Po godzinie zbierania Basia natknęła się w lesie na Cześka.

- No, co? Jak ci idzie? - zapytała ponuro.

- Nie mogę narzekać.
- Ile masz?
- Będzie pół setki.
- Co?! - wykrzyknęła przerażona Basia.
- Pół setki, mówię. A ty, ile masz?
- Dwadzieścia...
- No, widzisz. Mówiłem, żeś królowa z Pacanowa. Staraj się!

Czas mijał. Wkrótce potem Adaś natknął się na Basie.

- No, jak ci idzie? - zapytała Basia bardzo niespokojnie.
- Słabowało. Ale tu tak ślicznie...
- Ile masz?
- Może będzie dwadzieścia.
- To ja mam więcej!

- Trudno. Będziesz królową. Ale jeszcze nie wieczór.

Czas mijał. Napięcie rosło. Nad Basią znów zaszeleściła wiewiórka.

- Oj, wiewioro, wiewioro! Tańczysz sobie, kiedy ja... O! Znów zwiędły liść, a nie grzyb.

Nad Cześkiem zastukał dzięcioł.

- Cześć, panie kowalu! Już mi starczy tego, co uciulałem. Idę do chaty. Ta królowa z Pacanowa, żeby pękała, to tyle nie uzbiera.

Na drodze Adasia załśnił w słońcu ślimak.

- Dziękuję ci ślimaku. Pracowałeś ze mną uczciwie. Masz, dam ci za to sera na pierogi. Masz...

Była za kwadrans dziewiąta, Basia rzuciła patykiem w wiewiórkę i wyszła na drogę. Rozejrzała się. Odnalazła słup numer 125. Wkrótce potem jechała na rowerze do leśniczówki. Była niespokojna i wściekła. Wprawdzie miała w chlebaku 43 borowiki, ale przecież Czesiek godzinę temu miał pół setki. Las wydawał jej się ponury i wrogi.

Przed samą dziewiątą pojawił się na drodze Adaś, odnalazł drogowskaz i rower. Wsiadł i pojechał. Punkt o dziewiątej wyszedł z lasu Czesiek...

A tymczasem w leśniczówce czekał już na zawodników pan Leśniczy.

- A do stu tysięcy żubrów! - mruczał pod nosem. - Już powinni być. Dziesiąta dochodzi... O! Jest Basia!

Rzeczywiście. Pierwsza pojawiła się Basia. Zeskoczyła z roweru.

- No, jak tam? Ile masz grzybów, do stu...

- Czterdzieści trzy - odpowiedziała Basia.

- Może to i wystarczy na królewską koronę. Zobaczymy. A nogę, gdzie tak zadrapałaś, do stu tysięcy zębów?

- Nogę? Nawet nie poczułam... O jakiś badył...

Wkrótce nadjechał Adaś.

- Do stu tysięcy zębów, jak tam?

- Na piórko kraski wystarczy - odrzekł z uśmiechem Adaś.

- Ile masz? - dopytywała się Basia.

- Okrągłutkie czterdzieści.

- A ja mam czterdzieści trzy. Aha! Ja więcej. Ja będę królową! Ja. Która godzina?

- Za trzy minuty dziesiąta. O, do stu... Jeżeli Czesiek nie zjawi się natychmiast, przepadnie.

- Dziesiąta. Hip - hip - hurra! - zawołała podskakując Basia. Nie ma Czeška. Ja jestem królową!

- Do stu tysięcy zębów! Dlaczego on się spóźnił? Zabłądził czy co? Z uroczystością koronacji poczekamy do powrotu Czeška.

Czekali jeszcze pół godziny. O wpół do jedenastej zjawił się Czesiek. Piechotą. Biegł. Był zziębnięty jak wyżeł. Zgubił gdzieś swoją dzokejkę.

- Co się stało, do stu...

- Rower mi ukradli! - zawołał łapiąc oddech Czesiek.

- Co takiego? Do stu tysięcy zębów! To niemożliwe. Tu nie ma złodziei. A ile masz grzybów?

- Sześć... sześćdziesiąt trzy!

- Ale królową jestem ja! - zawołała z zawziętością Basia. - Ja. Bo on się spóźnił.

- Odkładamy na razie sprawę koronacji, do stu tysięcy zębów!

- Nie! Ja się nie zgadzam! - wybuchła Basia. - Ja wiem. On kłamie, że mu ten rower ukradli. On tak gada, bo dłużej przez to mógł siedzieć w lesie i więcej grzybów nazbierać. Ja go znam. Chodźmy do lasu. Rower na pewno się znajdzie.

Tę scenę obserwował, i to bacznie, ze swego namiotu detektyw Tutam. I w tej właśnie chwili zbliżył się do Leśniczego.

- Przepraszam pana - powiedział - to jest sytuacja, w której muszę interweniować. Feliks Tutam, detektyw, do pana dyspozycji. Słyszę, że temu chłopcu skradziono rower. Chciałbym wam pomóc w wykryciu złoczyńcy. Myślę, panie Leśniczy, że skorzysta pan z moich usług?

- No, naturalnie. Do stu tysięcy żubrów! Rób pan, co chcesz, żeby złapać złodzieja.

- Dziękuję. Wsiadamy wobec tego wszyscy, jak tu stoimy, do pańskiego samochodu i jedziemy na miejsce wypadku. Chwileczkę jeszcze. Muszę dokładnie obejrzyć grzyby... Tak, grzyby Basi, Adasia i Czeška...

Detektyw dłuższą chwilę przypatrywał się kolejno zbiorom.

- To są grzyby Czeška?

- Tak.

- Weźmiemy je ze sobą. Będą nam potrzebne. Teraz wsiadamy i jedziemy.

- Jedziemy, do stu tysięcy żubrów!

Pan Leśniczy jechał z fantazją i rumorem. Wkrótce samochód zatrzymał się w grzybowym miejscu.

- To tu, prawda? - powiedział rozglądając się Feliks Tutam.

- Tak - odpowiedziała chórem cała trójka.

- Tu jest podwójna sosna. A tam krzyż. A tam słup telegraficzny nr 125.

- Grzyby zbieraliście w tym młodniaku? Po prawej stronie drogi?

- Tak.

- I rowery chowaliście z tej strony?

- Tak. Z tej.

- A na drugą stronę drogi nikt nie przechodził, tam, w te jeżyny?

- Nie. Tam nie ma grzybów - powiedział Adaś.

- No, tak. Ale mimo to pójdziemy tam, bo tam pewno...

- Co to? Do stu tysięcy żubrów! - wykrzyknął nagle Leśniczy. - Co tam się bieli w tych jeżynach? To przecież nie motyl. Biała kokarda... Basiu! Zgubiłaś, do stu...

- Ano właśnie - powiedział Tutam poprawiając okulary. - Niestety, spodziewałem się tego. A skoro jest kokarda, to pewno znajdzie się i rower.

- Jest!! - wrzasnął na cały las Czesiek. - Jest!

Jak pragnę... Pan to jest jasnowidz. Leży tu w jeżynach. Skąd on się tu wziął?

- Właśnie. Skąd? - mówił Tutam świdrując Basię oczami.

- Basiu, czy nie masz na ten temat nic do powiedzenia?

- O kokardzie? Zgubiłam ją gdzieś, a wiatr pewno zwiął ją w te jeżyny...

- I również pewno wiatr przewiał tu rower spod podwójnej sosny, prawda? A te szramy na twoich łydkach od czego? Od liści, czy od jeżynowych kolców?

- To wcale nie ja... Co pan ode mnie chce? To nie ja - próbowała Basia wykręcić się kłamstwem. Zapanowała nieznośna cisza. Można powiedzieć, że czarna chmura nadciągnęła

nad pogodny las. Ciszę tę przerwał Leśniczy:

- Uszom własnym i oczom nie wierzę. To ty, Basiu, takimi drogami szłaś do korony? Schowałaś Cześkowi rower, żeby się spóźnił, a potem mówiłaś, że sam go schował?

- Uch, ty królowa z Pacanowa! - z pogardą wycedził Czesiek.

- Ogłaszam całkowitą dyskwalifikację Basi - ciągnął wzburzony Leśniczy. - Królem, rzecz jasna, zostaje Czesiek. Pobił rywali o dwadzieścia grzybów, do stu tysięcy żubrów!

- Przepraszam bardzo, szanowny i drogi panie Leśniczy - przerwał mu Tutam. - Niestety, moja interwencja nie jest jeszcze skończona.

- A co pan tam jeszcze wynalazł, do stu tysięcy dębów?!

- Jest mi ogromnie przykro... ale muszę zakwestionować to, co pan przed chwilą powiedział na temat nominacji króla grzybowego. Chodzi mi o Cześka.

- A bo co? - odezwał się arogancko i niespokojnie Czesiek.

- Zachowuj się kulturalnie. Odpowiedz mi na dwa pytania. Oto pierwsze: czy na dzisiejszej wyprawie miałeś ze sobą nóż?

- Nóż? Nie... To jest...

- Więc nie - ciągnął z lodowatym spokojem Tu-tam. - W takim razie odpowiedz mi na drugie pytanie: jakim sposobem większość twoich grzybów ma starannie ostrugane nogi, co świadczy o użyciu noża?

- Ja... tego... pożyczyłem od takiego, co zbierał...

- No, to jeszcze jedno pytanie. Co możesz powiedzieć o swojej czapce dżokejce, której jak dotychczas nigdy nie zdejmowałeś z głowy, nawet przy jedzeniu. Gdzie ona jest?

Pan Leśniczy, Adaś i Basia z coraz większą uwagą śledzili przebieg rozmowy. Leśniczy wybuchnął:

- O co tu chodzi? Do stu tysięcy żubrów?

Tutam wyciągnął z kieszeni czapkę Cześka.

- Widzisz - rzekł do Cześka - jest w moich rękach. A teraz mów.

- Skąd... pan ją... ma? Ja się pana boję. Pan wszystko wie.

- Mów.

- Mnie... ja... bo... - zaczął się krztusić Czesiek - Mnie kiepsko szło zbieranie... to... to... jak zem spotkał w lesie takiego jednego małego, co zbierał grzyby i miał pełen koszyk... to mówię do niego: - Daj mi te grzyby, a ja ci dam moją... no, moją czapkę... Dał mi te grzyby, a ja jemu czapkę...

- I to właśnie te grzyby miały nogi starannie poobcinane?

- Tak...

- A ile ich było?

- Czterdzieści pięć...

- Czyli sam znalazłeś szesnaście. I to jest - Tutam zwrócił się do Leśniczego - pański król.

Po raz drugi zapanowała nieznośna cisza. Jeszcze nieznośniejsza niż pierwsza. Po długim milczeniu odezwał się Leśniczy, ale jego głos tym razem brzmiał jak pęknięty dzwon.

- A do stu tysięcy... To ja wam w mojej leśniczówce wszystko, co tylko jest najlepszego... A wy, co wy jesteście za jedni? Tu u mnie tak nie wolno. I nigdzie tak nie wolno. Oszuści. Nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

- Drogi panie Leśniczy - przemówił Tutam. - Niech się pan nie rozząła. Przecież jest w tej trójce chłopiec, który od początku szedł prostą drogą. Adaś...

- Tak. Ma pan rację. Dziękuję ci, Adasiu. Daj! Niech uścisknę ci prawicę. Ty jesteś prawdziwy król. Do stu tysięcy...

Adaś uśmiechnął się i powiedział skromnie:

- Chyba nie, proszę pana. Jestem najzwyczajniejszym chłopcem. A poza tym nie miałem konkurencji... Nie wiadomo, co jestem wart...

Trudno powiedzieć, z jak ciężkimi sercami wracali wszyscy do leśniczówki. Dziw, że pod tym ciężarem samochód pana Leśniczego nie rozpadł się na części. Było pochmurno jak w listopadzie.

Ale następnego dnia rano Basia i Czesiek przyszli do pana Leśniczego i tak powiedzieli:

- Nasz drogi panie Leśniczy! Oświadczamy wobec wszystkich wiewiórek i przepiórek, że postępowaliśmy wczoraj beznadziejnie głupio, że jest nam okropnie wstyd. Przepraszamy pana i wszystkie dzięcioły i kwiczoły, i szczypawki... szczupaki, chcieliśmy powiedzieć. Niech nam pan daruje...

Leśniczy patrzył na nich i drapał się za uchem: - A do... stu tysięcy bobrów, borsuków i żubrów!

Nietrudno się domyślić, że Leśniczy, człowiek gołębiego serca, z życzliwością przyjął te przeprosiny, bo słusznie chyba wyczuł, że na Basi i Czešku pękła skorupa egoizmu, a to znaczy... Wiadomo, co to znaczy.

Tak to detektyw Feliks Tutam załatwił tę grzybową sprawę. Ale miał swoją drogą detektywistyczne szczęście, że spotkał w lesie tego chłopca, który za czapkę oddał Cześkowi swoje grzyby.

**Kłódka**

### *(Trzecia przygoda detektywa Tutama)*

Pewnego słonecznego dnia pan Grzegorz Smętny, skrzypek miejscowej orkiestry i przyjaciel detektywa Tutama, zawiadomił swego znakomitego przyjaciela, że w domu, w którym mieszka, zdarzyło się coś, co go jako detektywa z pewnością zainteresuje. Ponieważ pan Smętny był człowiekiem bardzo odpowiedzialnym, detektyw Tutam natychmiast udał się do niego.

Okazało się, że chodziło o wrzask, przeszkadzający panu Smętnemu w muzykowaniu i o... huśtawkę. Sprawa na pozór niewinna, ale...

Dom, w którym mieszkał pan Smętny, wznosił swoją pięciopiętrową oficynę przy uliczce dość porządnej, ale bardzo wąskiej. W domu tym mieszkało mnóstwo dzieci, które nie miały się gdzie bawić. Wiadomo, że „dwa ognie” na jezdni to sprawa niebezpieczna i surowo zakazana, że „klasy” na wąskim chodniku, gdzie wciąż ktoś przechodzi, to nic przyjemnego, że skakanka to rzecz dobra dla małych dziewczynek. A w dodatku ciągle pretensje o krzyk. Raz po raz w którymś z okien ukazywała się jakaś ponura twarz wołająca: Ciszej tam!!

Na szczęście jednak dla małych mieszkańców tego dużego domu sprawą dzieci i zabawy zajął się Komitet Blokowy. Wymyślił on rzecz wspaniałą: wygospodarował kawałek placyku na tyłach kamienicy, która „plecami” wychodziła na skarpę i zieleń pokrywającą zbocze, i przeznaczył go dla dzieci. Wspaniałe zarządzenie! „Dwa ognie” przeniosły się z uliczki na ten placyk. Ucichło od frontu, krzyk przeniósł się na zaplecze. Teraz z drugiej strony zaczęły się pojawiać wściekle twarze, wołające: Ciszej tam! Ale kogo by teraz te uwagi mogły obchodzić, skoro sam Komitet zezwolił na harce! Kochany Komitet, bo nie dość na tym, że przydzielił ten placyk dzieciom, ale w dodatku ustawił na nim najprawdziwszą w świecie huśtawkę! Co prawda jedna huśtawka to było trochę za mało, bo dzieci było dużo, a ona jedna - ale zawsze...

Najodważniej, bo na stojąco, i najwyżej, bo aż pod niebo, huśtał się Sławek, chłopiec zręczny jak sprężyna, o niezłej sobie wadze, ale i mięśniach jak się patrzy. Niewiele gorzej od niego robił to samo Edek, chłopiec giętki jak tyczka ze szklanego tworzywa do skoków o tyczce. Między tymi dwoma huśtawkowymi mistrzami wywiązała się huśtawkowa rywalizacja, a z tej rywalizacji walka o dostęp do huśtawki, w wyniku której właściwie nikt inny poza Sławkiem i Edkiem nie miał dostępu do zabawy, bo z tymi siłaczami nie warto było zaczynać. Cierpieli na tym pozostali amatorzy huśtawkowego sportu. Na przykład Piotruś, chłopczyk mały i uśmiechnięty, któremu uśmiech gasł na buzi, gdy przyglądał się huśtającym, bez nadziei zajęcia ich miejsca, na przykład Elżunia, dziewczynka podskakująca jak ptaszek, taka mała Szewińska od skakanki, na przykład Gucio, sztukmistrz rowerowy, co umiał

zakręcać bez trzymania. Na temat tego dostępu do huśtawki wynikały między dziećmi spory, kończące się zespolowym wrzaskiem. Wtedy w oknach ukazywały się wściekłe twarze. Najbardziej wściekłą twarz w takich momentach miała pani Melania Drążek, osoba wiecznie ponura i niezycziwa.

Razu pewnego rwetes wokół huśtawki osiągnął swój szczyt. A stało się to wtedy, gdy na tle normalnego sporu między pokrzywdzonymi a parą huśtawkowych mistrzów doszło do awantury między nimi - między Sławkiem i Edkiem. Taka mniej więcej była ich wymiana zdań:

- Ty! Pilot! - wołał z ziemi Edek. - Złaż! Orbitujesz już pół godziny!

- No to co z tego? - wołał z powietrza Sławek. - Będę orbitował i drugie pół! Muszę pobić rekord Stafforta!

- Ty rekord, a ja ciebie! Złaż, mówię, bo ci zrobię przymusowe lądowanie.

- A spróbuj! Wiem, dlaczego ci tak pilno! Chcesz się popisać przed tą laleczką z okna, że potrafisz lepiej niż ja...

- To nie twoja rzecz, co ja chcę! Złaż!

- Ciiszej tam! - warknęła pani Drążek z okna na pierwszym piętrze.

- Złaż! Złaż!! Złaż!! - wołały chórem zniecierpliwione dzieci.

- Dzieci kochane! Ciszej! Struny mi pękają! - lamentował pan Smętny.

Edek był wściekły do tego stopnia, że złapał huśtającego się Sławka za nogę i ściągnął z obłoków na ziemię.

- Jak tak, to ani ty, ani ja! - sapał w furii Sławek i chwycił z całych sił huśtawkę.

- Puszczaj, bo dostaniesz!

- Nie będziesz się huśtał!

- I ty też nie!

- No, to nikt się nie będzie huśtał!

- No, to nie!

- Najlepiej, żeby nikt, jak tak! - zawołał ciekim głosem Piotruś.

- No pewno - przytakiwała Elżunia. - Jak nam nie dają, to niech i sami figę mają!

- Najlepiej, żeby tej huśtawki wcale nie było! - pisał Piotruś.

- No pewno! Albo każdy, albo nikt! - wołał ktoś z wyczekujących.

- Precz z taką huśtawką!

- Ciszej! Bo sprowadzę milicję! - warczała pani Drążek.

Do czego to doszło... Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Przykry nastrój zapanował w tej skądinąd sympatycznej gromadce. W oknach widać było twarze pani Melanii, pana



Smętnego, „laleczki” i wiele innych. W sprawę wmieszał się sam przewodniczący Komitetu Blokowego.

- Moi kochani mali obywatele! - Przemówił uroczyście. - Nie po to Komitet za pieniądze społeczne ufundował wam huśtawkę, żebyście z niej zrobili kość niezgody. Zależało nam na krzewieniu kultury fizycznej, a wy z tej kultury kość... Musicie sami tę sprawę uporządkować między sobą!

To było wieczorem. Mali obywatele czuli się fatalnie. Każdy na dzień serca nosił truciznę. Każdy wiedział, choć o tym głośno nie mówił, że sprawa huśtawki kompromituje ich wszystkich. To złe samopoczucie sięgnęło jednak dna, gdy następnego ranka stwierdzili, że huśtawka jest unieruchomiona, że metalowe pręty, stanowiące wahadłowe zawieszenie ławeczki, są okręcone łańcuchem razem z ramą, stanowiącą zasadniczą konstrukcję huśtawki, i że łańcuch ten spięty jest masywną kłódką zamkniętą na amen. To było coś zupełnie nieoczekiwanego. Wszyscy stali zaniepokojeni i smutni.

- Kto ją zamknął? - drapał się w głowę Sławek.

- No, kto? - warknął Edek. - Wiadomo! Przewodniczący!

- A widzicie! Doegraliście się! - zapiszczała Elżunia.

Jednak okazało się, że to nie Przewodniczący.

- Nie, moi kochani mali obywatele! To nie ja. - Oświadczył uroczyście. - To nie moje metody postępowania. Zdumiewa mnie łańcuch i ta kłódka.

Wszyscy zaniemówili ze zdziwienia. Gdy wrócili po lekcjach ze szkoły, nic się nie zmieniło. Huśtawka stała skrepowana łańcuchem jak kajdaniarz. Huśtawkowicze łamali sobie głowy, kto to mógł zrobić.

- To na pewno pan Smętny, bo mówił, że mu struny pękają...

Ale to właśnie pan Smętny zawiadomił detektywa Tutama o całym wydarzeniu. Czyż mógł ją zamknąć, a potem go wzywać? Nonsens. Ciekawa historia, ale i jakaś smutna, bo ta huśtawka, zamiast stać się wspólną radością, skłóciła wszystkich i podzieliła.

W tym właśnie miejscu do akcji wkroczył detektyw Tutam.

Najpierw dokonał wizji lokalnej, to znaczy obejrzał dokładnie huśtawkę, a potem łańcuch i kłódkę. Potem odbył kolejno rozmowy ze wszystkimi wmieszanymi w wydarzenie. Każdemu stawiał dwa pytania.

- Sławku, czy to ty zamknąłeś huśtawkę na kłódkę?

- Ja? Skąd? Przecież ja orbitowałem aż do kręćka!

- A jak przypuszczasz, kto to mógł zrobić?

- Nie mam pojęcia. Jakiś supercymbał!

- Edziu, czy to ty? - zwrócił się detektyw do Edka.

- Ja? Skąd? Ja też orbitowałem na cały regulator!

- A jak przypuszczasz, kto to mógł zrobić?

- Nie mam pojęcia. Jakiś superbałwan!

I tak mniej więcej przebiegały te wszystkie rozmowy. Z Elżunią podobnie.

- Elżuniu, czy to ty?

- Ależ, proszę pana! Skąd! Przecież mnie wszystko jedno, czy huśtawka jest zamknięta, czy otwarta, bo ten Edek i Sławek i tak nikogo nie dopuszczają!

- Hm. A jak myślisz, Elżuniu, kto to mógł zrobić?

- Bo ja wiem? Może pani Melania Drażek, bo ona zawsze się gniewa, że krzyczymy pod oknem.

Detektyw poszedł do pani Drażek.

- Szanowna pani - zapytał - czy pani coś wiadomo o tej huśtawce i o kłódce?

- Owszem - odpowiedziała pani Melania kręcąc w młynku do kawy. - Wiadomo mi, że się cieszę, że nareszcie ktoś zamknął tę piekielną maszynę! Jest nareszcie trochę ciszej... A w ogóle to należałoby tę... tę hałastrę rozpedzić na cztery wiatry!

- Ale to nie pani zamknęła huśtawkę?

- Co to to nie. Muszę się jednak przy okazji panu poskarżyć, że od tego wrzasku można oszaleć.

- Współczuję pani. A jak pani przypuszcza, kto mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Ale błogosławię ręce, które to zrobiły.

- Dziękuję pani.

Tyle dała detektywowi Tutamowi wizja lokalna i rozmowy. Dużo czy mało? Na pozór bardzo mało. Nic. A w gruncie rzeczy... Opowiadał później zainteresowanym, że już wtedy po tej wizji i po tych rozmowach domyślił się, kto zamknął huśtawkę. Było to wprawdzie przypuszczenie, ale tak zdecydowane, że graniczyło z pewnością. Musiał jednak jeszcze znaleźć dowód przygważdżający, to znaczy klucz od kłódki i tego, w których rękach on się znajdował.

Uwagę Tutama, jak później opowiadał, zwróciły dwie rzeczy. Pierwsza z nich to kłódka. Widać ją na rysunku. Nie ma ona dziurki. Co to znaczy? To że zaczepiona została dziurką do spodu. To jasne. Ale detektyw Tutam postawił sobie pytanie: kto ją mógł i dlaczego tak powiesić i czy o tym mógł zdecydować przypadek, czy jakiś zupełnie określony powód. Otóż słusznie doszedł do wniosku, że nie musiał to być przypadek. Że mogło to powstać wskutek tego, że zakładający łańcuch i kłódkę był leworęki - był mańkutem. Musiał

ująć kłódkę w prawą rękę i, żeby łańcuch nie spadł z pałeczka, musiał ją odwrócić dziurką do spodu! Następnie lewą ręką, u mańkuta sprawniejszą, wykonał szereg skomplikowanych czynności z łańcuchem okręcanym dookoła ramy i na końcu lewą ręką przekręcił klucz w kłódce zwisającej odwrotnie. Tak nie musiało być, ale tak być mogło. Cóż więc należało zrobić? Obserwować ręce wszystkich uczestników huśtawkowej awantury z panią Melanią Drażek włącznie. Detektyw czynił to przeprowadzając przesłuchania. Widział, że Sławek i Edek grali w ping-ponga normalnie - prawymi rękami. I również prawą ręką kręciła coś w młynku do kawy pani Drażek. Natomiast Elżunia... Gdy Tutam podszedł do niej, by przeprowadzić rozmowę, bawiła się piłką. Odbijała ją o ziemię lewą ręką! To oczywiście jeszcze nie był dowód winy, ale i dowód wkrótce się znalazł. Detektyw Tutam taką z nią niebawem przeprowadził rozmowę.

- Elżuniu, dlaczego, gdy pytałem cię o kłódkę i huśtawkę, powiedziałaś, że nic o tym nie wiesz, a przecież zrobiłaś to ty.

- Ja?! Wcale nie ja! Co pan ode mnie chce?!

- Nie kłam. Ty. To jest klucz od kłódki. Byłem u ciebie i razem z twoją mamą znalazłem ten klucz w kieszeni twego płaszczyka.

Elżunia nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Bo...

- Dlaczego to zrobiłaś i dlaczego kłamiesz?

- Bo... Oni nie dawali mi się huścić... Te dwa dryblasy, Sławek i Edek... I wszyscy... I, i ja tylko stałam i patrzyłam. To mnie taka złość wzięła... Bo ja, proszę pana, tylko tak wyglądałam jak ptaszek. Ale ja jestem okropnie zawzięta. Jak ja nie, to i oni nie! No, i zamknęłam... I wcale nie żałuję, że tak zrobiłam! Wcale. Bo ja ich nienawidzę! I pana też nienawidzę, bo pan mnie...

Tak to było. Wszystko na opak. Bo huśtawka, zamiast być wspólną radością, stała się, jak to powiedział Przewodniczący, kością niezgody, a sposób, w jaki sprawę załatwiła Elżunia, był koroną wszystkiego. Przecież należało postąpić zupełnie inaczej. Jak - to wszyscy wiedzą. Warto jednak na zakończenie dodać, że ta detektywistyczna interwencja detektywa Tutama dobrze wszystkim zrobiła, że całe to niezorganizowane towarzystwo od dnia tego zaczęło się huścić po sportowemu i po koleżeńsku. Po kolei, na czas z zegarkiem w rękę. I jak kto mógł najwyżej.

### **Złota woda**

#### ***(Czwarta przygoda detektywa Tutama)***

Na peryferiach dużego miasta mieszkała sobie w domku z ogródkiem emerytka, pani

Matylda Glon.

Domek jej był bardzo sympatyczny, a pani Matylda - nie. Ale trudno jej się dziwić. Życie potoczyło się pani Matyldzie niewesoło, na starość pozostała samotna. Od smutku ratował ją ten właśnie domek, bo tylko on jej nie opuszczał, chociaż tu i tam zaczął przeciekać, tak że gdy padał deszcz, musiała pani Matylda tu i tam podstawiać miednice. Z kranów też się lało, mimo próśb o remont składanych w Urzędzie Kranów. Ale nie tylko domek i ogródek stanowiły świat pani Matyldy. Miała ona oprócz tego dwa swoje koniki - hobby, jak to się dziś mówi.

Jeden konik to były brzoskwinie w ogródku - kilka drzewek, które owocowały tak wspaniale, że mogłoby to wyglądać na czary. Tych rarytasów nikt z sąsiadów nawet nie powąchał, bo ogródka i brzoskwiń pilnował bardzo zły pies, wilczur Gbur, a pani Matylda była skąpa i nikogo nie częstowała. Nic też dziwnego, że stosunki dwóch bliskich sąsiadów pani Matyldy, Janka i Nanka, z nią i z Gburem nie układały się dobrze.

Drugim konikiem pani Matyldy było akwarium ze złotymi rybkami. Akwarium to pokazywała czasem sąsiadom i znajomym, bo choć była dziwaczką i odludkiem, rozsadzała ją duma z powodu niezwykłości i urody pływających pupilek. Tak więc nawet Nanek i Janek zostali pewnego razu dopuszczeni do akwarium pani Matyldy. Przyglądali się, jeden z otwartymi ustami, a drugi spod oka.

- Jakie fajne - wymamrotał Janek.

- Mają takie ogony jakby szły do ślubu - spostrzegł Nanek. - Ta jest całkiem jak sputnik. A ta mieni się jak klips!

- O raju! Chciałbym mieć takie akwarium... - postękiwał Janek. - Niech mi pani da ze dwie takie...

- Jeszcze czego! - ucięła temat pani Matylda.

- Czego? - podchwycił sprytnie Nanek. - Jeżeli ryb nie, to może po parę brzoskwiń.

- Widzicie go! - wykrzyknęła pani Matylda. - A śliwek nie łaska? Po pięć złotych kilo na każdym straganie. Takie brzoskwinie kosztują pięćdziesiąt złotych kilo! Nie dla psa kiełbasa.

- Jak nie, to nie. Ale z tym psem... - Nankowi błysnęło bystro oko. - Ale, ale! Czy pani wie, że jest taka złota woda...

- Co takiego?

- Taka cud-woda do akwariów?

- Właśnie... - wtrącił Janek.

- Ona znakomicie zrobi złotym rybkom. Jak wpuścić je do takiej wody, to - po

pierwsze - w ciągu tygodnia robią się dwa razy większe... Tak. A po drugie - od tej wody dwa razy dłużej żyją.

- Co ty mówisz?! - wykrzyknęła zachwycona pani Matylda. - A gdzie tej wody można dostać?!

- My możemy pani dostarczyć.

- Naprawdę? Zapłacę każdą cenę.

- My dużo nie chcemy. Wystarczy parę brzoskwiń.

- Brzoskwiń?

- Za butelkę tej wody da nam pani po trzy brzoskwinie.

- Trudno. Niech będzie. Dla moich ryb wszystko!

- Ale musi być pani przygotowana - ciągnął Nanek - że przez pierwszy tydzień trzeba będzie wodę zmieniać codziennie. Codziennie butelka.

- Ale skąd wyście dowiedzieli się o tej wodzie?

- Mój wujek mi o niej powiedział. On też hoduje ryby. On tę wodę dostaje od jednego aptekarza...

- Coś podobnego! Coś podobnego! Na co czekacie? Pędźcie po tę wodę!

- Jutro rano będzie pani ją miała.

- Ale prosilibyśmy o zadatek, to znaczy teraz choć po jednej brzoskwini - dorzucił Janek.

- No, dobrze - powiedziała niechętnie pani Matylda. - Macie po jednej.

Tak to chłopcy dopięli swego. Nie narażając się Gburowi pałaszowali brzoskwinie.

Pani Matylda była bardzo podniecona. Z niecierpliwością myślała o dniu jutrzejszym i o cudownej wodzie. Wieczór dłużył jej się nieznośnie, toteż z zadowoleniem powitała najpierw sąsiadkę, mieszkającą obok z lewej strony, potem drugą z prawej, wreszcie harcerzyka Leszka mieszkającego naprzeciw po drugiej stronie ulicy. Leszek słuchał opowiadania o złotej wodzie z wielką ulgą, bo był zamiłowanym przyrodnikiem i sam hodował trytony.

- To nadzwyczajne, proszę pani. Nadzwyczajne. Muszę pogadać z Nankiem i Jankiem. Moim trytonom też by się przydała taka woda. Do widzenia pani.

Nazajutrz, zgodnie z umową, zjawili się chłopcy u pani Matyldy.

- Jest woda - oświadczył dumnie Nanek. To mówiąc postawił na stole butelkę z napisem „Złota woda”.

- Cudownie! Wspaniale! Jaki piękny kolor! Jak słońce. Dziękuję wam serdecznie!

- Niech ją pani wleje do akwarium. Zobaczysz pani jutro, co będzie.

- Własnych ryb pani nie pozna!

Pani Matylda odkorkowała butelkę, powąchała zawartość i uroczyście wlała wodę do akwarium. Cudowna woda bulgotała cudownie.

- Macie, rybeńki, macie... - mruzczała pani Matylda. - Pijcie, kąpcie się, rośnijcie! Wiecie co, chłopcy? Zmierzę jedną teraz i jutro też... Będziemy wiedzieli, ile urosła. O tę Syrenkę.

- E, tam - mruknął Nanek. - Jak pani zmierzy? Będzie się rzucać.

- Zmierzę, zmierzę... - To mówiąc pani Matylda zbliżyła miarkę do szklanej ściany akwarium, przy której od wewnątrz stała nieruchomo rybka nazwana Syrenką.

- Proszę. Sześć centymetrów.

- No, to teraz brzoskwinie - wymamrotał Janek.

- Ano tak... - westchnęła pani Matylda. - Co się należy, to się należy. Macie. - Wręczyła im po trzy brzoskwinie.

- Dziękujemy. Do widzenia.

Tak chłopcy zdobyli pierwszą porcję brzoskwiń, a pani Matylda pierwszą butelką złotej wody.

Nazajutrz zjawił się u pani Matyldy z dawna wyczekiwany hydraulik, taki, co poprawia rury i krany, żeby woda się nie marnowała.

- To pani ma takie piękne akwarium. O, i takie rybki! Hydraulik jestem, proszę pani, i wszystko, co wody dotyczy, bardzo mnie interesuje. Piękne akwarium.

- A w dodatku ma, proszę pana - dodała z dumą pani Matylda - ma złotą wodę.

- Jak to, złotą?

- To jest, proszę pana, woda na porost ryb. Niech pan patrzy. Ta ryba miała wczoraj sześć centymetrów, a dziś ma już... o...

Pani Matylda przybliżyła miarkę do Syrenki stojącej nieruchomo za szybą.

- Też ma sześć - zauważył hydraulik.

- Co? To niemożliwe! Powinna mieć z dziesięć! - wykrzyknęła zrozpaczona pani Matylda.

Hydraulik kręcił głową.

- Złota woda... Nic o takiej wodzie, jak żyję, nie słyszałem. Cudeńka. Idę do łazienki. Kran naprawię - powiedział to i zniknął za drzwiami. Wtedy zjawili się chłopcy.

- Proszę. Jest druga butelka - powiedział Nanek stawiając jak poprzednio butelkę na stole.

- Co z tego, że jest, kiedy ryby wcale nie rosną - pociągnęła smutnie nosem pani

Matylda.

- Jak to nie rosną? Niemożliwe! - obruszył się i Janek.

- Mierzyłam Syrenkę przed chwilą. Nic nie urosła.

- Musiała się pani pomylić. Na pewno zmierzyła pani inną rybę - powiedział zdecydowanym głosem Nanek.

- Myślisz? Kto wie? Może rzeczywiście inną... - Pani Matylda chwyciła się tej myśli jak deski ratunku.

- Na pewno inną. Niech pani wlewa złotą wodę. Proszę. Brzoskwinie są?

- Są. Macie.

- Dziękujemy. Będziemy jutro punktualnie o dwunastej. Do widzenia.

Chłopcy wyszli pałaszując brzoskwinie. W chwilą potem wychylił się z łazienki hydraulik.

- No, już - powiedział - ładunek zmieniony. Już Wisła kranem nie ucieknie.

- Dziękuję panu. Długo na pana czekałam.

- Ale, ale... Myślałem sobie przy pracy o tej złotej wodzie. Widzę, że w tej butelce zostało jej ociupinę na dnie. Wie pani, moja wnuczka, Krysia, też ma złotą rybkę. Jedną. Malutką. W słoiczku. Dałbym jej kropelkę. Ucieszy się dziewczynina.

- No, dobrze. Niech pan weźmie - odpowiedziała bez zachwyty pani Matylda.

- Dziękuję. A jutro wpadnę skontrolować, czy woda nie ucieka. Do widzenia.

Nazajutrz historia się powtórzyła. O umówionej godzinie zjawili się chłopcy z trzecią butelką złotej wody po trzecią porcję brzoskwiń.

- No, co? - zaczął buńczucznie Nanek. - Pewno urosły jak hipopotamy?

- Niestety. Nic a nic. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Jak to, nic a nic? Przecież to już nie ryby! To kolosy! - perorował Nanek, pokazując palcem nadpływające rybki.

- No, dobrze. Jeszcze raz spróbuję. Dziś je zmierzę i jutro też dla sprawdzenia. Dajcie wodę.

- A pani brzoskwinie.

W tym momencie w drzwiach łazienki stanął hydraulik.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział. - Sprawdziłem kran. Wszystko w porządku. Ale sprawdziłem również, moi drodzy, co przynosicie pani Glon w tych butelkach z napisem „Złota woda”. Mówiąc to hydraulik jednym ruchem ręki odkleił sobie wąsy, a drugim ruchem zdjął z głowy szpakowatą perukę.

- Co to takiego?! - zawołała zdumiona pani Matylda. - Kto pan jest?! Ratunku!

- Proszę o spokój. Kto jestem? Detektyw Feliks Tutam, do pani usług. A to są dwaj oszuści - wskazał Nanka i Janka - którzy za zwykłą wodę, zabarwioną herbatą, sprawdziłem to w laboratorium, gdyż wczoraj od pani otrzymałem próbkę tej wody, wyludzili od pani trochę brzoskwiń.

Chłopcy stali jak wryci.

- O! - wykrzyknęła pani Matylda i osunęła się na fotel. - Łotry! Łotry! - jęczała złamana.

- To przesada, proszę szanownej pani. Niestety, jednak ten pomysł ze „złotą wodą” mocno pachnie zwykłym oszustwem. I dlatego będziecie ukarani. Ale to już sprawa waszych rodziców. Porozumiem się z nimi.

Nanek i Janek pilnie oglądali końce własnych butów.

### **Objazd**

#### ***(Piąta przygoda detektywa Tutama)***

Przez pewne dość duże miasto biegła sobie od końca do końca na wylot ulica Długa. Tak się nazywała. Przez ulicę tę przejeżdżały oprócz zwykłych samochodów także i pekaesy, przybywające z daleka, nawet z Warszawy i z Poznania. A na przystanku koło poczty gromadzili się zwykle ludzie czekający na autobusy.

Któregoś dnia spotkali się tutaj Tolek i Bolek.

- Wiesz co? Mam fajowy pomysł.

- Jaki?

- Ja bym chciał, uważasz, trochę zamieszać w ruchu drogowym.

- W ruchu drogowym? Zamieszać? Czyś ty oszalał?!

- No, co tak wydziwiasz? Znalazłem w starym garażu taką starą tablicę drogową z napisem „Objazd”. Można ją, uważasz, trochę podszykować - he, he! - i ustawić, dajmy na to, na rogu Długiej i Wąskiej.

- Oszalałeś! I tak jest dosyć wypadków...

- To, o czym myślę, nie ma nic wspólnego z wypadkami drogowymi. To taki sobie numer dla hecy. Pod słowem „Objazd”, uważasz, trzeba będzie dopisać, dajmy na to, słowa: „ulicami Wąską, Średnią i Krótką”.

- Oszala...

- Jak autobusy pojedą tym objazdem, to objadą - he, he! - przystanek przed pocztą i ludzie stojący na przystanku popękają z wściekłości. Ale będzie kino!

- Osza...

- Ty sobie wyobrażasz, jaki ogon wyrośnie?



- O...

- Nie „O”, tylko chodź do „roboty”.

No, i namówił Tolek Bolka do tej „roboty”. Chuligańska sprawa. Niedopuszczalna. Tak, ale wszystko skończyło się... Nie! Musicie stopniowo, krok po kroku, iść po nitce do kłębka, tak jak szedł detektyw Tutam wyjaśniając tę sprawę.

Ulicą Długą, jak już wiecie, przejeżdżały autobusy. Tolek wpadł na niesłychany pomysł, żeby w miejscu oznaczonym krzyżykiem postawić tablicę z napisem: „Objazd ulicami Wąską, Średnią i Krótką” - czyli proponowana przez niego trasa autobusów biegła teraz nieco inaczej.

W ten sposób poczta, przystanek autobusowy i ogonek pozostaną na boku. Plan rzeczywiście kwalifikujący projektodawcę do domu poprawczego.

Wkrótce na podwórku bloku, w którym mieszkał Tolek, za murkiem odgradzającym garaż, robota szła na całego. Bolek ani się spostrzegł, jak dał się wciągnąć w tę niecną sprawę.

- Tablica jak malowanie! - mrucał zadowolony Tolek.

- No, bo się maluje...

- Trzeba domalować tę nową trasę... O, raj! Paluchy sobie pożółciłem...

- Daj mi. Ja wypiszę te ulice - powiedział smętnym głosem Bolek.

- Masz. Tylko nie zepsuj!

- Lepiej od ciebie potrafię... Widzisz?

- Nie przechwalaj się tak, panie Matejko!

- Widzisz, jak fajnie...

- Aleś chlapnął, panie Chlapejko!

- Trochę mi się to „ą” rozmazało... Ten ogonek...

- To nie „ą”, to mysz!...

- O rety, łapę sobie upaść na czarno... Za rękaw mi pociekło...

- Dawaj! Ja skończę! „Objazd ulicami Wąską, Średnią i...

- Gotowe - powiedział zadowolony z siebie Tolek. - Teraz trzeba ją zanieść i powiesić.

- Trzeba albo i nie trzeba...

- Ale z ciebie aktywista! Niedobrze mi się robi!

- No, bo to...

- Co?

- No, bo...

- Tylko jak ją przenieść? Już wiem! Tablicę zasłoni się papierem. Papier przypnie się

pineskami... tu... u góry... Umieścimy ją, gdzie trzeba, a potem jeden ruch i uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej załatwiona.

Tolek i Bolek byli już na rogu ulicy Długiej i Wąskiej. Tablica z przypiętym papierem wyglądała jak obraz albo coś w tym rodzaju. Wkrótce znalazła się na latarni, dolną krawędzią oparta o śmietniczkę, górną przywiązana do latarniowego słupa. Nie budziło to niczych podejrzeń. Jakaś pani spojrzała przechodząc na te wyczyny Tolka i Bolka, ale najspokojniej w świecie poszła w swoją stronę. To samo pan z parasolem, to samo gromadka dzieci... To samo pan z brodą...

A więc wszystko szło dobrze, czyli bardzo źle, bo była to przecież brudna robota. Hultajska dwójka czekała na właściwy moment udając, że z zainteresowaniem ogląda nudną wystawę w sklepie z porcelaną.

- Idą i idą... Żeby choć na chwilę przestali...

- Właściwie to trzeba by zahamować ruch pieszy...

- Ty masz pomysł! Wisłę kijem, co?

- Rzeczywiście trudno...

- Ale coś trzeba zrobić! Nie będziemy przecież stać wiecznie przed tymi karafkami...

W tym momencie szczególny zbieg okoliczności przyszedł nieszczęsnym awanturnikom z pomocą. Coś się stało na jezdni. Z ulicy Wąskiej wyskoczył najnieoczekiwanej i jak najbardziej nieprzepisowo skuter. Nadjeżdżająca pędem „Warszawa” gwałtownie zahamowała. Skuter wjechał na chodnik. Zrobiło się zbiegowisko.

- No! Teraz albo nigdy! - zawołał Tolek. - Pokaż, co potrafisz! Odsłaniaj tablicę!

- Dlaczego ja? - wyjącał Bolek.

- Masz okazję udowodnić, że nie jesteś maminsynkiem. Prędkiej! Skook!

Sterroryzowany Bolek podbiegł do latarni i jednym szarpnięciem zdał papier z tablicy. I wziął nogi za pas. Chłopcy znów stali pod wystawą z porcelaną i spod oka obserwowali jezdnię. „Warszawa” i skuter wkrótce załatwili swoje porachunki, a tablica zaczęła działać.

- Bolek, patrz! - wymruczał Tolek. - Ale fajowo! Skręcają w Wąską!

- O rety!

- Patrz! Autobus też! Ale draka!

- Wszystkie wozy! Sznurkiem...

- O, rany! Ale barany!

- To... To jest okropne... Ja mam tego dość... Idę do domu!

- Boleś, nie łam się. Poczekaj! Ja też idę! - wołał za Bolkiem przestraszony Tolek.

Wycofali się pośpiesznie. Nawet Tolek czuł się bardzo niewyraźnie. Zrobili niby swoje, ale jakoś nie bardzo im było do śmiechu. Gdy skręcali w ulicę Wąską, mignął im wśród przechodniów brodacz, którego spostrzegli już przedtem.

- Czego on się tu kręci?

- Brodacz? To fajnie, że się kręci. Brodacz jak kominiarz szczęście przynosi. Wiesz co? Pójdziemy pod pocztę na przystanek autobusowy. Tam się już na pewno zaczęło lepsze kino!

- Ja tam nie chcę...

- Ale ty jesteś przodownik! Własnoręcznie dokonałeś odsłonięcia tablicy, a teraz chowasz głowę w piasek jak struś.

- Wolałbym się cały zapaść w ten piasek... pod ziemię...

- Ty, patrz! Jaki ogon na przystanku!

Rzeczywiście. Na przystanku ciągnął się ogonek na sto metrów.

- O mamuniu! - jęknął Bolek. - Wszystkie autobusy idą dookoła! Co będzie, jak się wyda, że to my...

- Jesteś tchórz, wiadomo jaki!

- Nie jestem tchórz! Nie! Sterroryzowałeś mnie, ale już mam tego wszystkiego dość! Wracam i zwałę z latarni tę przeklętą tablicę!

- Czekać! Stój! Nie wygłupiaj się! Chcesz wpaść w ręce milicji? To był fuks nad fuksy, że się nam ten numer z odsłonięciem tablicy udał. Drugi raz tak dobrze nie będzie.

- Ja tam nie wiem... I tak źle, i tak niedobrze...

Tolek i Bolek, nękani wewnętrznym niepokojem, wrócili, jak to często z przestępcami bywa, na miejsce dokonanego przestępstwa. Jak poprzednio stanęli przed wystawą z porcelaną. Udawali, że oglądają karafki, a łypali oczami w kierunku tablicy. W pewnym momencie otworzyły się drzwi sklepu z porcelaną i przed chłopcami pojawił się brodacz. Zrobił kilka niepewnych kroków i zatrzymał się jakby z wahaniem.

- Słuchajcie no, synkowie - powiedział. - Bardzo was przepraszam. Chciałbym sobie zanotować to, co jest napisane na tej tablicy, tam na rogu... Potrzebne mi to jest dla kogoś, kto ma samochód, a nie zna naszego miasta. Jakimi ulicami skierowany jest ruch?

- Wąską, Średnią...

- No, właśnie, właśnie... Chciałbym to zanotować, ale nie mam ołówka... Wy, synkowie, pewno macie i papier, i ołówek. Zapiszcie mi na karteczce te ulice...

- Ja panu zapiszę - mruknął Tolek. Wyciągnął notes, zapisał i wydarł kartkę. - Proszę.

Lecz w tym momencie stała się rzecz niebywała. Brodacz energicznym ruchem zdjął

brodę, która była sztuczna, i zawołał donośnym głosem:

- Stać i nie ruszać się! W przeciwnym razie wezwę milicję. - Potem zwrócił się do Tolka. - Zrobiłeś, synku, błąd w tym, co napisałeś. „Byk”! Widzisz? Krótka przez „u”. Spodziewałem się tego.

- „Byk”. No to co? Wielkie tam... To przecież nie ma znaczenia.

- To rzeczywiście niewiele by znaczyło, gdyby taki sam „byk” nie ryczał na tej oto tablicy!

- Cha, cha, cha! Widzi pan! Dorośli też robią „byki”! Takie same jak ja!

- Nie. To znaczy zupełnie co innego. To mianowicie, że to ty namalowałeś tę tablicę.

- Co takiego? Jakim prawem pan mnie...

- Tak. Ty z twoim przyjacielem.

- Ja nie... To jest... - Bolek nie wytrzymał nerwowo i zaczął beczeć.

- No, przyznajcie się lepiej od razu. Miałem was od początku na oku. Wyście oglądali wystawę z porcelaną, a ja byłem w środku i od środka was oglądałem ze sklepu.

- Tra-la-la! To są bajdy ciotki Adelajdy! My nic z tą tablicą nie mamy wspólnego! Ten „byk” tu i tam miałby być dowodem, że myśmy malowali tablicę? Śmieszne! Niech nas pan nie straszy!

- Jeśli to nie jest wystarczający dowód, to znajdą się inne. Jestem Feliks Tutam.

- O!

- Rączki do góry! Na twojej ręce jest czarna farba, na twojej żółta. No, pięknie. Przeprowadzi się analizę i stwierdzi się, czy farba na waszych rękach i farba na tej tablicy jest taka sama. Ja i bez tego jestem tego pewien. No, idziemy. Muszę zawiadomić o tym, co zaszło, Komendę MO, waszych rodziców i szkołę. Marsz!

Chłopcy poszli z detektywem jak na ścięcie.

Tak to skończyła się historia zatytułowana „Objazd” - historia pozornie żartobliwa, ale w gruncie rzeczy bardzo niewesoła.

Detektyw Tutam interweniował z całą stanowczością i surowością. Domagał się wysokiego wymiaru sprawiedliwości. Twierdził, że dwaj mściciele ruchu kwalifikują się do domu poprawczego. No i miał rację.

## **Parasolka**

### ***(Szósta przygoda detektywa Tutama)***

Tego wieczoru detektyw Tutam był zmęczony. Wybrał się więc dla odprężenia umysłu do kina na film „Czarny Tulipan” - na film, jak wiadomo, pełen fantastycznych awantur, pościgów, ucieczek, bohaterstwa i fantazji. Kupił bilet, wszedł i na kilkanaście minut

przed rozpoczęciem seansu znalazł się na swoim miejscu. Rozsiadł się wygodnie, w błogim nastroju oczekiwania. Wkrótce widownia się zapełniła. Uderzył tajemniczo gong. Światła zaczęły gasnąć. Wtedy środkowym wejściem wbiegła jakaś zdenerwowana pani, zatrzymała się koło rzędu krzeseł, w którym rozsiadł się detektyw, i zapytała zafrasowana:

- Przepraszam bardzo. Czy państwo czasem nie spostrzegli... Byłam na poprzednim seansie... Siedziałam na miejscu nr 371... Zostawiłam parasolkę... Nowiutką. Taka przykrość...

Widzowie siedzący w pobliżu wymienionego numeru rozejrzeli się wokół siebie, ale nikt nic o parasolce nie wiedział.

- A w dyirekcji pani pytała?
- Oczywiście. Niestety nikt nie odniósł.
- Ktoś się złakomił. Co za naród!
- Ano właśnie. Zamiast odnieść uczciwie.

Detektyw Tutam, choć odwrócony bokiem, bacznie nasłuchiwał i w chwili, gdy poszkodowana już wycofywała się ku wyjściu, powiedział:

- Przepraszam panią. Może zechce mi pani podać na wszelki wypadek swoje nazwisko i adres. Być może, uda mi się pani pomóc.

- Proszę bardzo...
- Może tylko zechce pani opisać mi szczegółowo swoją parasolkę.
- Czerwona na srebrnej rączce. Śliczna.
- Czy miała jakiś znak szczególny?
- Owszem. Małą włóczkową wiewiórkę przyczepioną do rączki. Sama tę wiewiórkę zrobiłam.

- Aha, a gdzie pani umieściła parasolkę oglądając film?
- Zaczepiłam rączką o poręcz krzesła, które miałam przed sobą.
- Dziękuję pani. Jestem detektyw Tutam.
- Ale mam szczęście w nieszczęściu!

Tak się rozpoczęło. Zmęczony detektyw nie odpoczął tego wieczoru, bo zamiast cieszyć się bohaterскими awanturami „Czarnego Tulipana”, myślał uparcie i wnikliwie o czerwonej parasolce i jej właścicielce. Sprawa na pierwszy rzut oka wyglądała zupełnie beznadziejnie. O co tu myśl zaczepić? Ktoś nieuczciwy ukradł parasolkę i zniknął w tłumie ulicznym. Detektyw westchnął ciężko i potarł czoło dłonią. Myślał, myślał i myślał. W pewnym momencie uspokoił się, rozluźnił i uśmiechnął się do białego konia „Woltera”, najwierniejszego przyjaciela „Czarnego Tulipana”, hasającego właśnie po ekranie. Detektyw

Tutam miał już plan działania. Oto jak biegła jego myśl. Po nitce do kłębka. Jeżeli parasolka wisiała zaczepiona o zbieg poręczy dwu krzeseł następnego rzędu, to najprawdopodobniej wziął ją ktoś siedzący w tym samym rzędzie, co poszkodowana pani Celina Smolik.

Detektyw podrapał się za uchem. W rzędzie tym - jak w każdym - było dwadzieścia krzeseł, a więc i dwudziestu podejrzanych. Dwudziestu? Nie - zreflektował się po chwili. Miejsce nr 371, na którym siedziała pani Smolik, było trzecie od przejścia, a kierunek ruchu publiczności podczas opuszczania widowni był w stronę przeciwną, czyli siedemnastu widzów opuściło swój rząd nie przechodząc koło wiszącej parasolki. Przeszli koło niej i mogli ją spostrzec jedynie dwaj widzowie zajmujący dwa miejsca z brzegu rzędu: numery 370 i 369. To jasne. Tak. To był krok naprzód. Liczba podejrzanych z dwudziestu zmalała do dwóch. Ale cóż z tego? Jak znaleźć dwie krople w morzu? Detektyw po raz drugi podrapał się za uchem. Wychodząc po skończonym filmie spostrzegł, że pod tymi dwoma podejrzаныmi krzesłami było pełno papierków od cukierków.

- Wypuściłem panią Smolik nie wypytawszy jej o tych sąsiadów. Popełniłem błąd. Trzeba będzie z nią jutro porozmawiać. A teraz pójdę porozmawiać z kasjerką.

Musiał przeczekać przerwę między seansami i dopiero, gdy wszystko się uspokoiło, nawiązał rozmowę.

- Łaskawa i miła pani, przepraszam, że zabieram pani cenny czas... Detektyw Tutam, pani pozwoli.

- O!

- Czy nie zechciałaby pani udzielić mi pewnych informacji...

- Jeśli tylko potrafię...

- Chodzi mi, proszę pani, o seans o godzinie 16. Czy może jakim przypadkiem mogłaby mi pani coś powiedzieć o nabywcach biletów w rzędzie XII na ten właśnie seans?

- Niewiele. Tyle tylko, że cały ten rząd... Tak. Cały ten rząd w przedsprzedaży zakupiony został przez Spółdzielnię „Rękodzieło Artystyczne”.

- Aha, aha... A gdzie ta Spółdzielnia się mieści?

- Na ulicy... Zaraz... Tu są zamówienia... Podchorążych 77. I to jest wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Dziękuję. Powiedziała mi pani bardzo dużo.

Detektyw Tutam pogwizdując jakąś wesołą melodyjkę poszedł do domu i położył się spać. Spał snem sprawiedliwego, choć śnił mu się wspaniały koń „Wolter”, na którym galopowała pani Smolik z czerwoną parasolką rozpiętą nad głową. Nazajutrz rano detektyw zjawił się w Spółdzielni na ulicy Podchorążych.

Portier strzegący wejścia i wyjścia na zapytanie, gdzie urzęduje kierowniczka, odpowiedział:

- Pójdzie pan tymi schodami na pierwsze piętro. Tam będą drzwi z napisem „Zarząd”. Za tymi drzwiami znajdzie pan kierowniczkę.

Tutaj wszedł po schodach czystych i eleganckich, jakby to nie była Spółdzielnia, tylko Ministerstwo Kultury. Na parterze zawzięcie klekotały warsztaty tkackie i furczały kołowrotki. Przez uchylone drzwi z napisem „Magazyn” zobaczył jak w Sezamie starannie poukładane paczki kolorowej przędzy i bele najpiękniejszych samodziółów.

Na pierwszym piętrze detektyw zastukał do drzwi z napisem „Zarząd”. Zaanonsowany przez sekretarkę wszedł do pokoju kierowniczki. Pokój ten zdobiły tkaniny i makaty, zapewne wyroby Spółdzielni. Przez okno otwarte na zieleń parku Tutaj spostrzegł, że po gałęzi dotykającej niemal parapetu tańczyła wiewiórka, z pewnością żywy model włóczkowej maskotki, o której mówiła pani Celina Smolik. Tutaj zwrócił się do siedzącej za biurkiem kierowniczki.

- Jestem detektyw Tutaj. Mam do pani pewną dość kłopotliwą prośbę.

- Słucham pana.

Detektyw opowiedział historię czerwonej parasolki, a opowiadanie swoje zakończył tymi słowami:

- Chodzi mi, proszę pani, o ustalenie, kto wczoraj siedział na numerach 370 i 369.

- Nic prostszego, proszę pana. Zaraz nam to powie nasza pracowniczka, kierująca sprawami kulturalno-oświatowymi. - Kierowniczka wezwała ją telefonicznie.

- Pani Alu, czy ma pani zanotowane, kto i jakie miejsca otrzymał wczoraj do kina?

- Oczywiście. Mam.

- Chodzi nam o numery 370 i 369 - wtrącił detektyw Tutaj.

- Zaraz. Pani Maria Ząbek. Miała iść ze swoim mężem.

- Hm. Miała iść, mówi pani. Ale czy poszła?

- Chyba tak.

- Chyba nie.

- Zaraz sprawdzimy - kierowniczka wezwała panią Ząbek przez telefon.

- Pani Mario, pozwoli pani... To jest pan detektyw Tutaj.

- Co? Detektyw?! Ja nic...

- Niech się pani nie denerwuje, łaskawa pani - powiedział dobrotliwie Tutaj. - Chodzi mi tylko o to, żeby pani nam powiedziała, czy pani była wczoraj w kinie czy też nie.

- Nie byłam. Mąż zachorował.

- A komu pani odstąpiła bilety?

- Oddałam przed kinem jakimś dwóm chłopcom, takim dwóm wypłoszom z włosami jak dziewczyny.

- Wypłoszom?

- No, tak. Jeden był czarny i krępy, a drugi blondyn i piegowaty. Jak indycze jajo!

- Dziękuję pani.

- Niech pani wraca do pracy - dorzuciła kierowniczką. Po jej wyjściu Tutam odezwał się w te słowa:

- No, tak. Sprawa posuwa się naprzód. Niestety, muszę jeszcze zabrać pani trochę czasu. Może pani zechce wezwać tu na króciutką rozmowę poszkodowaną obywatelkę Celinę Smolik, która siedziała obok tych dwóch wypłoszów na miejscu nr 371. Czy zgadza się, proszę pani? - tym zdaniem Tutam zwrócił się do zdziwionej organizatorki życia kulturalnego.

- Tak. Zgadza się. Skąd pan...

Kierowniczką nakręciła numer telefonu. Wkrótce zjawiała się pani Celina. Spozstrzegłszy Tutama uśmiechnęła się wesoło.

- A, to pan! Jakże mi miło.

- Mnie też. Ale niestety nie udało mi się jeszcze odnaleźć parasolki. Bądźmy jednak dobrej myśli. Miałbym parę pytań.

- Słucham.

- Po pierwsze. Jak się zachowywali pani wczorajsi sąsiedzi, siedzący po pani prawej ręce?

- Okropnie. Ciągle coś niemądrego dopowiadali do filmu i jedli jakieś okropne cukierki tak, że słyhać to było w całym kinie. Jak prosięta. Nawet nie wytrzymałam i zwróciłam im uwagę.

- Jak to było?

- Powiedziałam im tak: Bądźcie cicho. Zachowujecie się jak byście byli z Powiśla. „A co to? Powiśle zła dzielnica?” - powiedział wtedy pierwszy, ten czarny i krępy. „Ty, Cyryl. Tej pani nie podoba się Powiśle! A nam się podoba” - odezwał się na to drugi, piegowaty blondyn. - „Choć jesteśmy nie z Powiśla, tylko z Sewerynowa!”

- Tak powiedział? - Tutamowi oczy błysnęły radośnie. - No, to jesteśmy w domu. Myślę, że już wkrótce odzyska pani swoją parasolkę.

- Naprawdę? To wspaniale! Pamiątkowa.

Detektyw podziękował kierowniczkę i wyszedł.



Co było dalej? Warto zobaczyć to od drugiej strony. To znaczy od skarpy na zapleczu ulicy Sewerynów.

- Kiepsko idzie z tą parasolką - powiedział piegowaty do krępego. Chciałem ją opylić, ale dziewczyny nie mają forsy. Chyba ją zamienimy na pierniki w kiosku.

- A jak ta sprzedająca Marlena zapyta, skąd ją mamy? Lepiej zrobić z niej spadochron. Na czubku wytnie się dziurę, żeby lepiej spływał i, wiesz, spuścimy na nim z balkonu jamnika tej starej pani magister - Kubę koślawca!

- Czyś ty oszalał? Psuć parasolkę i tak ohydnie podwędzoną.

- Masz go! Ohydnie!

- A jak?

- Zamiast nudzić, patrz na to чудо. Fajna ta wiewiórka, co? - bajdurzył Cyryl przytkając włóczkową wiewiórkę w nos.

- Fajna. Ale nie wiem, dlaczego przywłaszczyłeś ją sobie.

- Bo pierwszy zobaczyłem parasolkę.

- O! Pierwszy! Razem żeśmy ją zobaczyli! Oddaj mi wiewiórkę!

- Zostaw. Dobrze jej w kieszeni. Nos ma na wierzchu.

- Daj mi ją, mówię. Przyczepię ją sobie do roweru. Maskotka, uważasz...

- Odskoocz, bo...

W tej chwili otworzyło się okno na pierwszym piętrze i rozległ się głos, wołający na całą skarpe:

- Cyryl! Cyryl!

- Nie pali się - odburknął wołany.

- Chodź prędko na górę - wołał głos z okna. - Jakiś pan pyta o ciebie.

- O mnie? Już lecę. - I powłókł się noga za nogą. - Chodź, Roman, ze mną - mruknął przez ramię do przyjaciela. - Co będziesz tu sam robił?

Za chwilę znaleźli się w mieszkaniu. Zastali tam „jakiegoś pana”, który przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko mierzył ich oczami. Cyryl nie wytrzymał.

- No, czego pan tak...

- To ty jesteś Cyryl - przemówił wreszcie „jakiś pan” - a ty Roman.

- Tak.

- A bo co?

- Gdzie jest czerwona parasolka, którą wynieśliście wczoraj z kina?

- Z jakiego kina? Myśmy w żadnym kinie nie byli!

- Jaka parasolka? O co panu chodzi?

- Mówię wyraźnie: czerwona parasolka, którą ukradliście wczoraj w kinie, zamiast odnieść ją do dyrekcji.

- My?! Parasolkę?!

- Tak. Wy.

- Czego się pan do nas przyczepił?

- I kto pan jest w ogóle?

- I jakie pan ma dowody, że to my?

- Jakie? Tę oto włóczkową wiewiórkę, która wystaje z twojej kieszeni.

- O!

- Parasolkę ukradzioną w kinie macie natychmiast odnieść pod ten oto adres. Obywatelka Celina Smolik, ulica Szeroka 15, mieszkania 3. To jest właścicielka parasolki. Macie ją odnieść i powiedzieć pani Smolik, że to wy jesteście winowajcy i że przysłał was do niej razem z parasolką detektyw Tutam. Zrozumiane? Wiewiórkę też macie oddać. A za nieuczciwość będziecie odpowiadać. Jak, to się jeszcze dowiecie. Do widzenia!

Cyryl i Roman stali jak dwa posągi smutku.

Tak to czerwona parasolka wróciła do właścicielki. Nie trzeba chyba dodawać, że detektyw bez trudu odszukał Cyryla na Sewerynowie. Pierwsze z brzegu dziecko wskazało mu dom i zaprowadziło do drzwi jego mieszkania. Od tego dziecka dowiedział się również Tutam, że czarny i krępy przyjaciel Cyryla ma na imię Roman.

### **Jazda na gapę**

#### ***(Siódma przygoda detektywa Tutama)***

Pewnego razu na oczach przechodniów wypełniających ruchliwą ulicę Astronautów rozegrała się następująca scena.

Do zatoki, przeznaczonej na postój dla samochodów, podjechała zwalniając taksówka i już, już miała stanąć, gdy drzwi po obu jej stronach otworzyły się gwałtownie i z wnętrza jak z katapulty wyskoczyli dwaj chłopcy. Błyskawicznie wmieszali się w tłum i przemykając jak szczupaki wśród przechodniów znikli w bramie, a potem na podwórzu najbliższego domu, łączącego się wspólnym podwórzem z innymi domami-sąsiadami. Zanim kierowca spostrzegł się co i jak, znikli jak kamfora.

- Robinsony zatracone! Kiwnęli mnie na 20 złotych!

- Uciekli i nie zapłacili panu? - pytał jakiś starszy pan z pieskiem na smyczy.

- No właśnie. Amatorzy podróży na gapę! Ze skóry takich obdzierać!

- Coś okropnego! - westchnęła pani z walizką, czekająca na taksówkę. - Czy pan jest wolny?

- Jestem wolny, ale i wściekły! Dałem się wykantować tym obwiesiom!

W tym momencie do kierowcy zbliżył się...

- Przepraszam pana, jestem detektyw Tutam. Byłem przypadkowym obserwatorem tego, co się tu stało. Pani daruje - zwrócił się do damy czekającej na taksówkę - niestety, muszę zatrzymać pana kierowcę. Ta sprawa nie powinna rozpląnąć się bezkarnie.

- Wiadomo, że nie powinna! - wołał wzburzony kierowca. - Ale szukaj wiatru w polu...

- Właśnie mam zamiar poszukać.

- Ja się spieszę na pociąg! - denerwowała się pani z walizką.

- Trudno, proszę pani... O, jest druga taksówka. Niech pani wsiada!

Dama odjechała. Detektyw zwrócił się do kierowcy:

- Chodzi mi, proszę pana, o ten „wiatr”, którego mimo wszystko chcę poszukać, jak to pan powiedział, w polu. Chciałbym przede wszystkim, żeby mi pan dokładnie opisał swoich pasażerów. Co pan spostrzegł?

- A co miałem spostrzec? Chłopaki jak chłopaki. Chude, opalone...

- Czy zauważył pan jakieś znaki szczególne?

- Nie przyglądałem się im. Człowiek ma głowę nabitą własnymi kłopotami. Opon nie mogę dostać.

- Czy mieli coś szczególnego w swoim ubiorze?

- Chyba nie...

- A gdzie wsiedli?

- Koło pomnika Mickiewicza.

- Na postoju?

- Tak.

- No pięknie. A czy przypadkiem nie słyszał pan, o czym rozmawiali?

- Owszem. O piłce nożnej. O mistrzostwach świata. Jeden żałował Brazylii, że odpadła...

- Hm. A o czym jeszcze?

- Nie wiem. Nie słuchałem. Opon nie mogę dostać... Aha! Zaraz. Coś sobie przypomniałem. Przed samą ucieczką jeden zawołał: „Ku-ku-ryku! Brzdęk!”

- Ku-ku-ryku?

- Tak. Brzdęk.

- No dziękuję Panu. Pozwoli pan, że sprawdzę, czy nie zostawili czego w samochodzie.

Detektyw otworzył drzwi i zajął do środka. Patrzył bardzo uważnie. W pewnej chwili nachylił się i podniósł jakiś mały przedmiot...

- Co to? - spytał zaciekawiony kierowca.

- Niestety nic ważnego - odpowiedział z uśmiechem Tutam. - Dziękuję panu. Nie będę pana dłużej zatrzymywał. Miał pan rację. Szukanie tych małych hultajów rzeczywiście przypomina szukanie wiatru w polu. Nie ma o co myśli zaczepić, ale na wszelki wypadek zapiszę sobie pana imię i nazwisko. Także adres i numer rejestracyjny wozu.

- Proszę bardzo. Rurkowski Adam, ulica Wodociągowa 17, numer wozu WE 0741.

Tymczasem amatorzy jazdy na gapę wynurzyli się po drugiej stronie osiedla mieszkaniowego i liżąc lody zachwycali się swoim wyczynem.

- Aleśmy go kiwnęli - chełpił się jeden.

- Biuro podróży na gapę „Orbis” - dodał drugi.

- Ujechaliśmy przeszło 20 złotych. Niezły kurs.

- Jutro powtórka numeru. Pojedziemy na Lotnisko. Uważaj! Lody ci kapią na pierś waleczną.

- Gorąco. Fizyka działa.

- Uchłapałeś sobie swoje marynarskie manto. O, guzik ci się kazał kłaniać!

- Faktycznie. Szkoda. Moje guziki są nietypowe.

- Właśnie. Srebrne i każdy z kotwicą. Skąd tyś wytrzasnął to wdzianie?

- Wujek ze Szczecina mi przysłał.

Nazajutrz zgodnie z planem dwaj amatorzy podróży na gapę wystartowali po raz drugi do niecnego dzieła. Mieszkali w pobliżu pomnika Mickiewicza, więc i postój taksówek mieli w pobliżu. Zanim jednak tam doszli, wyprzedziła ich parę metrów i zatrzymała się taksówka. Gdy zrównali się z nią, pasażer zapłacił i drzwiczki trzasnęły.

- Mamy taksówkę!

- Zajechała jak na zamówienie. Fajowo!

- Wsiadamy!

Dwaj pasażerowie spod chuligańskiego znaku rozsiedli się na poduszkach nowej „Warszawy”. Kierowca wyczekał chwilę i zapytał:

- Dokąd, obywatelu?

- Do ZOO.

- A pieniądze są?

- Nie wsiadalibyśmy, gdybyśmy nie mieli.

- W porządku. Drzwi dobrze zamknijcie. O tak. - Kierowca poprawił kłamkę, wcisnął

jakiś guzik. - Teraz nie wypadniecie.

Taksówka ruszyła. Jeden pasażer mrugnął po szelmowsku na drugiego. Jechali. Miasto migało i przesunęło się za otwartymi oknami „Warszawy”. Dwa razy uwięziło ich na skrzyżowaniu czerwone światło. Dwa razy otworzyło się przed nimi zielone. Jechali. Jeden z pasażerów, ten w marynarskim wdzianku, spostrzegł w pewnej chwili w lusterku samochodowym oczy kierowcy. Wpatrywały się w niego wnikliwie.

Taksówka przejechała przez most, skręciła na wybrzeże i potoczyła się asfaltową nawierzchnią gładko i szybko. Trzy litery ZOO, wiszące ponad bramą ogrodu, robiły się coraz większe. Podjeżdżali. Przed wejściem tłoczyli się ludzie i samochody. Taksówka zbliżyła się do krawężnika. Zwolniła. Wtedy jeden z chłopców krzyknął:

- Ku-ku-ryku! Brzdęk!

Obydwaj nacisnęli klamki chcąc wyskoczyć, ale - o dziwo! - drzwi nie puszczały. Taksówka zatrzymała się. Kierowca przekręcił spokojnie chorągiewkę licznika i powiedział:

- Piętnaście złotych.

Pasażerowie przyrośli do poduszek.

- Piętnaście złotych - powtórzył kierowca.

- Kiedy... my... nie mamy...

- Jak to, nie macie? Przecież pytałem was i powiedzieliście mi, że macie.

- No, ale... nie mamy...

- Co pan zrobił z tymi drzwiami?

- Zabezpieczyłem, żeby się czasem niepotrzebnie nie otworzyły. Dostyc tego - dodał zimnym głosem i odwrócił się do nich odklejając sztuczne wąsy. - Jestem detektyw Tutam.

- O!

- O!

- A wy jesteście nieuczciwi naciągacze.

- Dęte... Kiedy ja naprawdę myślałem, że... że mam pieniądze.

- Nie kłam. To wyście wczoraj uciekli z taksówki kierowcy Rurkowskiego nie płacąc, choć licznik wybił przeszło dwadzieścia złotych.

- My?! Myśmy wczoraj w ogóle nie jechali taksówką!

- Skąd?! Nigdy w świecie.

- Nie? A kto zawołał wczoraj „Ku-ku-ryku! Brzdęk”?

- Ku-ku... ryku...

- To jest hasło waszej złodziejskiej ucieczki. Wczoraj go używaliście i dziś także. Wczoraj w taksówce kierowcy Rurkowskiego, dziś w mojej.

- My nie znamy żadnego pana Rurkowskiego!  
- Pan ma do nas niesłuszne pretensje!  
- To nie my!  
- Mówisz, że nie wy? - odpowiedział spokojnie Tutam. - A ten guzik? Też jest nie twój?  
- Gu... O!  
- To jest guzik nietypowy. Srebrny z kotwicą. Taki sam, jak wszystkie pozostałe, zdobiące twoją zagraniczną wiatrówkę. A zgubiłeś go wczoraj w taksówce kierowcy Rurkowskiego. Koniec. Ani słowa więcej. Ukradliście panu Rurkowskiemu dwadzieścia trzy złote, a mnie dziś piętnaście. Teraz zawiozę was do waszych rodziców.  
To powiedziawszy detektyw Tutam dodał gazu. Amatorzy jazdy na gapę jechali jak na ścięcie.

### **Telegram**

#### ***(Ósma przygoda detektywa Tutama)***

Niedawno odwiedził nas po starej znajomości detektyw Tutam i opowiedział nam jedną ze swych wakacyjnych historii. Nasz znakomity detektyw spędzał wakacje w pobliżu obozowiska harcerskiego. W dwóch największych namiotach, położonych na dwóch krańcach obozowiska, kwaterowały dwa rywalizujące ze sobą oddziały. Przed pierwszym widniał napis „Mrówkojady”, przed drugim „Rurkonosy”. Nie wiadomo, skąd się te nazwy wzięły i kto je wymyślił. Najważniejsze, że były i że były śmieszne. Rywalizacja „Mrówkojadów” i „Rurkonosów” przejawiała się we wszystkim, ale najjaskrawiej w sporcie. Wręcz sensacyjnie wyglądała ta sprawa w piłce nożnej. Zmagania obydwu trampkarskich reprezentacji z reguły kończyły się wynikami remisowymi. Filarem drużyny „Mrówkojadów” był ich bramkarz Mundek, piłkarz o świetnym refleksie, szczęściu i nonszalancji, wynikającej z pewności siebie. Drużyna „Rurkonosów” miała za to lepszy atak, z Heńkiem i Tomkiem na czele. I stąd właśnie te powtarzające się aż do znudzenia wyniki remisowe. Bo z jednej strony dobry atak, z drugiej - świetny bramkarz.

Chcę wam dziś opowiedzieć - mówił detektyw Tutam - jaki miał przebieg ostatni mecz, rozegrany na zakończenie wakacji. Zapasowym bramkarzem drużyny „Mrówkojadów” był Andrzej, piłkarz zupełnie niezły, ale jednak gorszy od Mundka. I to właśnie było jego niedolą, gdyż w reprezentacji, w każdym ważniejszym spotkaniu brał udział Mundek, a nie on. I to było właśnie powodem...

Napięcie było olbrzymie, tym większe, że mecz został rozreklamowany specjalnie wymalowanymi afiszami, wywieszonymi w pobliskim miasteczku, no, i oczywiście drogą

korespondencji wśród rodziców i znajomych.

Zbliżał się wyznaczony termin i godzina. W obozie „Mrówkojadów” odbywała się narada bojowa: jaką zastosować taktykę wobec przeciwnika. Brał w niej udział komplet „Mrówkojadów”.

- Uważam, że powinniśmy prowadzić grę otwartą - mówił Mundek. - Za bramkę ja przecież odpowiadam.

- A ja uważam, że trzeba budę murować - wygłaszał swój pogląd Stefan, kapitan drużyny.

- Jak będziecie murować, to nie strzelicie ani jednej bramki, a jak nie strzelicie, to nie wygracie - wtrącił cierpko Andrzej.

- Właśnie! Nawet Jaszyn sam meczu nie wygra. Jestem za grą otwartą.

- Ale przecież „Rurkonosy” mają atak jak Brazylijczycy! - argumentował rzeczowo Stefan. - Heniek zagrywa jak Pele.

- Pele-pele-morele! Mnie tam nic nie zrobi - powiedział po swojemu Mundek.

- Najlepiej będzie, jak wzmocnimy defensywę nie rezygnując z wypadów pod bramkę przeciwnika - zawyrokował Janek.

- Jasne, że tak będzie najlepiej. Ale co ja zresztą... - Andrzej machnął ręką. - Zbrzydło mi tkwić stale w rezerwie. W nosie mam waszą taktykę.

- No, wiesz! - oburzył się kapitan drużyny.

- Wiesz, wiesz! Nie wiem, czy byś się tak dobrze czuł, jak byś każdy mecz oglądał zza bramki wyczekując na kontuzję tego, kogo chciałbyś zastąpić! Niech to szlag!

- Zdaje mi się, że życzysz mi, żebym złamał nogę.

- Odczep się!

W tej chwili pojawił się służbowy z depeszą w ręku.

- Mundek! Depesza do ciebie - wołał z daleka.

- Do mnie?

- Ano, ano. Przyjechała jednośladem pedałowym, czyli przywiózł ją listonosz na rowerze. Masz. Pewno zawiadomienie o spadku po dziadku.

- Pokaż.

Mundek otworzył telegram i przeczytał głośno:

- „Ojciec poważnie chory. Przyjeżdżaj natychmiast autobusem godz. 15. Matka”.

- Co? Przyjeżdżaj? To niemożliwe! - wykrzyknął Stefan, kapitan drużyny. - Przecież musisz grać.

- Daj spokój - odpowiedział zatroskany Mundek. - Mama nie wzywałaby mnie bez

powodu...

- No, to klops - powiedział załamany Wojtek. - Jeżeli Mundek pojedzie, nie mamy co grać.

- Dlaczego klops? - czupurnie zaatakował go Andrzej. - Czy to Mundek jeden na świecie?

Kierownik był zdania, że Mundek musi jechać do domu. Pojechał. A wydarzenia toczyły się swoim torem. Już na pół godziny przed rozpoczęciem meczu publiczność zaczęła tłumnie napływać. Boisko prezentowało się świetnie: zielona murawa, białe bramki i linie. Cały obóz podzielił się na dwie grupy: zwolenników „Mrówkojadów” i zwolenników „Rurkonosów”. Obydwie strony uzbroiły się w instrumenty do kociej muzyki. Jednym słowem nastrój był jak na mistrzostwach świata. A na dziesięć minut przed gwizdkiem zajechał na parking pod sosnami jeszcze jeden samochód i wysiadł z niego uśmiechnięty pan.

- Dzień dobry - powiedział do przechodzącego Stefana. - Jestem inżynier Krajewski, ojciec Mundka. Czy nie mógłbyś go zawołać?

- Mundka? - odpowiedział zdumiony Stefan. - Przecież Mundek pojechał do Warszawy... Dostał depeszę, że pan jest ciężko chory!

- Że ja chory? Depeszę?!

- Tak. W południe. Mundek się strasznie zdenerwował i pojechał.

- Nic nie rozumiem. Przecież zdrow jestem jak ryba i żadnej depeszy nie wysyłałem. O! Idzie pan kierownik... Dzień dobry panu!

- To chwała Bogu, czuje się pan dobrze? - odezwał się uprzejmie kierownik. - Ale Mundek pojechał do Warszawy z powodu tej depeszy...

- Właśnie. Ale ja żadnej depeszy nie nadawałem.

- Niesłychane! Wyjaśnimy to zaraz po meczu... Teraz musimy zaczynać. Niech pan siada. Drużyny już wychodzą... Jest pan naszym honorowym gościem.

W tym miejscu włączył się do akcji detektyw Tutam, który również przyszedł na mecz.

- Przepraszam bardzo - odezwał się po swoim. - Przypadkowo słyszałem rozmowę panów... Myślę, że będę mógł się panom przydać. Detektyw Tutam, do usług.

- To wspaniale!

Przebieg meczu był interesujący, choć grali przecież tylko mali trampkarze. „Rurkonosy”, dysponujący świetnym atakiem, z miejsca ruszyli jak husaria pod Wiedniem i natychmiast znaleźli się w pobliżu bramki „Mrówkojadów”. Padł strzał... Andrzej popisał się wspaniale. To naprawdę było w stylu najlepszych zagrań Mundka.



- An-drzej! An-drzej!! - ryczeli zwolennicy „Mrówkojadów”.

Ten doping rzucił ich do kontrataku. Ale i bramkarz „Rurkonosów” interweniował z powodzeniem.

I tak gra przetaczała się spod jednej bramki pod drugą. Czas mijał, a rezultatu jak nie było, tak nie było. Czarodziejstwo wyniku bezbramkowego wisiało znów nad boiskiem. Andrzej grał znakomicie. Fruwał po prostu jak ptak. Rzeczywistość zdawała się potwierdzać to, co mówił o sobie. Publiczność raz po raz nagradzała go oklaskami.

Zbliżał się koniec pierwszej części spotkania i... dosłownie w ostatniej minucie przed przerwą Janek „Mrówkojad” ze sprytnego podania Stefana strzelił gola nie do obrony.

W parę sekund później rozległ się gwizdek na zakończenie pierwszej części spotkania.

- Z przyjemnością obserwuję grę tych dzielnych zuchów - powiedział inżynier Krajewski do kierownika - ale muszę panu powiedzieć, że myślę tylko o Mundku i o tej przedziwnej depeszy.

- Ja tak samo - odpowiedział kierownik. - Nie podoba mi się ta sprawa. Ale nie wiem, od którego końca ją ruszyć. Całe szczęście, że zajął się nią detektyw Tutam. Jestem przekonany, że wkrótce sprawę wyjaśni.

- On już działa. Rozmawiał z chłopcami, a teraz poszedł do namiotu Mundka. Wspominał o jakiejś wizji lokalnej.

Po piętnastu minutach rozpoczęła się druga część meczu. Długo zacięte zmagania nie przynosiły rezultatu. Początkowo obydwie strony przyspieszyły obroty, ale po kwadransie... zwolniły. Zmęczenie zaczynało się dawać wszystkim we znaki. Andrzejowi też.

I oto w sytuacji dziecinnie łatwej wypuścił z rąk piłkę, a nadbiegający Zenek „Rurkonos” skierował ją do siatki. No, tak. Mundek z pewnością nigdy by tak nie sfuszerował.

- Pa-ta-łach! Pa-ta-łach! Z boiska go! Z boiska!

Skonfundowane „Mrówkojady” wznowiły grę od centra.

Do końca meczu pozostało dziesięć minut. Wynik jeden jeden. Kibice szaleli.

Jednak żadna ze stron nie mogła sforsować obrony przeciwnika. Czas uciekał. Już tylko trzy minuty...

Nagle zakotłowało się pod bramką „Mrówkojadów”. Gwizdek. Tak. Faul na polu karnym. Ich stoper, widząc katastrofalną sytuację, podstawił nogę Tomkowi, napastnikowi „Rurkonosów”, licząc, że Andrzej obroni rzut karny. Tak to czasem bywa nawet na największych meczach. W ten sposób „Rurkonosy” uzyskały wielką szansę na zwycięstwo! Uwaga! Już piłka leży na białym punkcie, oznaczającym odległość jedenastu metrów przed

bramką Andrzeja. No, Andrzej! Teraz albo nigdy! Kto strzela? Tomek. Poszkodowany i najsprytniejszy strzelec „Rurkonosów”.

Gwizdek. Strzał! Pudło! Fatalne pudło! Piłka poszła dwa metry od słupka w aut. Tomek spudłował. Zaprzepaścił zwycięstwo. Trudno uwierzyć... Ale fakt jest faktem.

Przez pozostałe dwie minuty wynik meczu już się nie zmienił.

Drużyny schodziły z placu bez zwycięstwa. Wynik brzmiał: jeden jeden. Za Tomkiem leciały przycinki jak osy.

- Ofiara kosmiczna! Coś ty zrobił najlepszego?!

- Miałeś wygraną w kieszeni!

- Odczepcie się... Pech... Zaryłem nosem...

- No, mamy już emocje meczu poza sobą - mówił zaaferowany kierownik do inżyniera Krajewskiego. - Teraz zajmiemy się depeszą. Zobaczymy, co nam powie detektyw Tutam.

- No, cóż? - mówił Tutam spokojnie. - Sprawa chyba jest dość prosta...

- I ja tak myślę - wtrącił pan Krajewski. - Nadawcy tej fałszywej depeszy należy szukać wśród „Rurkonosów”, bo przecież był to z pewnością podstęp mający na celu usunięcie z pola walki najlepszego gracza drużyny „Mrówkojadów”, czyli Mundka.

- Istotnie. To wydaje się najprawdopodobniejsze - powiedział kierownik.

- No, nie wiem, nie wiem - uśmiechnął się Tutam. - Niezupełnie podzielał zdanie panów, ale przeprowadźmy małe śledztwo. Którego z „Rurkonosów” pan podejrzewa?

- Jeżeli, to Heńka. Jest to „Rurkonos” bezkompromisowy, zdolny zrobić wszystko, co tylko może przynieść sukces jego zespołowi. Często muszę go pod tym względem mitygować.

Wkrótce przed Tutamem stanął Heniek.

- Mój drogi, szukamy nadawcy tej niefortunnej depeszy. Co możesz na ten temat powiedzieć, jako kapitan drużyny „Rurkonosów”?

- A co mogę powiedzieć? Nic. Ktoś mu zrobił głupi kawał i tyle.

- Ktoś? A jak przypuszczasz, kto?

- Ja wiem, że pan myśli, że to ja. Ale to nieprawda. To nie są moje metody. „Rurkonosy” zwyciężają uczciwie.

- No, dziękuję ci. Idź i zawołaj mi tu Andrzeja.

- Andrzeja? - zdziwił się kierownik. - Przecież to „Mrówkojad”. Jakież by mógł mieć interes w osłabianiu własnej drużyny?

- Jaki interes? To chyba jasne - powiedział uśmiechając się Tutam.

Wszedł Andrzej.

- Mój drogi... Powiedz nam, co wiesz o tym przykrym wydarzeniu z depeszą.

- Ja? Nic. A co ja mogę wiedzieć? Jakiś głupi kawał...

- Gorzej. Obrzydliwy. Ale ty jeden na nim skorzystałeś.

- Jak to?

- Grałeś w reprezentacji, a to, zdaje mi się, od dawna było twoim gorącym pragnieniem. Czy nie tak?

- I pan myśli, że to ja wysłałem tę depeszę, żeby znaleźć się w reprezentacji? Proszę pana! To jest...

- No, uspokój się. Śledztwo jest śledztwem. Dziękuję ci. Możesz odejść. Ja tymczasem, proszę panów, muszę na kwadrans opuścić namiot. Chodzi mi o pewną wizję lokalną. No, i cóż, proszę pana - Tutam zwrócił się do inżyniera Krajewskiego - czy nadal sądzi pan, że nadawcy depeszy należy szukać tylko wśród „Rurkonosów”?

- Przyznam się, że zachwiały pan moje przekonanie.

- A widzi pan. W pracy detektywa należy unikać jak ognia schematycznego myślenia. Z kolei chciałbym porozmawiać z Tomkiem.

- Proszę bardzo - powiedział kierownik. - Ale nie rozumiem, co z tym może mieć wspólnego ten najsympatyczniejszy „Rurkonos”. To jeden z najbardziej zdyscyplinowanych i koleżeńskich chłopców.

- A jednak...

Wkrótce zjawiał się Tomek. Był bardzo przejęty i zdenerwowany.

- Mój drogi - zwrócił się do niego detektyw - jak wiesz, szukamy nadawcy tej tajemniczej depeszy. Powiedz wszystko, co wiesz na ten temat.

- Ja... Ja nic nie wiem... Nic!

- Hm. Nic. No, to powiedz nam w takim razie, dlaczego strzelając karnego, który mógł zdecydować o waszej wygranej, umyślnie posłałeś piłkę na aut?

- Co?! Wca... wcale nieumyślnie... Zaryłem nosem... trampkiem...

- Nie mówisz w tej chwili prawdy. Obserwowałem cię uważnie podczas gry. Jesteś doskonałym technikiem i to, co zrobiłeś strzelając karnego, wcale nie było przypadkowe. Dlaczego?

- Niech mi pan da spokój. Ja nic nie wiem. Albo zresztą powiem... Strzeliłem na aut bo... to było okropne z tym Mundkiem i z tą depeszą... Z pewnością zszachrowane. I ja chciałem, żeby był remis, żebyśmy zagrali jeszcze raz uczciwie...

- Rozumiem cię - powiedział ze wzruszeniem kierownik. - Ale co było z depeszą? Kto ją nadał?

- Tego to ja nie wiem... Naprawdę.

- No, dziękuję ci. Możesz odejść - zakończył rozmowę Tutam.

Gdy Tomek zniknął, detektyw zwrócił się do kierownika i inżyniera:

- Teraz opuszczam panów na kwadrans.

Po kwadransie zjawił się znów w namiocie. Szedł w towarzystwie Mundka, który właśnie wrócił z Warszawy.

- Tato! - zawołał Mundek wchodząc do namiotu. - Co to się stało? Skąd się wzięła ta depesza?

- No, jak się masz. Jesteś nareszcie. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła.

- Mój drogi. Czy mógłbyś mi ją pokazać? - zwrócił się Tutam do Mundka.

- Depeszę? Proszę... Trochę się wymiętoszyła...

- I niestety podarła. Brakuje bardzo ważnego kawałka. No, trudno. Czy nie spostrzegłeś, mój drogi, gdy otwierałeś tę depeszę i gdy jeszcze była cała, skąd została nadana?

- No... Przecież z Warszawy...

- Tak. Dziękuję ci. A teraz chciałbym tu jeszcze raz zobaczyć Heńka, Andrzeja i Tomka.

Wkrótce zjawili się chłopcy.

- A więc, panie kierowniku, komunikuję panu wynik mojego dochodzenia. Depeszę nadał... - Tutam popatrzył kolejno na zebranych. - Depeszę nadał w tutejszym urzędzie pocztowym o godzinie 12.30 Mundek. Pański syn, panie inżynierze.

- Co takiego?! Mundek? Sam do siebie?! - wykrzyknął kierownik.

- Na jakiej podstawie mówi pan podobne rzeczy? - zdenerwował się inżynier Krajewski.

- Tak. Zrobił to pański syn. Potwierdzeniem tego, co mówię, jest jego milczenie.

- Ja wcale nie milczę! To nieprawda! - krzyknął Mundek.

- Mój drogi. Moje twierdzenie nie jest gołosłowne. Zaraz wyjaśnię, co mnie naprowadziło na ten nieoczekiwany trop. Ten oto oddarty od depeszy rozek, na którym - proszę popatrzeć - widnieje napis, że depesza została nadana w tutejszym urzędzie pocztowym. Rozek ten znalazłem w kieszeni dżinsów Mundka, które zdjął przebijając się przed wyjazdem do Warszawy. Czy mógłbyś nam powiedzieć, dlaczego oddarłeś ten rozek?

- Wcale nie oddarłem! Wsadziłem depeszę do kieszeni, potem ją wyciągnąłem i kawałek się urwał... To ma być dowód, że ja nadawałem? Też!

- To znaczy, że twoja matka przyjechała tu, żeby ją stąd nadać, czy tak? - mówił

nieubłaganie Tutam. - Bo twoja matka podpisana jest na depeszy...

- Niech mi pan da spokój! Przyczepił się pan do mnie...

- Twierdzą, mój drogi, że ten oddarty strzępek nieprzypadkowo znalazł się w twojej kieszeni. Chodziło ci o zatarcie śladów, ale zrobiłeś głupstwo...

- Jakie zatarcie?! Ja nic nie wiem!

- Więc jeszcze się nie przyznajesz? Dobrze. Proszę poprosić urzędniczkę pocztową, która przyjmowała depeszę. Dziękuję, panie inżynierze, że zechciał pan przywieźć nam tu tę panią swoim samochodem...

- Proszę bardzo.

- Może pani będzie uprzejma - zwrócił się do niej Tutam - wskazać chłopca, od którego dziś przyjęła pani zgłoszenie telegraficzne.

Urzędniczka powiodła wzrokiem po chłopcach i wskazała Mundka.

- To ten.

- Mundek! - wybuchnął ojciec. - Co ma znaczyć ta komedia?!

- Bo ja... musiałem być w Warszawie w tym czasie, kiedy ten mecz, bo... - jękał się załamany Mundek.

- Bo co?!

- Bo tego... Niech mi tata da spokój! - Mundek rozryczał się jak małe dziecko.

- Nie rycz. Mów.

- No, bo tego... Dziś są urodziny Marysi... I ja musiałem.

Chłopcy parsknęli śmiechem.

- On musiał z bukietem róż do swojej damy!

- On wolał Marysię od meczu!

- Ale z ciebie sportowiec!

- Odczepcie się! Meczów miałem pięćdziesiąt, a Marysia...

Tak się skończyła ta ósma historia detektywa Tutama. Zabawna była i prawdziwa, choć może się wydawać nieprawdopodobna. Często tak zdarza się w życiu. Nie trzeba dodawać, że Mundek ciężkie miał życie przez te ostatnie dni wakacji, a nawet jeszcze potem. Wszyscy się z niego naśmiewali, z tej jego eleganckiej wyprawy na urodziny Marysi. Tak to się wygląda, gdy się zrobi głupstwo. A co jeszcze warto dodać na zakończenie? To, że nie można pochopnie nikogo posądzać ani oskarżać. Można tu było łatwo i niesłusznie podejrzewać Heńka albo Andrzeja. Albo Tomka. Ale od czego mistrz detektyw Tutam?

## **Buty**

*(Dziewiąta przygoda detektywa Tutama)*

Pewnego październikowego dnia, kiedy to najnieoczekiwanej w świecie odchodzące w głęboką jesień lato wróciło jeszcze raz na pożegnanie do ludzi i do parków, Wacek i Jacek wybrali się na kasztany. Wiadomo, że to bardzo fajna zabawa rzucać patykiem w kolczaste kule ukryte wśród rdzewiejących liści. Gdy rzut jest celny, spada taki granat, a z niego wypadają lśniące bliźniaki albo trojaczki - kasztany, kasztany, kasztany.

- Moi mili chłopcy - zwróciła się w pewnej chwili do Wacka i Jacka kuśtykająca o lasce starsza pani - czy nie odstąpilibyście mi choć trochę tych waszych kasztanowych skarbów, bo, wiecie, jak się takie kasztany nosi przy sobie, to podobno dobrze robi na reumatyzm. A ja tak kuśtyk-kuśtyk właśnie z powodu reumatyzmu.

- No pewno, że możemy pani odstąpić - powiedział Jacek.

- Ile tylko pani chce - dopowiedział Wacek.

- Dziękuję wam, dziękuję. Tu nasypcie... Do tego woreczka. Dosyć, dosyć... Bardzo jesteście mili. A z której wy jesteście szkoły? Będę wszystkim o was mówiła.

- A ze szkoły nr 21.

- A z której klasy jesteście? Pewno z trzeciej...

- Z jakiej tam trzeciej. Z czwartej! - oświadczył z durną Jacek.

- Już z czwartej. Jak ten czas leci... Do widzenia! Do widzenia!

To powiedziawszy staruszka pokuśtykała w głąb parku i usiadła na ławce w słońcu. Wacek i Jacek powędrowali w następną alejkę. Tam uwagę ich zwrócił, wyciągnięty na ławce na całą długość, śpiący człowiek. Wyglądał jakby płynął do nieba.

- Zobacz! Ale fajowy! - zachichotał Wacek.

- O raju! Ale śpi, aż gwizdże!

- Zobacz, jakie ma pedały w tych czerwonych skarpetach!

- Przez sen rusza paluchami!

- Ale wieloryb!

- Patrz! Buty postawił pod ławką jak przy łóżku.

- Wiesz co? Schowamy mu te buciory. Tak dla hecy.

- Dobra! Tylko gdzie?

- Wrzucimy do kosza od śmieci.

- Do kosza? A może na kasztan, na ten konar...

- Dobra! Ty jeden, ja drugi.

- Raaz! Dwa... O raju! Ktoś idzie! W krzaki!

Jacek i Wacek każdy ze „swoim” butem w ręce rzucili się do ucieczki. Niemal pusty park do tego momentu raptem wypełnił się ludźmi. Jakby wyrosli spod ziemi. I jakby

wszyscy szukali oczami Jacka i Wacka. Tak im się zdawało, no bo wiadomo: na złodzieju czapka gore. Stali w bocznej alejce nie wiedząc, co zrobić z butami. A „wieloryb” spał w dalszym ciągu. W pewnej chwili przez błękitne niebo przepłynął odrzutowiec, a za nim grzmot silnika, późniejszy niż przelot. „Wieloryb” zerwał się na równe nogi, rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem dookoła, podrapał się w głowę i uśmiechnął się zrozumiawszy, że to odrzutowiec, a nie trzęsienie ziemi. Przeciągnął się, kiwnął dużym palcem u prawej nogi, potem u lewej - i nachylił się chcąc włożyć buty. Butów nie było. „Wieloryb” bardzo niespokojnie zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

- I co ja teraz zrobię! - jęknął zrozpaczony.

- Co panu się stało? - spytał przechodzący starszy pan z dwoma jamnikami na podwójnej smyczy.

- Buty mi ukradli! Zdjąłem, bo mnie gniotły. Zdrzemnąłem się, no, i zostałem na lodzie...

- Całe szczęście, że jeszcze lodu nie ma. Słonko przygrzewa.

- Ładne mi szczęście! Człowiek zdrzemnąć się nie może, bo zaraz coś takiego...

- Przepraszam pana... - do rozmawiających zbliżył się niewysoki pan z fajeczką. -

Rozmowa panów bardzo mnie zainteresowała ze względów zawodowych. Jestem detektyw Tutam. Spróbuję odszukać pańskie buty, no, a tym samym wykryć sprawców tego figla czy kradzieży. Niestety, na razie nic pana nie uratuje od marszu w skarpetach do najbliższego sklepu z obuwem. Radzę kupić trampki. Jeśli pan nie ma pieniędzy, służę pożyczką.

- Dziękuję. Jakoś dojdę. Pieniądzy chyba mi wystarczy. Ale dałem z siebie zrobić balona w skarpetach!

- Zdarza się. Zanim pan powędruje, zapiszę sobie pana nazwisko i adres. Jeśli się buty znajdą, zawiadomię pana.

- Dziękuję. Alojzy Grzyb. Ulica Dromaderów 7. Ale dałem z siebie zrobić balona!

Detektyw Tutam odszedł powoli w głąb parku. Kilka razy zatrzymywał się spoglądając w niebo, potem w ziemię - myślał. W pewnej chwili jakby się rozprostował i już zdecydowanym krokiem pomaszerował w kierunku ławek, stojących frontem do słońca, na których tu i tam wygrzewali się ludzie. Tutam nawiązywał tu i tam rozmowy - takie niby towarzyskie, a w gruncie rzeczy...

Nazajutrz przed rozpoczęciem lekcji w szkole nr 21 zjawił się detektyw Tutam. Woźna Rozalia patrzyła na niego nieufnie. Detektyw oświadczył w kancelarii, że musi zobaczyć się z kierownikiem. Oczywiście natychmiast został przyjęty.

- Panie kierowniku - powiedział - przepraszam, że mieszam się w sprawy szkoły, ale

zmuszają mnie do tego obowiązku. Chodzi o wyjaśnienie pewnego złośliwego figla, którego dopuścili się nieznanymi sprawcy wczoraj w parku o godzinie 12.

- Słucham pana. Czym mogę służyć?

- Mam jedno pytanie i jedną prośbę. Oto pytanie: Czy dzisiaj w IV klasie jest lekcja języka polskiego?

- W IV klasie... Zaraz... Jest.

- To doskonale. A oto moja prośba. Czy nie zechciałby pan zarządzić na tej lekcji klasówki na temat przeze mnie podsunięty?

- To ciekawe... Dobrze. Zgadza się.

Klasówka z polskiego nie była dla „czwartaków” zaskoczeniem, bo już od kilku dni zanosilo się na ten dopust. Nie było tylko wiadomo, co to będzie: dyktando, gramatyka czy wypracowanie. Okazało się, że wypracowanie. Tytuł pojawił się białym na czarnym wypisany kredą przez panią od polskiego.

„Moja ostatnia wyprawa do parku.” Głowy pochyliły się nad pulpitemi i zeszytami. Rozpoczęło się pisanie. Po klasówce pani od polskiego wzięła zebrane zeszyty pod pachę i powędrowała prosto do gabinetu kierownika. Tam czekał na nią detektyw Tutam.

- A więc pozwoli pani, że zanim pani zajmie się tymi zeszytami jako nauczycielka, ja zajmę się nimi jako detektyw.

- Proszę bardzo. Tak zostało ustalone.

Detektyw pogрузił się w lekturze. Czytał z wyrazem skupienia na twarzy, czytał i odkładał zeszyt po zeszyt. Stos zeszytów rósł i rósł. Wyraz twarzy detektywa nie wyrażał zadowolenia. W pewnym jednak momencie Tutam uśmiechnął się triumfalnie.

- Panie kierowniku - powiedział - byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan tu wezwać Jacka Krajewskiego, autora tego oto wypracowania.

- Skoro pan sobie życzy... A dlaczego Jacka?

- Niech pan posłucha - detektyw powiódł palcem 83po koślanych literach: - „...jak żeśmy już dosyć tych kasztanów natłukli i wypchali nimi kieszenie, to żeśmy chcieli iść, ale wtedy właśnie przykużyła taka jedna staróżka (ten wyraz napisany jest przez o kreskowane i ż - wtrącił detektyw) i chciała, żebyśmy jej dali kasztanów na reumatyzm. To żeśmy dali, chociaż, co mogą mieć kasztany do reumatyzmu? (Rozmawiałem z tą staruszką - wtrącił Tutam. - To ona naprowadziła mnie na trop i skierowała tu do szkoły.) Jak żeśmy skończyli z tą staróżką, tośmy poszli dalej i żeśmy zobaczyli na jednej ławce takiego „wieloryba”, co spał i był bez butów, bo go piekły - no, to je postawił obok. No, to żeśmy sobie powiedzieli, że można by mu zrobić kawał i te buty schować. I Wacek już je chciał wrzucić do śmietniczki,



ale ja mu powiedziałem, że nie, bo takich głupich kawałów grzeczne dzieci nie robią. No, to poszliśmy dalej”. Detektyw przerwał czytanie.

- To się nazywa przyjaźń - powiedział kiwając głową Tutam.

- Panie kierowniku, czy ten Wacek to Wacek Majewski? Mam tu jego zeszyt.

- Tak. Jedyne bodaj Waclaw na liście IV klasy. Jacek Krajewski przyjaźni się z Majewskim.

- Hm. To Majewski jest sprytniejszy od Krajewskiego, czyli Wacek od Jacka.

- Tak?

- No, tak. Bo napisał wypracowanie o liściach jesiennych, o babim lecie i o odlatujących ptakach, a o tej historii z butem ani słowa. Ale pomimo to proszę wezwać i Wacka.

Wkrótce zjawili się chłopcy. Patrzyli niespokojnie i w bok. Detektyw zaatakował ich bez pardonu.

- To wyście schowali wczoraj w parku buty Alojzemu Grzybowi?

- Alojzemu Grzybowi? - burknął Jacek. - Ja nie znam żadnego Alojzego...

- Żadnego Grzyba... - odburknął Wacek.

- Ja znam borowika, maślaka, rydza...

- Nie żartuj. Trudno powiedzieć, żebyście go znali, ale to właśnie jemu zabraliście wczoraj buty. Gdzie one są?

- My? Buty?

- My żadnych butów...

- Hm. Twierdzicie, że to nie wy. A skąd wziął się za skrzynią na podwórzu ten oto but? - Detektyw wyjął z teczki jeden z wczorajszych buciorów.

- Ten but? Nie mam pojęcia... - mruknął Jacek.

- Ten but... - jęknął Wacek.

- Panie kierowniku, niech wejdzie woźna Rozalia.

Woźna zjawiała się za moment.

- Co pani wie o tym bucie? - zwrócił się do niej Tutam.

- A co? To, co panu powiedziałam.

- Niech pani powtórzy przy panu kierowniku i chłopcach.

- Ano, Wacek go rzucił za skrzynię na podwórzu. Widziałam, bo właśnie wynosiłam śmiecie.

- I co ty na to? - Tutam zwrócił się do Wacka. Wacek chlpał.

- Bo ja... Bo ja nie wiedziałem, co z tym butem zrobić...

- Gdzie jest drugi but? - pytał nieustępliwie detektyw.

- Ja nie wiem. Ja miałem jeden...

- A kto miał drugi?

- Ja... nie wiem...

- A kto wie? Jacku - detektyw zwrócił się do drugiego delikwenta - co zrobiłeś z drugim butem? Czy też nie wiedziałeś, co z nim zrobić?

- A szurnąłem go w domu na antresolę - burknął ponuro Jacek.

- No, tak, panie kierowniku - powiedział Tutam. - To ja zrobiłem swoje. Oto adres Alojzego Grzyba. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby Jacek i Wacek odnieśli mu buty. Wymiar sprawiedliwości rzecz jasna należy do pana. Dziękuję, panie kierowniku. Polecam się łaskawej pamięci. Do widzenia!

- Do widzenia panu. Dziękuję panu serdecznie. Jest pan niezawodny. Winni zostaną ukarani.

Jeszcze tego popołudnia Alojzy Grzyb włożył swoje buty na wielkie stopy w czerwonych skarpetach.

## **Zając**

### ***(Dziesiąta przygoda detektywa Tutama)***

Atmosfera zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia przenika rokrocznie wszystko, co się dzieje na świecie. Z tego powodu i ta dziesiąta historia detektywa Tutama również ma charakter świąteczny. Posłuchajcie.

Najpierw musicie zorientować się w sytuacji. Musicie wyobrazić sobie budynek, w którym zdarzyła się ta nadzwyczajna historia z zającem. Ten trzypiętrowy dom był lewym skrzydłem zespołu bloków, stanowiących część nowego i wesołego osiedla.

Na pierwszym piętrze w kawalerce z balkonem mieszkał pewien stary kawaler - grajek z orkiestry symfonicznej, grający na waltorni. Waltornia jest to - jak pewno wiecie - instrument dęty, inaczej zwany róg. Głos rogu kojarzy się z polowaniem. Tak, tak. Pan Dmuchański, ów waltornista, też lubił polowania i czasem, gdy nie musiał dąć w swoją waltornię, wymykał się na polowanie i - pach! pach! - kroił do zający. Jeśli nie spudłował, wówczas na jego balkonie pojawiał się powieszony za skoki słuchami w dół zając.

Na pierwszym piętrze w tym samym pionie, także w kawalerce z balkonem, mieszkał pan Wiewiórski, ogrodnik z miejskiego parku, odznaczający się tym, że po swej pracy na świeżym powietrzu zawsze miał wspaniały apetyt. Miał, jak to się mówi, brzuch bez dna. Zimą park pana Wiewiórskiego zamierał, ale jego apetyt nie.

A na trzecim piętrze nad panem Wiewiórskim i Dmuchańskim mieszkał po jednej

stronie klatki schodowej Mietek, a po drugiej - jego przyjaciel Kazik.

Na kilka dni przed Świątami waltornia pana Dmuchałskiego zamilkła. Znak oczywisty, że artysta pojechał na polowanie. Tak było rzeczywiście. Wyjechał w sobotę, wrócił w niedzielę wieczorem z łupem. Z zającem. Wszedł do swojej kawalerki, otworzył drzwi na zaśnieżony balkon i powiesił zająca, żeby skruszał, na gwoździu sterczącym w ścianie działowej, oddzielającej jego balkon od balkonu sąsiada. Pan Dmuchałski cieszył się myślą, że ma oto prezent świąteczny dla dyrektora orkiestry - że ma wspaniałego zająca.

Jakież było jego rozpaczliwe zdumienie, gdy nazajutrz po powrocie z przedpołudniowej próby stwierdził, że zająca nie ma.

O dziwnym wydarzeniu dowiedział się detektyw Tutam, no, bo pan Dmuchałski trąbił o tym na cztery strony świata.

- Myślę, że sprawa da się wyjaśnić - powiedział detektyw spokojnym głosem do wzburzonego waltornisty. - Upolowanemu zającowi nie mogły wyrosnąć skrzydła. Nie wyfrunął. Ktoś go musiał... Pan rozumie.

- Rozumiem. Ktoś mi go ukradł! Ale jak? Kiedy? Zamykam przecież, gdy wychodzę, moją kawalerkę na trzy zamki i trzy spusty.

- Niech się pan nie denerwuje. - Detektyw patrzył na balkon. - Zając wisiał tu, na tej ścianie działowej?

- Tak.

- A kto tu mieszka obok?

- Nauczycielka. Pani Waleria Cierpliwa. Anioł na emeryturze. Toleruje z uśmiechem moją waltornię.

- A pod panem?

- Ogrodnik. Pan Wiewiórski.

- Kto to taki?

- Człowiek żyjący zielenią.

- Jarosz?

- Nie to miałem na myśli. Człowiek kochający drzewa i krzewy. A co do jedzenia - podobno odznacza się nienasyconym apetytem.

- O! To ciekawe...

- Ale nie! To niemożliwe, żeby to on. A zresztą...

Wszystko jest na tym świecie możliwe. Jestem niepocieszony po stracie mojego zająca. - To powiedziawszy pan Dmuchałski zadał smutno na swojej waltorni. Detektyw pożegnał się z muzykiem i - głęboko zamyślony - poszedł o piętro niżej do pana

Wiewiórskiego. Zastał go coś majstrującego na balkonie.

- Moje uszanowanie panu... - witał się uprzejmie i gościnnie ogrodnik z detektywem. - Czym mogę panu służyć? Aplegierkiem? Właśnie przywiązuję do poręczy balkonu ten oto kawałek kielbasy, chociaż sam mam na niego apetyt. To dla sikorek... Ja kocham, panie inspektorze, ptaszki!

- I zieleń - dodał Tutam.

- Tak. I zieleń. Żyję zielenią!

- Ale chyba nie tylko zielenią?

- No, tak. Nie tylko. Samą zielenią żyją kozy.

- I zające - dorzucił niby od niechcienia detektyw.

- Tak! I zające... Ha, ha!

- Otóż to. Sąsiadowi pana, panu Dmuchalskiemu zginął zając. Czy nic panu o tym nie wiadomo?

- Panu Dmuchalskiemu? Zając? Nie może być... Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nic? A czy czasem nie ma z nim czegoś wspólnego ten zapach, który dolatuje tu z pana kuchenki? Przysięgłbym, że to zając w śmietanie,

- Z kuchenki? Ha, ha! - Śmiał się nerwowo pan Wiewiórski. - Z kuchenki... Rzeczywiście zając w śmietanie... Ha, ha! Człowiek lubi sobie pojeść. Oj, lubi! Ale przecież zająca, który tu u mnie pachnie, nie zabrałem panu Dmuchalskiemu! Kupiłem go pięć dni temu w delikatesach. Dopiero dziś go udusiłem.

- Hm. Dziwny zbieg okoliczności. Dwa zające. Jeden wyżej, drugi niżej. No, dziękuję panu. Pozwoli pan, że wyjrzę jeszcze na pana balkon.

- Proszę bardzo!

Tutam wyszedł na balkon, odgarnął śnieg końcem buta tu i tam. Nachylił się, popatrzył... Podniósł jakiś sznurek...

- Dziękuję panu - powiedział. - Nic szczególnego tu nie widzę. Do widzenia!

Nadeszły Święta. Święta Betlejemskiej Gwiazdy, stajenki, pastuszków, trzech króli, lecz przede wszystkim Pana niebios i ziemi zrodzonego na sianku. Święta niosące radość wszelkiemu stworzeniu. Sprawa zająca utknęła na martwym punkcie i jakby poszła w zapomnienie. Uwagę mieszkańców zajęła inna sprawa. Komitet Blokowy, dbający o blok, a także o jego mieszkańców i tych dorosłych, i tych młodocianych i małych - podał do wiadomości sensacyjną wieść, że w dniu Wigilii przybędzie do osiedla Święty Mikołaj z workiem prezentów dla „grzecznych dzieci”.

- Grzeczne. Ha, ha! - szydził Kazik. mały lokator z trzeciego piętra.

- Aniołeczki. Hi, hi! - wyszydzał Mietek, sąsiad Kazika z tego samego piętra.
- Grzeczne dzieci dostaną po pierniczku.
- Aniołeczki dostaną ptasiego mleczka.
- Co za pomysł, żeby w wieku atomowym zawracano głowy Świętym Mikołajem?!
- Może sobie być i Święty Mikołaj, jeżeli przyniesie coś fajnego.

Pomimo tych „nowoczesnych” komentarzy sprawa Świętego Mikołaja trzymała wszystkich w napięciu i wzruszeniu. Od pierwszej gwiazdy mali lokatorzy nasłuchiwali i wypatrywali: idzie czy nie idzie? Zapalone choinki promieniowały świątecznym nastrojem, z radioodbiorników płynęły tony kolędy „Bóg się rodzi, moc truchleje...”. Wszyscy się radowali. Wtedy właśnie gruchnęła wieść, że jest Święty Mikołaj, że był w sąsiednim bloku, a teraz idzie, idzie, idzie i zaraz tu będzie... tu!

Kazik i Mietek majstrowali coś pośpiesznie przy elektrycznej instalacji świeczek, bo gdzieś się przerwał obwód, gdy nagle... Tak. Rozległ się dzwonek.

- Kto to może być? - powiedział ze zdziwieniem w głosie ojciec Kazika, nieznacznie mrugając do mamy. Poszedł otworzyć. Tak. W drzwiach ukazał się brodaty i zaśnieżony Święty Mikołaj.

- Dobry wieczór! Dobry wieczór! - mówił grubym głosem zdejmując futrzane rękawice. - Przyszedłem, jak co roku, wszystkim państwu życzyć wszelkiej pomyślności... Dobrej gwiazdy na cały rok, zdrowia, piątek, pieniążków, dobrego humoru, pogody!

- Dziękujemy. Wzajemnie.

- Przyszedłem do wszystkich, ale przede wszystkim do moich małych przyjaciół. Mam tu jeszcze z pół worka... Może się co i dla was znajdzie. Skromne są moje upominki, ale zawsze... Powiedz mi, Kaziu, ha, ha! Stary Mikołaj zapyta nowym językiem... Powiedz mi, czy masz jakieś hobby,?

- Mam. Znaczki pocztowe.

- Filatelista, filatelista. No, dobrze. Mam tu coś dla ciebie... Serię z kotami. Masz taką?

- Nie.

- To doskonale. Proszę, proszę... To ode mnie na pamiątkę dzisiejszej Gwiazdki.

- Dziękuję.

- A ty, Mietku, jakiego masz „konika”?

- Ryby.

- Aha, aha... Wędkarz jesteś, jeśli cię dobrze rozumiem.

- Tak. Okropnie lubię łowić ryby i dlatego nie lubię zimy.

- Rozumiem, rozumiem... Chciałbym, Mietku, zobaczyć twój sprzęt wędkarski, bo chcę ci podarować to, czego nie masz.

- Ja mam spinning własnej roboty... - Mietek pobiegł do swego pokoju i zdjął ze ściany, wiszący na dwóch gwoździach bambus.

- Pokaż, pokaż... O! Urwana żyłka... Nie ma kotwicy i błyszczka.

- A nie ma. Urwała się...

W tym momencie stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Święty Mikołaj jednym ruchem ręki zdjął sztuczny nochal i brodę, odrzucił na plecy kaptur. Przed zebranymi stał detektyw Tutam.

- O! - zawołali razem, jak na komendę, zdziwieni chłopcy.

- Przepraszam państwa - zwrócił się detektyw do rodziców Mietka - za tę moją nieoczekiwaną wizytę, ale ja co roku w Wigilię w tym tradycyjnym przebraniu odwiedzam moich przyjaciół i klientów.

- To naprawdę nieoczekiwana wizyta! Bardzo nam miło! - powiedziała rozbawiona mama Mietka. - Proszę, niech pan siada, panie inspektorze. Mamy świetny barszczyk!

- Dziękuję. Zdaję sobie dobrze sprawę, że moja dzisiejsza wizyta jest bardziej niż nieoczekiwana. Bardzo przepraszam. Ale widzą państwo, nastrój świąteczny bardzo sprzyja i ułatwia załatwienie z uśmiechem nawet najtrudniejszych spraw. Otóż właśnie mam tu u państwa pewną trudną sprawę do załatwienia.

- Cóż takiego? - zapytał z zaciekawieniem w głosie ojciec Mietka.

- Chodzi mi o zająca.

- A jakiego zająca?

- Tego, który zginął panu Dmuchałskiemu, a który zjawił się na balkonie pana Wiewiórskiego.

Chłopcy popatrzyli na siebie niespokojnie.

- Cóż my możemy mieć wspólnego z tym zającem? - pytała mama Mietka.

- Dużo, proszę pani.

- Nie rozumiem.

- Ale Kazik i Mietek rozumieją.

- My? - mruknął Mietek.

- Dlaczego my? - domruknął Kazik.

- Ej że! A co to takiego? - To mówiąc Tutam wyjął z kieszeni kotwicę z błyszczem na urwanej żyłce spinningowej. Mietek skamieniał, Kazik przestępował z nogi na nogę.

- Jak to było? - nastawał na chłopców Tutam.

- No, jak? Urwała się... - jęknął półszepsem Mietek.

- Kiedy? Mów wszystko i dokładnie.

- No, tego... Myśmy tu z balkonu łowili tego zająca. No, bo jak ryb nie ma...

- Tego zająca z drugiego piętra od pana Dmuchałskiego? - precyzował sytuację Tutam.

- Myśmy go zahaczyli i spuścili na balkon pana Wiewiórskiego na pierwsze piętro... Ale kotwica nie chciała puścić, to tego... Szarpnąłem... I zerwała się.

- Ano właśnie - uśmiechnął się Tutam.

- Mietek! Ładnych ja się rzeczy w tym uroczystym dniu dowiaduję! - wybuchnął ojciec.

- Niech pan się nie irytuje - przerwał mu spokojnie Tutam. To przecież w gruncie rzeczy bardzo zabawny kawał, bo pan Wiewiórski myślał, że mu zając spadł z nieba, i wszystko byłoby tylko kawałem, gdyby nie to, że pan Wiewiórski nie opanował swego łakomstwa i zjadł tego zająca.

- Dobrze, dobrze! - grzmiał ojciec Mietka. - Ale ja nie mogę tolerować takich wybryków. Mietek! Kazik! Ja wam...

- Proszę pana - przerwał mu Tutam - niech blask choinki i tej gwiazdy, co świeci na jej wierzchołku, załagodzi sprawę. Spróbujmy inaczej. Wyślemy Mietka i Kazia z tym oto zającem - mówiąc to Tutam wyjął z torby pięknego szaraka - odkupionym przez pana Wiewiórskiego dla pana Dmuchałskiego. Załatwiłem z panem Wiewiórskim. Idźcie chłopcy. Hej, kolęda, kolęda! Ja też muszę już iść. Do widzenia państwu? Wesołych świąt...

Chłopcy poszli. Wkrótce z drugiego piętra rozległ się głos waltorni, wydmuchujący kolędę: „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...”

## **Sznur**

### ***(Jedenasta przygoda detektywa Tutama)***

Jak wiadomo, każda pora roku ma swoje humory, barwy, swoje radości i smutki, swoje stroje - i swoje sporty. Latem jest zielono, zimą białe, latem chodzi się w białym, zimą - w czerwonym, latem pływa się w morzu, zimą jeździ na nartach w górach.

Otóż to! Na nartach. Ta nowa historia detektywa Tutama wiąże się z feriami zimowymi - ze śniegiem i nartami. To, co opowiedział nam znakomity detektyw, wydarzyło się w Karkonoszach, w pewnej niewielkiej miejscowości położonej u stóp wspaniałej Śnieżki. Nie była to królewna, lecz góra, znacznie od królewny piękniejsza.

Niestety, historia, która tam właśnie się wydarzyła, historia ze sznurem bynajmniej piękna nie była. O, nie! Tutam opowiadał ją z głębokim smutkiem, bo to, co zrobili Robert i

Marek, pobiło chyba wszystkie rekordy wstrętnej przebiegłości, niesportowego zaślepienia i wprost tępoty myśli i serca. Znakomity detektyw uważał jednak, że historię tę należy podać do jak najszerzej wiadomości publicznej, ponieważ jest ona - jak mówił - alarmowym znakiem ostrzegawczym dla wszystkich zainteresowanych.

A więc działo się to w Karkonoszach w zaśnieżonej dolinie, wśród świerków w białych czapach i kołnierzach, wśród świerków śniących zimowe sny o wiosennych krokusach. Rozgrywały się właśnie zawody między dwiema szkołami, które miały tam swoje zimowe kolonie. Chłopcy z jednej szkoły nazywali chłopców z drugiej „Borsukami”, a ci z drugiej tych z pierwszej - „Niedźwiedziami”. To było takie wzajemne przypinanie łatek. Jednym chodziło o wykpienie skłonności do długiego spania, drugim o brak zręczności. Chłopcy spod znaku „Borsuka” byli wagi borsuczej, a spod znaku „Niedźwiedzia” - niedźwiedziej. To mówi samo za siebie. Nic też dziwnego, że ci drudzy patrzyli na pierwszych z niepokojem, zwłaszcza na Zenka, który w biegach na nartach był wprost niezrównany.

Zawody, o których jest mowa, były taką małą narciarską olimpiadą. W jej program wchodziły i skoki ze specjalnie uklepanej skoczni, i slalom na „oślej łączce” - no, i bieg płaski na dystansie kilometra po trasie wijącej się w smrekowym lesie. Otóż po skokach i zjazdach wynik zawodów był remisowy, a o rezultacie końcowym miał zdecydować ten właśnie bieg wśród smreków. Jego faworytem był Zenek, chłopiec o czarnej czuprynie, ubrany w czarne pończochy i z sercem jak dzwon.

Chłopcy spod znaku „Niedźwiedzia” chodzili z nosami zwieszonymi tak nisko, że od nosów tych powstawały znaki na śniegu.

- Leżymy jak ciapki...

- Żaden „Niedźwiedź” nie da rady Zenkowi...

Do tego „historycznego” biegu reprezentanci obydwu szkół startowali w odstępach minutowych, w kolejności ustalonej drogą losowania. Start i meta znajdowały się w pobliżu siebie obok potężnego świerka, gdyż trasa stanowiła krąg wytyczony - jak się rzekło - w ośnieżonym lesie.

Pierwszy ruszył ze startu Janek „Borsuk”. Jako pierwszy musiał pracować dla wszystkich. Przecierał pierwszy ślad. Kopiąc się w śniegu beznadziejnie tracił cenne sekundy.

W minutą po nim, po przetartym już śladzie wybiegł Marek „Niedźwiedź” i począł zbliżać się do Janka. Wkrótce siedział mu na plecach.

Tak kolejno, jeden za drugim, wystartowali wszyscy narciarze. Wśród nich na dalekiej pozycji - Zenek. Ruszył jak burza. Wkrótce dogonił i przegonił swego pierwszego



poprzednika. Jego czarne pończochy migwały nad białą powierzchnią śniegu, a kijki podwajały szybkość kroków. Niebawem doszedł i wyprzedził drugiego. W połowie trasy był zdecydowanie najlepszym zawodnikiem biegu. I wtedy to, gdy wydawało się, że nic i nikt już nie wydrze mu zwycięstwa, na łagodnym zakręcie między dwiema ścianami świerkowego lasu, runął fatalnie ryjąc twarzą w śniegu. Wyglądało to tak, jakby ktoś nagle złapał go za nogi. Krew ciekła mu z nosa. Próbował wstać... Daremnie. Prawe kolano paliło jak przypiekane rozpalonym żelazem. Pół leżał, pół siedział z zaplątanymi nartami. Jęczał. A obok niego przejeżdżali rywale jeden za drugim, jeden za drugim...

- Co się stało? - myślał zrozpaczony. - Zaczepiłem o coś? Ale o co? Nic tu nie ma...

Łykając łzy i krew z rozciętej wargi próbował wstać. Stał z trudem, ale ból w kolanie uniemożliwiał mu dalszą jazdę. I tak to Zenek, kandydat na zwycięzcę, ledwo dowlókł się na szarym końcu do mety. Zwyciężył najlepszy „Niedźwiedź” Romek, wyprzedzając o parę sekund Andrzeja, najlepszego po Zenku przedstawiciela „Borsuków”.

Wśród „Niedźwiedzi” szumiała radość. Przypadek, fatalny dla „Borsuków” a przychylny dla „Niedźwiedzi”, rozstrzygnął sprawę na korzyść tych drugich.

- Mieliście szczęście, że Zenek miał kraksę - mówił Wiesiek do kolegów niefortunnego mistrza. - Gdyby nie jego upadek, wy leżelibyście jak ciapki. Dogonił i wyprzedził trzech zawodników.

- Gdyby, gdyby. Dylu dylu na badyłu. Takie gdybanie-dylowanie w sporcie nie ma żadnego sensu.

- Jeśli chodzi o Zenka, to ma. On w przyszłości będzie w kadrze narodowej.

Wokół poszkodowanego Zenka zebrała się grupa „Borsuków”. Mieli miny smętne i zaniepokojone. Zenek nie mógł zgiąć nogi w kolanie. Kierownik wezwał lekarza.

- Zerwanie więzadła - zawyrokował uczenie. - Wiązadła stawu kolanowego. Noga pójdzie w gips.

- Nie rozumiem tylko, panie doktorze - mówił zafrasowany kierownik - skąd na łatwej i łagodnej trasie taki fatalny upadek?

- Otóż to - odezwał się ktoś z grupy widzów otaczających poszkodowanego. - To jest zagadkowe. - Słowa te wypowiedział człowiek z fajeczką, która na mroźnym powietrzu dymiła jak lokomotywka.

- A, pan detektyw Tutam... - Kierownik kłaniał się z oznakami radości.

- Do pana usług. Przepraszam, że się wtrącam, ale tak interesuję się sportem dla najmłodszych, że specjalnie tu przyjechałem, by jako obserwator uczestniczyć w tej małej olimpiadzie. Muszę się przyznać, że to, co mówi o swym wypadku Zenek, i stan trasy w

miejscu owego wypadku daje do myślenia. Sądzę, panie kierowniku, że nie był to taki zwykły upadek, tylko... - Detektyw wypuścił kłębek dymu, uśmiechnął się i patrzył uważnie na zebranych.

- Tylko co? - pytał kierownik. - Co pan ma na myśli?

- Panie kierowniku - powiedział poważnie Tutam. - Jeżeli pan sobie życzy, żebym wyraził swój pogląd w tej sprawie, niech pan zechce zarządzić zbiórkę „Niedźwiedzi”.

- „Niedźwiedzi”? Proszę bardzo. „Niedźwiedzie”! Zbiórka!

W parę sekund uformował się długi rząd „Niedźwiedzi”.

- Dziękuję - powiedział Tutam. - A teraz, panie kierowniku, przedefilujemy razem przed tym frontem. Chciałbym przyjrzeć się każdemu „Niedźwiedziowi”, a szczególnie interesują mnie ich łapy... Ręce, chciałem powiedzieć.

- Ręce? proszę bardzo...

Detektyw w towarzystwie kierownika posuwał się powolutku wzdłuż szeregu, bacznie obserwując każdego „Niedźwiedzia”.

- Pokaż ręce...

- No, i ty...

- I ty...

- Ty...

Chłopcy i kierownik ze zdziwieniem przyglądali się tym zabiegom. Niebawem Tutam doszedł do końca niedźwiedziowego szeregu.

- No, dziękuję - powiedział. - Chciałbym teraz, panie kierowniku, zamienić z panem kilka słów w cztery oczy.

- Proszę bardzo...

Dwaj panowie odeszli na bok. Rozmawiali. A raczej detektyw mówił, a kierownik słuchał. W miarę słuchania twarz mu poważniała, stawała się surowa i w końcu głęboka zmarszczka przecięła mu czoło, Detektyw skończył i pykał fajeczkę. Chłopcy patrzyli na nich z rosnącym zaciekawieniem.

- Robert i Marek! Proszę do mnie! - zawołał kierownik.

Z grupy „Niedźwiedzi” niepewnie wystąpili wezwani i zbliżyli się do kierownika i Tutama.

- No, teraz będzie jak w kuźni - powiedział Tutam podchodząc do Roberta. - Zegnij nogę w kolanie i pokaż podeszwę. Tak. Gumowa. Z poprzecznymi nacięciami. Dziękuję.

Tutam z kolei zwrócił się do Marka:

- No, a ty? Pokaż podeszwę. Aha. Zwykłe narciarskie buty. W porządku. Dziękuję.

Wobec tego, panie kierowniku, przejdziemy chyba do kancelarii.

- Pójdziecie z nami - powiedział krótko kierownik do Roberta i Marka.

Wkrótce Tutam, kierownik i dwaj chłopcy znaleźli się w kancelarii, gdzie leżał przykryty kocem Zenek. Czekał na karetkę pogotowia, która miała go odwieźć do szpitala. Zapanowało milczenie. Po chwili Tutam odezwał się w te słowa, zwracając się do Roberta i Marka:

- Oskarżam was o dokonanie ohydnych czynu. Aby uzyskać zwycięstwo dla swoich barw, spowodowaliście upadek Zenka.

Robert i Marek milczeli jak dwa kamienie.

- Aby wyeliminować Zenka z zawodów - mówił Tutam - przeciągnęliście w poprzek trasy ten oto sznur. - To mówiąc detektyw wyjął z teczki sznur pomalowany wapnem na biało.

Oskarżeni pod wrażeniem tego faktu i słów zachwiali się i zbledli. Zenek jęknął tylko spod koca.

- Sznur ten znalazłem w lesie, zagrzebany w śniegu pod smrekiem, gdzie rozpoznałem wasze ślady, prowadzące pod wielki świerk na metę.

- My nic z tym sznurem...

- Nic? A od czego macie wapno za paznokciami? Pomalowaliście sznur wapnem na biało, żeby go nie było widać na śniegu. Tak czy nie?

Oskarżeni milczeli jak dwa głazy.

- W dodatku - mówił dalej Tutam - sznur ten „pożyczyliście” ze strychu schroniska. Zniknął stamtąd wczoraj. Dozorca miał z tego powodu przykrości. Działaliście z premedytacją. Spowodowaliście poważny wypadek. Wapno, którym malowaliście sznur, pobielilo wasze ręce i ubrania. Pobielilo również pończochy Zenka, bo sznur „złapał” go za nogi. Panie kierowniku, dalszy ciąg sprawy przekazuję w pana ręce - zakończył swoje przemówienie Tutam.

Zenek powtórnie jęknął spod koca.

Robert i Marek patrzyli na własne palce z niedoszorowanym wapnem z minami ponurymi jak dwie noce grudniowe.

- To jest wasz olimpijski wyczyn! - wybuchnął z bólem w głosie kierownik. - Czarnymi literami wpisaliście się do kroniki naszego obozu. Takie drogi nie prowadzą do zwycięstwa. Wprost przeciwnie. Prowadzą na dno dyskwalifikacji. Dyskwalifikuję was jako sportowców i kolegów. Jak długo pracuję, jeszcze nigdy z czymś podobnym się nie spotkałem.

Wieczorem chłopcy z obydwu szkół - „Niedźwiedzie” i „Borsuki” - dowiedzieli się o wyczynie Roberta i Marka. Wszyscy się od nich odwrócili jak od chorych na szkarlatynę.

### **Czarownica**

#### ***(Dwunasta przygoda detektywa Tutama)***

Ozdobą miasta, w którym rozegrała się dwunasta przygoda detektywa Tutama, był i jest - park. Założony dawno, dawno temu przez któregoś tam króla - Sasa czy Lasa - szumi po dziś dzień prastarymi drzewami o konarach sięgających obłoków, W zieleni zaś bardziej przyziemnej tu i tam stoją posągi. Jedne z nich stare, inne nowsze.

Do tego parku-ogrodu przyjeżdżały nieraz wycieczki, bo był on dumą powiatu, a nawet województwa.

Pewnego marcowego poranka zawitała tu pierwsza w tym roku wycieczka. Liczną grupę, złożoną z czwartoklasistek i czwartoklasistów, prowadziła nauczycielka, osoba bardzo zacna, ale niestety i bardzo zasadnicza, no i szczerze miłująca dzieci oraz zabytki. O każdym pomniku i o każdym niemal drzewie miała do powiedzenia coś ogromnie ważnego i ciekawego. Robiła to jednak z przesadnym zapalem, czym nieraz szkodziła sobie i pomnikom, bo zdarzało się, że zamiast zaciekawienia wzbudzała wesołość. Czyhali na takie sytuacje kpiarze i kawalarze, których nigdzie, jak wiadomo, nie braknie.

- Spójrzcie tylko na te dwa lwy kamienne - mówiła pani nauczycielka w uniesieniu, w chwili gdy spostrzegł ją detektyw Tutam. - Strzegą wejścia do najstarszej części ogrodu. Wydaje się, że potrzęsają grzywami, że zaraz wstrząsnie powietrzem ich potężny ryk!

- Nie ma obawy, proszę pani. Nie jesteśmy w ZOO - wtrącił kąśliwie Rysiek.

- Dlaczego? Może zaryczą - odezwał się kpiarsko Kazik.

- Proszę o spokój! Wspaniałe, monumentalne lwy dłuta mistrza włoskiego, którego sprowadził tu wojewoda Leon Góra w XVIII wieku. Leon pochodzi od łacińskiego słowa leo - lew. Stąd te lwy.

Heniek podśmiewał się pod nosem: - Proszę pani, a lwia paszcza, czy to część lwa, czy kwiat?

- Nie bajdurz, Heniu! Teraz idziemy na lewo. Wojtek! Zostaw wiewiórkę! Uwaga! Zbliżamy się do przepięknej rzeźby przedstawiającej tancerkę - mówiła przymykając oczy w uniesieniu nauczycielka. - Zwróćcie uwagę, co potrafił rzeźbiarz wykuć w marmurze. Co za lekkość! Co za wdzięk! Ach!

W tej chwili cała gromadka wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Nauczycielka skamieniała, sama zmieniając się w antyczny posąg, potem nerwowo przetarła oczy. Cóż to się stało z piękną tancerką? To nie była tancerka, tylko Baba Jaga! Siedziała na miotle, miała

na głowie kraciatą chustkę zawiązaną pod brodą, cała była zawinięta w wyświechtaną brezentową płachtę i - rzecz najśmieszniejsza - miała przyprawiony wielki, haczykowany nos z plasteliny.

Cała wycieczka wprost zarykiwała się ze śmiechu.

- O, retyyyy! Ale tancerka!

- Przyleciała tu z Łysej Góry!

- Na miotle!

- Ale ma nochal!

- Ozdoba zabytkowego parku! Uuuu!!

- Patrzcie! Jest tu jakiś podpis...

Rzeczywiście. Na cokole umieszczona była tektura, chyba okładka zdarta z grubego brulionu, z koślawym napisem nagryzmołonym w pośpiechu:

*Przyleciałam z Łysej Góry.*

*By ozdobić Park Kultury!*

Nowy wybuch śmiechu wstrząsnął marcowym powietrzem. Nauczycielka była całkiem wytrącona z równowagi.

- To niesłychane! - wołała w podnieceniu. - To jest stosunek do dzieła sztuki! Ładną niespodziankę przygotowali nam chuligani. Przyjeżdżamy uczyć się tu kultury, a tymczasem my możemy uczyć tych rozwydrzeńców. To są wyczyny wandalii dwudziestego wieku.

- No, co takiego wielkiego, proszę pani - próbował bronić Baby Jagi Jędrak. - Nic się przecież rzeźbie nie stało! Nikt jej nic nie utracił...

- Jeszcze by tego brakowało! Idziemy wszyscy, jak tu stoimy, do dyrekcji parku zameldować o tym, co tu się stało!

- To zbyt cenna fatyga - odezwał się nieoczekiwanie stojący opodal pan z fajeczką.

- O! Cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności! - wykrzyknęła nauczycielka. - Pan detektyw Tutam. Pan się musi zająć tą sprawą.

- Oczywiście. To zabawne i interesujące.

- Hej! Dziewczęta! Pomóżcie panu Tutamowi doprowadzić tancerkę do porządku!

- Chwileczkę, proszę pani. Najpierw muszę zrobić zdjęcie. Może zechce się pani trochę odsunąć, bo będzie pani figurować na fotografii w towarzystwie Baby Jagi.

- To byłaby pamiątkowa fotografia! - wrzasnął Kazik.

Detektyw pstryknął zdjęcie.

- Dziękuję. A teraz porozmawiamy z dozorcą, tym, który tam na szpikulec laski nadziewa porzucone papiery. Hallo! Proszę pana!

Dozorca podszedł kuśtykając.

- Niech no pan spojrzy, jak panu nieznani sprawcy przyozdobili tancerkę.

- O! - wykrzyknął dozorca spostrzegłszy Babę Jagę. - Co to, panie łaskawy?

- Baba Jaga przyleciała z Łysej Góry, by ozdobić Park Kultury! - żartował Felek.

- Trzydzieści lat pracuję w tym ogrodzie, panie łaskawy, i nigdy nic takiego! A łapserdaki, hulajnogi, bezecniki!

- Przez trzydzieści lat nic podobnego się nie zdarzyło - podchwycił Tutam. - To piękny kawał czasu.

- Ho, ho! Nasza publiczność szanuje, panie łaskawy, swój park i swoje posągi.

- Widać na załączonym arcydziele - zakpił Heniek.

- Widzi pan, lichy nie śpi. Po trzydziestu latach zdarzyło się. Trudno. Mnie w tej chwili chodzi o pewien szczegół. Czy pan tędy już dzisiaj przechodził?

- No, jasne, że przechodziłem, panie łaskawy! Jak żem szedł do pracy. Codziennie tędy kuśtykam.

- I jak wtedy wyglądała tancerka?

- Jak najlepiej. Normalnie. Bez tych łachów, panie łaskawy.

- A o której to było godzinie?

- O ósmej.

Detektyw spojrział na zegarek.

- No, tak. Dziękuję panu. Teraz jest dziewiąta trzydzieści. Nie zajmuję panu więcej czasu. Do widzenia!

Dozorca pokuśtykał w swoją stronę nadziewając na szpikulec papierki i mrucząc swoje: „Panie łaskawy”.

- Teraz zajmijmy się garderobą tancerki - powiedział uśmiechając się Tutam. - Proszę o pomoc.

Chętnych było wielu. Po chwili tancerka już nie była Babą Jagą, tylko sobą - lekko tańczącą dziewczyną.

- Dziękuję. Chustka i nos pójdą do teczki, tektura z napisem też. Brezent złożymy w „kostkę”. O tak. Miotłę też wezmę, bo jeśli jest zaczarowana, to dolecę na niej szybko tam, gdzie trzeba.

- Na Łysą Górę?

- Nie. Do kłębka tej sprawy.

Detektyw wkładając do teczki wymienione przedmioty bacznie im się przyglądał: chustka, nos, tektura... Po chwili z uśmiechem zwrócił się do nauczycielki.

- Rozumiem pani oburzenie. Jest pani, jak zauważyłem, wielką entuzjastką historii sztuki. Ta maskarada rzeczywiście mogła panią zboleć. Ale niech pani będzie spokojna. Wykryjemy sprawcę.

- Wykryjemy i ukarzymy! - zagrzmiała nauczycielka.

- Ja zajmę się wykryciem - odpowiedział spokojnie Tutam. - W związku z tym chciałbym zadać pani pewne pytanie, od którego może wiele zależeć, ale chciałbym to zrobić w cztery oczy.

- Proszę bardzo... - powiedziała nauczycielka z tonem zdziwienia w głosie.

Odeszli w boczną alejkę.

- Chciałbym, proszę pani, wiedzieć, gdzie pani ulokowała swoją wycieczkę. Chodzi mi o nocleg i posiłki.

- W hotelu turystycznym PTTK.

- Pani tu przyjechała ze swą wycieczką z Nowej Woli, prawda?

- Tak.

- A czy, proszę pani, dziś wszyscy uczestnicy wycieczki nocowali w hotelu?

- Wszyscy. Z wyjątkiem...

- Więc były wyjątki?

- Tak. Były. Z wyjątkiem Eli, Ryśka i Heńka, którzy mają tu swoich bliskich. Trójce tej pozwoliłam spędzić wczorajszy wieczór oraz przenocować, jak to się mówi, „na łonie rodziny”.

- I trójka ta dołączyła do wycieczki dziś rano?

- Tak. Tu przed ogrodem.

- A czy mogłaby szanowna pani, nie alarmując nikogo z wymienionych postaci, podać mi adresy tych trzech rodzin, które gościły uczestników wycieczki?

- Owszem. Mogę. Takie rzeczy zawsze notuję, bo nigdy nie wiadomo. Nauczycielka wyciągnęła notes.

- Proszę: Ela... Ale zaraz. Na co panu te adresy?

- Nic. Drobiazg. Pozwoli pani, że odpowiem pani na to dziś wieczorem.

- Jest pan tajemniczy. Proszę. Niech pan sobie przepisze adresy.

- Tajemniczy? Po prostu muszę załatwić parę szczegółów związanych z naszą tancerką.

- Ale, na Boga, cóż z tą chuligańską sprawą mogą mieć wspólnego moi wychowankowie?

- Być może, nic. Do widzenia. O której kolacja?

- O dwudziestej.

- A więc będę o dwudziestej w hotelu PTTK. Mam tylko jedną prośbę do pani. Żeby nie prowadziła pani żadnych rozmów ze swymi podopiecznymi na temat Baby Jagi.

- Jeśli pan tego wymaga...

- Proszę o to. Chcę tę sprawę bez dodatkowych komplikacji doprowadzić do końca.

Tutam zapiął na pasek teczkę, wziął pod pachy brezent złożony w „kostkę” oraz miotłę i powędrował w kierunku wyjścia. Nauczycielka wróciła do swej gromadki. Wygłaszając przemówienie pod następnym pomnikiem nie mówiła tak kwieciście jak zawsze, bo myślała o Tutamie.

Wieczorem punktualnie o dwudziestej zjawił się w hotelu Tutam. Jeszcze nie wszyscy skończyli kolację, więc detektyw czekał w hallu pykając swoją fajeczkę. Kierowniczka wycieczki zauważywszy go pośpieszyła w jego kierunku.

- Jest pan! Bardzo się cieszę! Umieram z ciekawości! Wykrył pan sprawcę?

Detektyw chwilę milczał, potem rzekł z uśmiechem:

- Chyba tak.

- Niechże pan mówi!

- Wolałbym, żeby zamiast mnie zrobiły to wydarzenia. Dlatego proszę, żeby pani zechciała zarządzić małą odprawę swej wycieczki.

- Proszę bardzo.

Nauczycielka poszła zawołać swych pupilów. Gdy wszyscy już byli w hallu, Tutam tak rozpoczął przemówienie:

- Moi drodzy! Chciałbym z wami chwilę porozmawiać na temat tancerki. Jak wiecie, usiłuję znaleźć sprawców tego figla...

- Tego wandalizmu dwudziestego wieku! - wtrąciła gwałtownie nauczycielka.

- Tego figla - ciągnął Tutam. - Pomyślałem sobie, że przecież wy moglibyście mi w tym pomóc.

- My? - ktoś się wyrwał. - A jak?

- Chciałbym usłyszeć waszą odpowiedź na jedno proste pytanie. Oto ono: czy nikt z was nie ma nic do powiedzenia na temat tej tancerki i Baby Jagi?

Zapanowała cisza. Tutam powoli przesuwiał swój wnikliwy wzrok z twarzy na twarz, z oczu na oczy.

- No, słucham.

Nikt nie przerwał ciszy.

- Więc nikt nic? Ano, w takim razie, będę mówił ja. Chcę wszystkim ukazać nitkę,



która doprowadziła mnie do kłębka. Otóż, gdyśmy w parku zdjęli z tancerki kostium Baby Jagi, szczególną uwagę zwróciłem na dwie rzeczy: na kraciastą chustkę i tekturę z tym zabawnym napisem. Wszystko zaczęło się od tej tektury. - To mówiąc Tutam wyjął z teczki znany wszystkim prostokąt. - Bo to w pewnym sensie bilet wizytowy. Na tej okładce widnieje pieczętka: „Szkoła Podstawowa, Nowa Wola”.

- Nowa Wola? Pieczętka? - Nauczycielka aż sapała ze zdumienia. - Uszom nie wierzę!

- To może pani uwierzy oczom. Oto okładka. Gdy ją spostrzegłem, zapytałem panią, czy przyjechała pani ze swoją wycieczką z Nowej Woli. Przypomina pani sobie? Otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą posunąłem się krok dalej. Jeżeli ta okładka pochodzi z Nowej Woli, to ten, kto ją wykorzystał do napisu, też musiał być z Nowej Woli, no, bo skąd by się w innym wypadku wzięła w parku pod tą piękną rzeźbą? Jeżeli ktoś z Nowej Woli, to kto i kiedy? Od dozorczy dowiedziałem się, pamiętacie, że o godzinie 8 rano tancerka była tancerką, a nie Babą Jagą. Wy wszyscy do ogrodu przyszlście o godzinie 9 minut 30. Kto to mógł zrobić? Ktoś z was, kto nie był razem z wycieczką, która nocowała w hotelu. Od pani - Tutam skłonił się w kierunku nauczycielki - dowiedziałem się, że poza hotelem nocowali: Ela, Rysiek i Heniek. Na was więc, mówię do Eli, Ryśka i Heńka, padło moje podejrzenie.

- To wcale nie ja - pisnęła Ela.

Rysiek milczał z ponurą i zafrasowaną miną.

- To niesłychane! Wandale w mojej grupie! - jęknęła rozpaczliwie nauczycielka.

- Należało więc ustalić, kto z wymienionej trójki dokonał tego dzieła - ciągnął spokojnie i z uśmiechem Tutam. - Pomogła mi w tym pani kierowniczką, od której otrzymałem adresy waszych krewnych, no, i ta kraciasta chustka. - Tutam wyjął z kieszeni chustkę, która okrywała rano głowę tancerki. Cóż mi pozostało do zrobienia? Postanowiłem złożyć trzy wizyty w tych trzech miłych domach i zapytać o tę chustkę. Dwie pierwsze wizyty u rodziny Eli i Ryśka dały wynik negatywny.

- No, właśnie - pisnęła znowu Ela.

- No - odsapnął z ulgą Rysiek.

- Natomiast wizyta u rodziny Heńka - ciągnął Tutam - przyniosła mi sukces. Okazało się, że właścicielką kraciastej chustki jest Magda, twoja, Heniu, cioteczna siostra, która razem z tobą dziś rano, jak mi wszystko opowiedziała, przebrała tancerkę za Babę Jagę z myślą o mającej zwiedzać park wycieczce z Nowej Woli. Z myślą o was wszystkich.

Wśród obecnych zerwał się gwar. Tutam podniósł rękę. Uciszyło się. Heniek patrzył na Tutama spod oka z miną niespokojną, ale i pełną nadziei.

- To miała być niespodzianka dla was, a szczególnie dla pani, jako miłośniczki

zabytkowych dzieł sztuki. Heniek, czy tak?

- Tak. - Padła odpowiedź jak bomba. - To ja żem sprowadził tę Babę Jagę z Łysej Góry.

Wśród obecnych zakipiało.

- Heniek! - zawołał ktoś ze śmiechem. - Aleś fajowy numer odstawił!

- Ach, więc to tak! - krzyknęła nauczycielka. - Grom z jasnego nieba! Takiego węża wyhodowałam na własnym łonie! Barbarzyńcę dwudziestego wieku! Heniek!

- Myślę, że pani nieco przesadza - powiedział Tutam. - Wprawdzie Heniek naruszył, i to karygodnie, zasadę nietykalności dzieł sztuki, bo przykleił tancerce nos z plasteliny i obwiesił ją gałganami, ale na szczęście tancerka, jako dzieło sztuki, nic na tym nie ucierpiała.

- No, właśnie! - zawołał Jędrek. - Ja od początku mówiłem. I tym właśnie żart Heńka różni się od barbarzyńskich wyczynów chuliganów. Ja osobiście oceniam całą tę historię zgodnie z powiedzeniem: dobry żart tynfa wart. Byle tylko nie przekraczać granicy. Heniek! Pamiętaj. Żebyś nigdy nie przekroczył.

- Nie przekroczę. Nigdy w świecie! - zawołał z przekonaniem i radością Heniek.

- No, pamiętaj. A pani, na pamiątkę tej zabawnej historii - Tutam zwrócił się do nauczycielki - pozwolę sobie wręczyć tę oto fotografię. Dobrze na niej wyszła nasza Baba Jaga, która zapewne przejdzie do historii tutejszego parku, no i szkoły w Nowej Woli.

- Niech żyje detektyw Tutam! - zawołali wszyscy zgodnym chórem.

### **Ami, gdzie jesteś?**

#### ***(Trzynasta przygoda detektywa Tutama)***

Pewnego październikowego dnia, gdy więdzące liście jak spadochronowe desanty spływały na ziemię, a białe nitki babiego lata snuły się leniwie w nasłonecznionym powietrzu, panią Leokadię Wrzos, właścicielkę pełnego chryzantem ogrodu, spotkała wielka przykrość. Nawet dużo więcej niż przykrość - ciężkie zmartwienie: zawieruszył się gdzieś jej pupil - wspaniały pudel Ami. Przepadł jak kamień w wodzie. A był to pies-mądrała, najwierniejszy przyjaciel, stróż ogrodu i niezrównany figlarz. Przed dwoma miesiącami na dorocznej wystawie psów rasowych za urodę, grację i futro zdobył złoty medal. Pani Leokadia była z tego niesłychanie dumna i ze zdwojoną energią i czułością dzień w dzień wyczesywała przeróżnymi grzebykami i zgrzebelkami puszystą pelisę laureata, po czym zapinała mu na szyi przepiękną obrózkę z czerwonej skóry, nabijaną srebrnymi gwoździkami.

Otóż ten właśnie pudel pewnego dnia zniknął jak kamfora. Okropność. Pani Leokadia biegała, chodziła, pytała. Była u wszystkich sąsiadów, na stacji, w aptece, na posterunku milicji - nigdzie nic. Nikt nie widział, nikt nie słyszał. Nie pomogło ogłoszenie w gazecie ani

kartki rozklejone na słupach. Pani Leokadia zalewała się gorzkimi łzami. Cóż z tego, że chryzantemy złościły się coraz piękniej? Cóż z tego, kiedy nie było ich czarnego opiekuna...

- Ami, Ami, gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Och, och... Może wpadłeś pod pociąg?

Takich ciężkich dni, pełnych czarnych myśli i poszukiwań przeżyła pani Leokadia pięć. Jednak szóstego dnia smutki przerwała zawierucha szczęścia. Coś czarnego i oskubanego przeskoczyło przez płot i ze skowytami radości runęło na panią Leokadię.

- Ami! Ami! Jesteś. Mój... Mój... Mój... Gdzie byłeś? Co ci się przydarzyło? Co to za zbój cię tak osmyczył? Jak ty wyglądasz? Gdzie twoje futro? Jesienne chłody, a ty jak święty turecki.

Ami pisał, pani Leokadia też. Nie było końca radości i czułościom.

- Co za szczęście! Wróciłeś! No, mów zaraz, gdzie byłeś i kto cię tak urządził?

Ami oparł mordkę na wyciągniętych do przodu łapach, łypał czarnymi oczami, merdał podskubanym pomponem i pisał. Coś tam gadał po swojemu. Niestety, nie umiał mówić po ludzku.

W tej chwili pani Leokadia spostrzegła, że ktoś ją obserwuje. U furtki do ogrodu stał sympatyczny pan z fajeczką w ustach. Puszczal białe dymki.

- Dzień dobry pani - rzekł uprzejmie. - Widzę, że odzyskała pani swego pupila. Bardzo się cieszę. Pozwoli pani, że się przedstawię: detektyw Tutam.

- O!

- Z zainteresowaniem i współczuciem odczytałem pani ogłoszenie. Postanowiłem pani pomóc, widzę jednak, że się spóźniłem. Ami szczęśliwie wrócił.

- A wrócił, piesus najmilszy, ale w jakim stanie! Niech pan spojrzy. Płakać się chce.

- Otóż właśnie. Interesuje mnie, kto go tak ostrzygł. Kto i w jakim celu.

- W jakim celu? Pan nie wie? Proszę łaskawego pana, z wełny Amiego można zrobić sweter, szalik, rękawiczki. Zima przed nami.

- Taak. To interesujące. Należy się pani za to odszkodowanie. Postaram się wykryć sprawcę.

- Naprawdę? Mój złoty panie detektywie! Niech pan wykryje! To jest rozbój i barbarzyństwo! On może dostać zapalenia płuc! W nagrodę obsypię pana chryzantemami.

- Dziękuję pani. Ja pracuję bezinteresownie. Tymczasem miałbym pewne pytanie. Chodzi mi o obrózkę. Widywałem czasem panią i Amiego. Utkwiła mi w pamięci.

- A tak. Przepiękna. Sprowadziłam ją z Wiednia.

- O ile mnie pamięć nie myli, była z czerwonej skóry.

- Tak. Z czerwonej. Nabijana srebrnymi gwoździami.

- Otóż to. Gdzie ona jest?

- Rzeczywiście. Nie zwróciłam na to uwagi... Ami wrócił bez obróżki. Ukradli mu ją.

Co za ludzie!

- To dobrze, że ukradli - powiedział z uśmiechem Tutam.

- Dobrze?

- Tak. Cała moja nadzieja w tej obróżce. Aha. Jeszcze jedno. Poproszę panią o nożyczki. Muszę pobrać próbkę sierści. O, tu utniemy. Oprawcy zostawili tu całą kępkę. Spokojnie, piesku, spokojnie. Już. Dziękuję. Do widzenia pani. Pewno wkrótce się zobaczymy.

- Do widzenia panu. Ogromnie jestem panu wdzięczna. Ogromnie!

Gdyby się dało cofnąć czas, można by zobaczyć pewną interesującą scenę. Ścieżką wzdłuż toru kolejowego szli dwaj niezbyt sympatyczni trampkarze i taką toczyli rozmowę:

- No, i kupił...

- Fajowo. Za ile?

- Za stówę.

- Nielicho.

- Uważasz, facet szedł z psem. Pies miał obrozę pozał się Boże, więc zagailem...

- Nie pytał, skąd ją wzięłeś?

- Nie.

- A co to był za jeden?

- Zwyczajny. Fajkę palił.

- Fajkę?

- No, fajkę. O co ci chodzi?

- Tak mnie coś piknęło, bo z fajką w twarzy chodzi detektyw Tutam...

- Nie. Skąd. To nie był Tutam. To był, uważasz, całkiem stary, emerytowany parasol.

- Hm. Tutam potrafi się zmienić i w parasol... A jaki był pies?

- Trzy ćwierci wilka i ćwierć jamnika. Nie z tej ziemi okaz.

- Kundel, a odziedziczył obrozę po medaliście.

- Ano, właśnie. Tak to bywa. Kundel ma luksusową obrozę, a my sto złotych.

Będziemy mieć jeszcze więcej, jak to psie runo opylimy.

- Baa! Ale gdzie?

- Moja ciotka mówiła, że w Warszawie można to zrobić.

- Jak można, to się zrobi.

- To, bracie, też jest majątek. Z tego runa będzie czterdzieści deka przędzy. To,

uważasz, wystarczy na pulower.

- O, raju!

- To jest warte dwa razy tyle co obroża...

Dalszy ciąg zagłuszył przejeżdżający pociąg.

Detektyw Tutam szedł zamyślony po wąskim chodniku, ułożonym na piaszczystym gruncie. Wiatr szeleścił w pozółkłych strąkach akacji. Detektyw miał minę zaambarasowaną. Szedł i rozmyślał:

Jeżeli Ami wrócił bez obroży, to niewykluczone, a nawet bardzo możliwe, że w obroży tej paraduje już jakiś inny pies. Za taką obrożę złodziej mógł otrzymać niezłą cenę. Hm. Ta nitka może doprowadzić do kłębka. Niestety jest bardzo cienka. Trzeba przebadać wszystkie psy zamieszkałe na tym terenie. Kłopotliwa sprawa. Ale trudno. Nie ma innego wyjścia... Trzeba iść do Urzędu Podatkowego. Mają tam rejestr psów i podatników... Ano, trzeba... Miejscowość nie jest znów taka wielka... Ile tu może być psów? Pięćdziesiąt. Załatwię to spacerkiem w parę dni. Jeśli mi się poszczęści - a przecież jestem Feliks czyli Szczęsny - to może i pierwszego dnia trafię... A niechby i ostatniego. W każdym razie sprawa się wyjaśni.

Rozmyślenia te nie wprawiły jednak detektywa w dobry humor. Coś mu w tym wszystkim „nie grało”. Szedł powoli, jak gdyby niezbyt zadowolony z powziętej decyzji. Szedł, szedł... W pewnym momencie przystanął. Pykał fajeczkę. Myślał. Potem nagle - jakby wstąpił w niego nowy duch - powędrował naprzód szybkim, sprężystym krokiem.

Nazajutrz dwaj niezbyt sympatyczni trampkarze kręcili się w okolicy dworca. Nagle jeden z nich przystanął i wpatrzył się w słup telegraficzny. Na czarnym, smołowanym tle bielila się kartka z wypisanym ogłoszeniem. Drugi trampkarz również wbił w nią oczy. Patrzyli. Czytali. Tym magicznym słowem, przykuwającym ich wzrok, było słowo: WEŁNA. Niżej widniał ciąg dalszy:

Przyjmuję wełnę wszelkiego gatunku do gręplowania i ręcznego przędzenia. Adres: Dworcowa róg Ogrodowej. Kornelia Kręc.

- Hurra! Nie musimy jeździć do Warszawy!

- Klawo jest. Ale podleciało!

- Zaraz się udamy do tej pani Kręc. Tylko najpierw skok do domu po wełnę.

- Skok, ale jest mankament, bo, widzisz, pani Kręc grępluje, a my przecież chcemy opylić te kłaki.

- Jeśli jej zaproponujemy przystępną cenę, to kupi. Nic się nie martw. Ja to załatwię.

- No, to gaz. Po kłaki i w krzaki.

Wkrótce dwaj niezbyt mili trampkarze zbliżali się do skrzyżowania ulicy Ogrodowej i Dworcowej. Jeden z nich miał pod pachą torbę, przypominającą swym wyglądem poduszkę. Wiadomo, co w niej było. W pobliżu skrzyżowania stała zielona budka. Trampkarze podeszli. Na drzwiach wisiała wywieszka: WĘLNA - ZGRĘPLOWANIE - PRZĘDZENIE. KORNELIA KRĘĆ. Trampkarze zastukali i weszli.

Wnętrze było ubożuchne. Parę węzełków wełny jeszcze nie zgręplowanej, trochę zgręplowanej, kołwrotek - i to wszystko. Za stolikiem siedziała pani Kręć. Była nieduża, zakutana w chustkę od stóp do głów, zziębnięta.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry - odpowiedziała życzliwie, choć chrapliwie. - Co powiecie, kawalerowie?

- Przynieśliśmy trochę wełny do zgręplowania - powiedział pierwszy trampkarz.

- Tak. I do uprzedzenia - dodał drugi.

- Pokażcie, pokażcie... Co to za wełenka...

- Psia.

- Z pudła.

- Z pudełka? O, pudełki mają doskonałą sierść...

Chłopcy rozwijali paczkę. Pani Kręć przedreptała do drzwi.

- Wieje... Zakatarzyłam się. Trzeba zamknąć i to dobrze... To mówiąc przekręciła klucz w zamku i...

- No, niech pani spojrzy - powiedział pierwszy trampkarz. - Co za wełna!

- Z królewskiego pudła - dodał drugi.

- Rzeczywiście, rzeczywiście... Piękna, przepiękna.

- My byśmy ją chcieli pani sprzedać...

- Tanio sprzedamy, proszę pani...

- Tak. Za dwieście złotych.

- Za dwieście? To rzeczywiście niedrogo. Może i kupię. Zaraz... Prawdę powiedziawszy, akurat taka mi potrzebna. Czekać. Sprawdź. Mam tu próbkę. Musi być taka sama... Pani Kręć wyjęła z torebki kopertę, a z koperty próbkę. Przyłożyła ją do runa.

- Znakomita. Doskonała. Kubek w kubek. Jak z tego psa.

Powiedziawszy to pani Kręć energicznym ruchem zrzuciła z siebie chustkę, wyprostowała się... Zdumieni i przerażeni trampkarze ujrzeni przed sobą detektywa Tutama.

- O!

- No, tak - powiedział detektyw wyciągając z kieszeni fajeczkę i patrząc na nich spod

oka. - Spodziewałem się waszej wizyty. Więc to wy porwaliście pudła pani Leokadii i wyście go tak niegodziwie ostrzygli, chociaż idą jesienne chłody.

- My?

- My w ogóle nie wiemy, co to za jedna. - Kto to jest ta pani Leokadia?

Obaj trampkarze zrobili w tył zwrot i jak na sprężynach skoczyli do wyjścia. Drzwi jednak były zamknięte.

- Niech pan otworzy! - wrzasnął jeden.

- Czego pan się nas czepia?! - wrzasnął drugi.

- Chwileczkę - powiedział spokojnie Tutam. - Mówicie, że nie wiecie, co to za jedna, ale jej pudła znacie. I to także. - Tutam wyjął z szuflady obrózkę Amiego. - To także... I czy też nie wiecie, kto sprzedał przedmiot ten staremu panu podczas jego przechadzki wzdłuż toru?

Trampkarze patrzyli w ziemię, złapani jak dwa lisy do worka.

Rzecz jasna, że runo i obrózka wróciły do pani Wrzos, detektyw Tutam został przez nią obsypany chryzantemami, a trampkarze... No, cóż? Mieli taką przeprawę, że odechciało im się na zawsze strzyc cudze psy.

### **Biały bez**

#### ***(Czternasta przygoda detektywa Tutama)***

Działo się to w starej kamienicy, która szczęśliwym przypadkiem przetrwała wojnę i która na tle swych nowoczesnych sąsiadek wyglądała jak zabytek historyczny. Jej oficyny i klatki schodowe, odbudowane i załatane, jak się dało, pełne były zakamarków i tajemniczych przejść.

Na klatkach tych kwitł sport zjeżdżania po poręczach. Uprawiali go najmłodszy mieszkańcy owej kamienicy, plądrujący ją od piwnic po strych.

W domu tym na pierwszym piętrze w lewej oficynie mieszkała pani Gryzelda Myszkowska, osoba samotna, już nie pierwszej młodości, lecz zadowolona z życia, zręcznie wyrabiająca na migających jak rowerowe szprychy drutach przepiękne swetry, które dostarczała do spółdzielni „Wykwint”. Pani Gryzelda oprócz zainteresowania wełną miała także wiernego i sympatycznego przyjaciela, pana Eligiusza Otomańskiego, znanego tapicera, specjalistę od staroświeckich mebli. On sam też był staroświecki, ale posiadało to swój urok. Poza tym wiernie i ładnie okazywał swoją sympatię pani Gryzeldzie: a to kwiatkiem, a to piernikiem w czekoladzie, a to propozycją wspólnego spaceru na Stare Miasto... I tym razem też chodziło o kwiat, a właściwie o dwie piękne gałązki białego bzu, ozdobione czerwoną wstążeczką. Wzruszający jest taki zimowy bez, wyhodowany w cieplarni i pachnący wiosną

w grudniowy dzień.

W początkach grudnia - było to akurat w dzień Barburki - pan Otomański zakupił w pobliskiej kwiaciarni „Pod Kaktusem” dwie najpiękniejsze gałązki białego bzu i z błogim uśmiechem w sercu powędrował do pani Gryzeldy. Zadzwoił. Cisza. Zastukał. Cisza. Zakołatał. Cisza.

O... - pomyślał. - Ja tu z bzem, a jej nie ma... Co robić? Hm. Co robić?

Ponieważ miał do załatwienia kilka tapicerskich sprawunków, postanowił wetknąć kwiaty za klamkę, by z wolnymi rękami wyruszyć na miasto, a po załatwieniu swych spraw przyjść tu powtórnie. Jak postanowił, tak uczynił.

Wrócił po godzinie. Wchodząc na pięterko spostrzegł, że kwiatów za klamkę nie ma.

Aha - pomyślał. - Wróciła... Znalazła bez...

Zadzwoił. Cisza. Zadzwoił powtórnie. Cisza. Zastukał. Cisza.

Przyszła i wyszła - pomyślał. - Trzeba było czekać pod drzwiami. Nie wiadomo, kiedy teraz wróci...

Gdy tak stał strapiiony, posłyszał nagle dobiegający z parteru hałas otwieranych i zamykanych drzwi. Ktoś szedł po schodach. Tak! To była pani Gryzelda! Uradowana, witała się z panem Eligiuszem.

- O, jak się cieszę! Już myślałam, że pan o mnie zapomniał...

- Ja o pani? Dopóki słońce słońcem, a kanapa kanapą...

- Jaki pan miły. Już otwieram. Proszę. Jak to dobrze, że się nie minęliśmy. Później dzisiaj wróciłam.

- Pani szanowna dopiero teraz wróciła?

- A dopiero, dopiero.

- To... to... to...

- Co, co, co?

- Nie. Nic. To znaczy, że pani nie wyjęła kwiatów zza klamki?

- Jakich kwiatów?

- Bzu... Byłem tu przed godziną i nie zastawszy pani, zatknąłem za klamkę dwie gałązki bzu... Żeby panią powitały w moim imieniu.

- O! Miły pan jak zawsze, ale i nierozważny. Oj, wy mężczyźni. Ktoś je sobie zabrał.

- No, właśnie! Jakiś łotr spod ciemnej gwiazdy!

- Dzieci z pewnością, proszę pana. Hulają tu jak w ZOO.

- Otóż to, proszę pani! Jak czworonogi w ZOO! Boli mnie ta sprawa tym dotkliwiej, że kradzież ta mówi o wielkim upadku obyczajów w narodzie! Ja, proszę pani, nie przejdę



nad tą sprawą do porządku! O, nie! Pani daruje, ale ja zaraz zejdę do budki i zatelefonuję do detektywa Tutama.

- Czy pan przypadkiem nie przesadza? To sprawa przykra, ale w gruncie rzeczy dość błaha.

- Dla mnie wcale nie błaha, dojadła mi do żywego!

Pani daruje, idę.

- No, dobrze, dobrze. Tylko niech pan zaraz wraca. Zaparzę przez ten czas herbatę.

Detektyw Tutam stawiał się na wezwanie. Uśmiechnął się i pykał fajeczkę.

- Pan daruje - przepraszał go pan Otomański - może sprawa nasza rzeczywiście nie jest na tyle poważna, by zajmować nią panu czas, ale mnie ona oburza...

- Rozumiem. Nic dziwnego. To coś tak, jakby panu skradziono serce.

- Właśnie.

Pani Gryzelda spuściła oczy.

- Proszę pana - ciągnął Tutam - istotnie znam wiele znacznie gorszych wyczynów, ale i tą sprawą warto się zająć. Jest w tym rzeczywiście coś bardzo smutnego. Miejmy nadzieję, że bez się znajdzie.

- Tak, tak. Ale w jakim będzie stanie! - westchnął boleśnie pan Eligiusz.

- Co pan zamierza zrobić, panie detektywie? - zapytała pani Gryzelda migając drutami.

- Co tu się zastanawiać - wybuchnął pan Eligiusz. - Najlepiej przeprowadzić rewizję od piwnic po poddasze!

- O, nie - odpowiedział uśmiechając się Tutam. - To nie są moje metody. Inaczej zrobimy. Ale najpierw parę pytań. Gdzie pan kupił te kwiaty?

- W kwaciarni „Pod Kaktusem”.

- A czy wiązanka miała jakieś znaki szczególne?

- No cóż? Związana była czerwoną wstążeczką, ale to przecież nic szczególnego.

- Rzeczywiście. Nic szczególnego. No, dziękuję panu. Porozmawiam teraz z tymi urwisami. Wrócę tu jeszcze do państwa. Na razie żegnam.

To powiedziawszy detektyw Tutam wyszedł na klatkę schodową. Na półpiętrze jeden z małych mieszkańców, przewieszony przez poręcz, fajtał nogą w powietrzu i przyglądał się Tutamowi.

- Mój drogi - jestem detektyw Tutam. Fajtający nogami znieruchomiał.

- Musisz mi pomóc w pełnieniu moich obowiązków. Zwołasz mi tu zaraz wszystkich swoich kolegów. Koleżanki też.

- Ja nie znam wszystkich...

- To tych, których znasz.

- Ja właściwie... nikogo...

- No, prędko, prędko. Bez wykrętów. Nie mam czasu. Jak się nazywasz?

- Kazik... Gniazdowski...

- No, więc proszę cię, Kaziku, zwołaj mi tu wszystkich. Nie chciałbym tego załatwiać przez dozorcę. Będę za piętnaście minut. - To mówiąc detektyw wyszedł na ulicę.

Kazik podrapał się w głowę i powoli poszedł na drugie piętro. Tam mieszkali Edek i Roman. Pogadali, pokręcili głowami i poszli na trzecie piętro po Zośkę i Mariolę. Pogadali znowu i poszli na czwarte - po Waldka i Cześka. Brakowało tylko Marysi, która wywędrowała, nie wiadomo dokąd.

Po piętnastu minutach wrócił detektyw Tutam. Zgasił fajeczkę, stuknął nią o poręcz i powiedział:

- Moi drodzy... Chodzi mi o wyjaśnienie pewnego przykrego wydarzenia. Nieznany sprawca przywłaszczył sobie wiązanekę bzu, zatknął ją za klamkę tych oto drzwi.

Detektyw powiódł swoimi wnikliwymi oczami po obecnych.

- Czy ma ktoś z was coś do powiedzenia w tej sprawie?

Zapanowała cisza.

- Nikt? Nic? Ty, Kaziu, też nic?

- Nic.

- I ty... Jak ci ma imię?

- Edek.

- I ty Edku, też nic? - Nie. Nic nie wiem.

Detektyw przyglądał się bardzo uważnie wszystkim obecnym. W tym momencie wbiegła na schody Marysia.

- O! Jest Mańka - mruknął Kazik.

- I ty, Marysiu, też nic nie wiesz o skradzionym bzie?

- O bzie? O jakim bzie? - pytała zdyszana Marysia. - Nic nie wiem.

- Naprawdę nic? - Tutam patrzył na nią ze szczególną uwagą.

- No, słowo daję. Nic a nic.

- Nic. Trudno. W takim razie ja pewno wkrótce będę coś miał wam do powiedzenia. Niech każdy wraca do siebie i czeka na moje wezwanie. Na razie proszę Marysię do mieszkania pani Myszkowskiej.

- To wcale nie my - wrzasnął za nimi Czesiek. - My nic nie wiemy o żadnym bzie!

Detektyw i Marysia zniknęli za drzwiami.

- Pani pozwoli - rzekł Tutam do pani Gryzeldy - chciałbym z Marysią pomówić w cztery oczy. Moja kochana - ciągnął detektyw po wyjściu pani Myszkowskiej - interesuje mnie ta czerwona wstążeczka, którą masz podwiązane włosy.

Marysia stropiła się wyraźnie.

- Wstążeczka? Wstą... wstą...

Detektyw delikatnym ruchem zsunął jej z głowy przepaskę, a następnie wyjął z kieszeni kawałek wstążeczki o identycznej barwie i szerokości.

- Zdziwiający podobieństwo, prawda? To jest próbka z kwaciarni. Skąd masz tę wstążeczkę?

- Dał mi ją Edek...

- Kiedy?

- Dziś. Niedługo po powrocie ze szkoły.

- A skąd on ją wziął?

- Nie wiem, powiedział mi tylko... Bo on mi zawsze głowę zawraca... Powiedział... Masz, królowno, podwiąż sobie włosy, będziesz jeszcze... no, jeszcze ładniejsza... Tak powiedział. Chociaż ja wcale ładna nie jestem...

- A o bzie nic ci nie mówił?

- Nie. Nic.

- No, dobrze. Wstążeczkę zatrzymamy, a ty przejdź tu, do pokoju pani Myszkowskiej. Ja tymczasem muszę jeszcze porozmawiać.

Detektyw zbliżył się do drzwi wyjściowych, uchylił je i zawołał:

- Kazik! Sprowadź mi tu Edka!

Po chwili zjawił się Edek.

- Mój drogi, chciałbym wiedzieć, skąd wziąłeś tę oto wstążeczkę? Podarowałaś ją dziś Marysi, prawda?

- Wstążkę? - Edek zawahał się na mgnienie oka, lecz natychmiast wystartował pewnym głosem:

- A mamie z pudełka wyciągnąłem. Mama ma ich cały skład, Zbiera z kwiatów, z cukierków... Prasuje i składa.

- A może to jest wstążeczka od bukietu, który zginął?

- Pan mi zarzuca kradzież?! Jakim prawem?!

- Jeszcze ci nic nie zarzucam, tylko stawiam pytanie. Chodzi o to, żeby odnaleźć bukiet, zanim zwiędnie.

- Ja o żadnym bukiecie nic nie wiem. Tyle, co od pana.
- Hm. A co robiłeś po powrocie ze szkoły?
- No, co? Turlaliśmy na podwórzu śniegową kulą.
- Nie wychodziłeś nigdzie?
- Wychodziłem... Na chwilę... Do sklepu po zeszyt...
- Tylko po zeszyt, czy jeszcze i po co innego?
- Tylko po zeszyt.
- A sam wychodziłeś czy z kimś?
- Z Cześkiem...
- No, dobrze. To na razie wystarczy. Przejdź do tego pokoju. Tam jest Marysia. Kaziu - zawołał Tutam uchylając drzwi wyjściowych - sprowadź mi tu Cześka.

Po chwili wszedł Czesiek.

- Mój drogi, powiedz mi, gdzieście chodzili po obiedzie, ty i Edek?
- My... My - chodziliśmy do sklepu po zeszyt...
- Czy tylko do sklepu?
- No, nie. Tak sobie też chodziliśmy...
- Gdzie?
- No, tak... po ulicy. W cukierni byliśmy...
- W cukierni - powtórzył detektyw. - W cukierni... No, tak.
- Na ciastkach... A bo co?

Tutam tak mocno pociągnął dymek z fajeczki, że tytoń rozżarzył się do czerwoności.

- Przejdiesz do tego pokoju. Tam jest Marysia i Edek. Zaczekacie tam na mnie dziesięć minut. Przepraszam panią, że tak dysponuję pani mieszkaniem - zwrócił się do przysłuchującej się z rosnącym zaciekawieniem pani Myszkowskiej - ale myślę, że wkrótce dojdziemy do pomyślnego zakończenia.

- Niech pan się czuje jak u siebie w domu!

- Podziwiam pana, panie detektywie - powiedział pan Otomański.

Detektyw wyszedł. Czas zaczął płynąć leniwie. Ciężkie to były dla czekających minuty. Gdy upłynęło ich dziesięć, zjawił się Tutam w towarzystwie ładnej i młodej pani, podobnej trochę do artystki filmowej. Trzymała ona w rękach wiązankę kwiatów zapakowaną w firmowy papier cukierni.

- Państwo pozwolą. To jest panna Basia z cukierni. Kazik! Zawołaj tu wszystkich!

Pani Myszkowska i pan Otomański stojąc ramię w ramię wyczekująco i ze zdziwieniem patrzyli na przybyłych. Tutam otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i przywołał

przebywającą tam trójkę. Edek i Czesiek na widok panny Basi zbaranieli z kretesem. Detektyw wiódł po zebranych wnikliwym wzrokiem,

- No, tak - powiedział - sprawa się wyjaśniła. Bardzo prosto i, powiedziałbym, nawet zabawnie, gdyby nie... Sami wiecie, gdyby nie co. Otóż, proszę państwa, wiązanekę przywłaszczyli sobie Edek i Czesiek.

- Hultaje! - ryknął pan Otomański.

- Powędrowała ona do cukierni, do tu obecnej panny Barbary, ekspedientki i dzisiejszej solenizantki. Czy tak, proszę pani?

- Tak... - powiedziała z uśmiechem i jednocześnie z zakłopotaniem panna Basia - Tak... Bardzo mi przykro, że z mojego powodu wynikły takie komplikacje, ale przecież...

- Mnie też jest przykro, ale z innego powodu, Z tego mianowicie, że musiałem fatygować panią w dniu pani imienin. Cóż? Służba nie drużba. Edek! Mów jak było.

- No, co? Przecież pan wie...

- Tak. Ale muszą się dowiedzieć i wszyscy. Mów.

- No, co? My żeśmy z tym bzem poszli powinszować pani Basi.

- Bo panna Basia jest w deseczkę - dopowiadał Czesiek - i cukiernia też...

- I spodziewaliście się, że was solenizantka poczęstuje ciastkami?

- No, trochę tak...

- I nie zawiedliście się, co?

- Ano, nie.

- Napoleonki były w dechę.

- A mnie było przyjemnie - mówiła z zakłopotaniem panna Basia - że pamiętają o mnie najmłodszy klienci naszej cukierni. Wstawiłam bez do wazonu...

- I ten właśnie bez - wpadł w jej słowa Tutam - widziałem, gdy idąc tu, wezwany przez pana Otomańskiego, wstąpiłem do cukierni na kawę. Przypomniałem sobie o nim dopiero w czasie rozmowy z Edkiem. No, tak... W ten sposób wiązanekę, przeznaczoną dla pani Myszkowskiej, znalazła się w rękach panny Basi, a wstążeczkę na głowie Marysi. Ale teraz kwiaty razem ze wstążeczką powinny wrócić do rąk adresatki. - To mówiąc Tutam przewiązał gałązki bzu czerwoną wstążeczką i podał je panu Otomanskiemu, ten zaś uroczystym gestem wręczył je uśmiechniętej pani Gryzeldzie. Ona zaś rozdzieliła gałązki i jedną z nich podała pannie Basi.

- Jedna dla mnie - rzekła uprzejmie - a druga dla pani jako dla solenizantki. A wstążeczkę dla Marysi.

- Wszystkiego dobrego! - zawołali wszyscy zgodnym chórem.

A pan Otomański zwracając się do detektywa Tutama zawołał głosem pełnym wdzięczności:

- Zrobię panu wspaniałą tapczan.
  - A ja pulower... - szepnęła pani Gryzelda.
- Edek i Czesiek milczeli posepnie.

### **Ala ma kota**

#### ***(Piętnasta przygoda detektywa Tutama)***

Miasto, w którym zdarzyła się ta neonowa historia, wyróżniało się spośród innych miast nie tylko wzorowym porządkiem na ulicach i placach, ale przede wszystkim bogactwem wszelakiego rodzaju neonów. Przyjemnie było iść wieczorem ulicą Najpiękniejszą i radować oczy kolorowym czarodziejstwem. Oto kwaciarnia przyciągająca wzrok dwoma tulipanami, zapalającymi się na zmianę. Oto nad księgarnią sowa mrugająca złotym okiem. Oto nad kolekturą loterii państwowej słon z zadartą triumfalnie trąbą. Oto... Trudno wyliczyć te wszystkie cuda. Oczywiście oprócz neonów-rysunków roiło się tu od neonów-napisów: Apteka, Delikatesy, Kwaciarnia „Tulipan”, Galanteria „Maskota”, Poczta.

Pewnego przedwiosennego wieczoru tą właśnie ulicą Najpiękniejszą szło sobie dwóch łązikujących obywateli. Tak na oko mieli razem dwadzieścia lat. Każdy pewnie po dziesięć. Szli sobie i pogadywali:

- Fajowe te neony...
- No. Nawet w Paryżewie lepszych nie ma.
- W Paryżewie? A gdzie to?
- We Francji, dziecko jesteś?
- A... To chodzi o Paryż...
- A o co?
- A skąd wiesz, że tam nie ma ładniejszych?
- No, bo ulica, którą idziemy, nazywa się Najpiękniejsza.
- A... No, tak. Racja. Ale wiesz, kiedy jest najfajniej? Jeśli w którymś neonowym słowie zepsuje się i zgaśnie jakaś litera. Na przykład w APTECE zgasły dwie pierwsze litery i została TEKA.
- Pamiętam. A jeszcze fajniej było, jak w napisie METAL-EKSPORT zgasły trzy środkowe litery i zostało: META SPORT.
- Taak. To było coś pięknego. Jak reklama Wyścigu Pokoju.
- Ale wiesz co? Przyszedł mi do głowy numer, jakiego jeszcze nie było. Wybierzmy, uważasz, jakiś neonowy napis, ale taki super-fajowy i, uważasz, cykniemy parę liter, żeby

było dracznie...

- Daj spokój...
- Coś tak, jak z tą Apteką i Teką.
- Myśl jest w dechę, tylko, żebyśmy się w co nie wklepali.
- Co się mamy wklepać. Chodź.
- Ale jak bez rozgłosu cyknąć litery?
- Byle trącić. Przecież to szkło, a w środku gaz. Jak gaz się ulotni, to koniec ze światłem.

Nazajutrz pod wieczór, gdy zapalały się latarnie i neony, zdziwieni przechodnie spostrzegli nad sklepem z konfekcją neonowy napis, który wywoływał ogólną wesołość. Wyglądało to tak:

ALA MA KOTA

Ludzie śmiejąc się pokazywali sobie palcami ten niezwykle napis.

- No! Takiego neonu jeszcze nie było...
- Czy to elementarz świetlny?
- Skąd się to wzięło?
- Pyta pan skąd? Z neonu, który tu zawsze świecił.
- Z jakiego neonu?
- Jak to z jakiego? Przecież widać „martwe” litery. GALANTERIA „MASKOTA”
- Rzeczywiście. Nie świeci litera G i zakończenie słowa GALANTERIA: NTERIA.

Zostało tylko ALA.

- Racja! A w MASKOCIE zgasło S i zostało MA KOTA. Ha, ha!

Kierownik sklepu nie wiedząc, co się święci, wyszedł na ulicę zaniepokojony zbiegowiskiem.

- Co się stało, proszę państwa?
- Ha, ha! Niech pan spojrzy na swój neon!
- Co?! Ala ma kota. To... To napad! To złośliwość! To ktoś z premedytacją! Milicja!
- Lepiej będzie - odezwał się ktoś z boku - jeśli pan zawiadomi o tym detektywa

Tutama. Nikt lepiej od niego tej sprawy nie załatwi.

- Tak. Ma pan rację. Biegnę. Dzwonię.

Wkrótce nadjechał detektyw. Wsiadł z taksówki, rzucił okiem na uszkodzony neon i pykając fajeczkę skierował się do sklepu.

- Witam pana! - wołał podniecony kierownik sklepu. - No, niech pan powie, panie detektywie! Przecież to nie przypadek! To premedytacja! Taki napis! Ala ma kota! Z

Galanterii i „Maskoty”.

- Zgadzam się z panem. To z pewnością nie przypadek. A jeśli nie przypadek, to... No, zobaczymy, kto. Pozwoli pan, że zbadam uszkodzony neon. Przydałaby się drabina.

- Proszę bardzo. Kaziu! Wynieś drabinę dla pana Tutama!

Po chwili fajeczka detektywa dymiła na wysokości ALI. Tutam oglądał bacznie i kolejno wszystkie litery neonu. Coś tam dłużył, coś tam przytykał. Po dokonaniu oględzin, gdy już się znalazł na ziemi, przeszedł wolniutko wzdłuż ściany pod neonem uważnie patrząc na chodnik... W pewnej chwili nachylił się, podniósł jakiś mini-przedmiot, zacisnął w pięści, pomachał nią z zadowoleniem i wszedł do sklepu.

- No, jak tam? - pytał niecierpliwie kierownik.

- Na razie niewiele, ale... Chciałem pana zapytać o to i o owo.

- Słucham pana.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, kto tu mieszka w tym domu naprzeciwko?

- Chyba tak... Zresztą, bo ja wiem? Na parterze jest sklep spożywczy...

- Mnie specjalnie interesuje II piętro.

- W tych dwóch oknach, licząc od lewego narożnika, jest gabinet dentystyczny. O!

Nawet widać lekarza w białym fartuchu...

- A w następnych?

- Doprawdy, nie wiem. Tamte okna są zawsze zamknięte.

- A ostatnie?

- Tam mieszkają jacyś państwo z córuchną, która rozrabia od rana do wieczora.

- Cóż ona takiego robi?

- Ma adapter i gra bigbity, że aż gołębie uciekają. No, i pewno chce zostać artystką, bo stojąc przed patykiem wetkniętym w doniczkę niby przed mikrofonem wykrzykuje jakieś okropności.

- Hm... Sama tak się zabawia, czy może z kimś?

- Czasem sama, a czasem z kolegami. Jeden to zawsze przychodzi z gitarą.

- Z gitarą? A co działo się tam wczoraj wieczorem?

- Tego nie wiem. Pracujemy do 19.

- Słusznie. No, dziękuję panu. - Tutam uśmiechnął się, pociągnął z fajeczki i zapytał na zakończenie: - A z łuku ona czasem nie strzela?

- Z łuku? Nie widziałem. Ale wszystko jest możliwe.

- Ano tak, wszystko.

Detektyw wyszedł na ulicę. W tym momencie jakby na potwierdzenie słów



kierownika sklepu z okna na drugim piętrze zaczął wrzeszczeć adapter. Tutam przeszedł przez ulicę. Za chwilę znalazł się na klatce schodowej, prowadzony coraz głośniejszym krzykiem. Stał pod drzwiami, za którymi kipiało. Był to numer ósmy. Na bilecie przypiętym pineską widniało: Władysław Dźwigałło. Inżynier. Tutam pomyślał chwilę i wycofał się na ulicę. Wkrótce znalazł się w budce telefonicznej. Poszukał w książce o oślich uszach nazwiska Dźwigałło. Znalazł. Wówczas nakręcił jakiś tajemniczy numer i po uzyskaniu połączenia powiedział:

- Mówi detektyw Tutam. Proszę wyłączyć do odwołania numer 26-41-68. Dziękuję.

Po kilku minutach znów stał przed drzwiami, oznaczonymi numerem 8. Zadzwoił. Muzyka nagle ucichła. Drzwi się otworzyły. Detektyw ujrzał dziewczynkę, a raczej dziewczynę w kusej spódniczce, niezbyt świeżym swetrze i z włosami jak „topielica”.

- Dzień dobry. Jestem detektyw Tutam.

- Dzień dobry. Czego pan chciał?

- Czego chciałem? - Tutam wypuścił kłębuszek dymu. - Poznać cię i porozmawiać.

- Mnie? A po co? Proszę. Niech pan wejdzie.

Tutam wszedł. Przez otwarte okno widać było w dole na wprost uszkodzony neon: ALA MA KOTA. W pokoju był nieład, płyty pomieszane z pończochami i kolorowymi pismami.

- Moja kochana, jak ci na imię?

- Olga.

- Słuchaj, Olgo. Jestem detektywem i mam do wyjaśnienia pewną niezbyt przyjemną sprawę. Być może, będziesz mi mogła pomóc. Powiedz mi... Jesteś amatorką muzyki bigbitowej?

- Jestem.

- A czy oprócz tej muzyki masz jeszcze jakieś inne upodobania? Może coś ze sportu?

- Owszem. Pływanie motylkiem.

- A strzelanie do tarczy?

Olga spojrzała na Tutama podejrzliwie.

- Strzelanie? Nigdy w życiu z niczego nie strzelałam.

- No, dobrze. A powiedz mi, gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

- W domu.

- Sama byłaś?

- Nie. Nie sama.

- Miałaś gości?

- Miałam.
- A kto to był?
- Flip i Flap.
- Nie żartuj.
- Ja nie żartuję. My ich tak nazywamy.
- Jeden z nich gra na gitarze?
- Tak. Flap.
- A drugi?
- Co drugi?
- Flap miał gitarę. A co miał Flip?
- Flip? Nic nie miał...
- Nic. A teraz powiedz mi, jak oni się naprawdę nazywają?
- Flip to Romek Sawicki, a Flap Marian Godlewski... Obydwaj mieszkają na ulicy

Warszawskiej pod numerem 43. Czego pan od nich chce?

Detektyw notował.

- Czego chce? To się wkrótce okaże - powiedział zamykając notes. - Dziękuję ci. Pewno się jeszcze zobaczymy.

Gdy drzwi zamknęły się za Tutamem, Olga jednym skokiem znalazła się przy telefonie. Przyłożyła słuchawkę do ucha, palec wetknęła w tarczę. Telefon był martwy. Nie było sygnału. Olga uniosła aparat i stuknęła nim o stół. Nie pomogło. Wtedy chwyciła torebkę i wybiegła na ulicę. Pognała w kierunku telefonicznej budki. Ktoś był wewnątrz. Upłynęło kilka minut, zanim skończył rozmowę. Olga wpadła do środka. Otworzyła portmonetkę. Pogrzebała nerwowo w monetach. Nie miała pięćdziesięciogroszówki.

Tutam tymczasem był już na ulicy Warszawskiej. Dzwonił do mieszkania państwa Sawickich. Otworzyła mu pani Sawicka. Tutam przedstawił się.

- Pani daruje, ale muszę porozmawiać z pani synem.

- Proszę bardzo. Romek! - zawołała zaniepokojona w głąb mieszkania. - Pan detektyw

Tutam...

W pokoju zjawił się Romek zmieszany i niepewny własnych kroków.

- Mój drogi. To ty jesteś Flap?

- Tak...

- Chciałbym zobaczyć twoją wiatrówkę.

- Wia... wia... Ja nie mam wiatrówki... Ja noszę swetry...

- Nie chodzi mi o wiatrówkę, którą się nosi, tylko o wiatrówkę, z której się strzela.

- Takiej też nie mam...

- To znaczy, że ma ją Marian?

- Nie wiem, czy ma...

- Bardzo przepraszam - rzekł Tutam zwracając się do pani Sawickiej - ale muszą przejść w towarzystwie Romka do Mariana. To w tym samym domu, prawda?

- Tak.

- Zaprowadź mnie tam, Romku. A! To twoja gitara?

- Tak...

- W porządku.

Wkrótce znaleźli się pod drzwiami Mariana. Zadzwonili. Otworzył Marian. Stropił się zobaczywszy Tutama.

- Mój drogi - powiedział detektyw. - To ty jesteś Flip?

- Tak.

- Chciałbym zobaczyć twoją wiatrówkę. Marian pobiegł do szafy.

- Proszę bardzo. O! Jeździłem w niej na nartach.

- Chodzi mi o tę drugą. Do strzelania.

- Ja... ja... nie mam do strzelania...

- Masz.

Marian z grobową miną wyjął z szafy swoją strzelbę.

- Proszę...

- Chciałbym jeszcze zobaczyć pociski, którymi z niej strzelasz.

- Proszę... - Marian pokazał Tutamowi mini-przedmiot o stalowym dziobku i zakończeniu w kształcie małej kolorowej miotełki. Tutam sięgnął do kieszeni i wyjął z niej trzy identyczne mini-przedmioty. - Podobne, prawda? Nawet identyczne. Dwa z tych pocisków tkwiły w tynku za neonem nad sklepem z galanterią, a jeden leżał na chodniku. No, więc jak? Byliście wczoraj u Olgi?

- Byliśmy...

- I zabawialiście się w strzelanie do neonowych liter?

- Tak. Żeby... wyszło... ALA MA KOTA.

- Dziękuję. To mi na razie wystarczy.

W tej chwili zadzwonił telefon. Tutam podniósł słuchawkę.

- Proszę. To Olga? Tu detektyw Tutam. Nie. Nie będziesz teraz rozmawiać z Marianem. Idź do domu. Ja zaraz do ciebie przyjadę.

Romek i Marian z uporem oglądali własne buty.

- Tymczasem do widzenia!

Tutam skierował się do wyjścia.

### **„Astronauci” i „Krasnoludki”**

*(Szesnasta przygoda detektywa Tutama)*

W pełni wakacji, słońca i pogody, na leśnych koloniach zdarzyła się ciekawa, choć niezbyt wesoła historia, w której interweniował detektyw Tutam. Powtarzamy tu dziś jego relację, którą usłyszeliśmy z jego własnych ust.

Działo się to w lipcu. Kierownik kolonii, lubiany przez wszystkich „Szybowiec” (nie wiadomo, kto go tak ochrzcił, ale nazwa ta przylgnęła do niego jak koszula) rzucił myśl zorganizowania zawodów między dwiema grupami kolonijnymi, na które dzielił się obóz. Chłopcy stanowiący pierwszą grupę nazwali się „Astronautami” - drugą „Krasnoludkami”. Zawody te miały polegać na kilku zabawnych konkurencjach, podobnych do tych, jakie organizuje telewizja w turniejach międzymiastowych.

Po dwóch dniach debat i namysłów ustalono, że turniej będzie obejmował następujące konkurencje:

1. Strzelanie z łuku do słomianej tarczy.
2. Włazenie na maszt po zatkniętą na czubku chorągiewkę.
3. Wystruganie łódek z przygotowanych kawałków kory.
4. Wyścigi w workach. (O zwycięstwie ma decydować czas wywalczony przez trzech zawodników - tak jak w Wyścigu Pokoju.)
5. Konkurs trębaczy obozowych, który z nich piękniej wytrąbi hejnał mariacki.

Regulamin określał zasady poszczególnych konkurencji oraz przewidywał wszelkie ewentualności. Np. wygraną walkowerem w razie nieobecności któregoś z zawodników na starcie w terminie oznaczonym.

Do zawodów tych obydwie zespoły miały przygotować się w ciągu tygodnia. Zawrzało w obydwu grupach. Łucznicy po całych dniach szyli z łuków, wspinacze jak wiewiórki wspinali się na maszty, strugacze ostrzyli fińskie noże, skoczkowie w workach po pachy przedziwnymi susami przemierzali konkursową trasę, trębacze trąbili co sił w płucach, jakby bez przerwy było południe. W przeddzień zawodów wszystko i wszyscy byli gotowi. „Astronauci” i „Krasnoludki” robili do siebie ważne miny, bo jedni i drudzy udawali, mimo niepewności, że są pewni zwycięstwa. Nawet obrzucali siebie pomysłowymi wierszykami w rodzaju:

*Nie podskakuj, „Krasnoludku”.*

*Lewą nóżkę masz za krótką.*

Na co zaczepiony „Krasnoludek” odpowiadał:

*Wielki z ciebie „Astronauta”.*

*Ale strzelasz wciąż na auta.*

No, i zaczęło się. I to wobec licznie zgromadzonej publiczności, wśród której - jak się później okazało - był także detektyw Tutam.

Pierwsi na starcie stanęli łucznicy. Wygrał Edek „Krasnoludek”. W drugiej kolejce konkurencji trafił w dziesiątkę, a Maniek „Astronauta” posłał strzałę „Panu Bogu w okno”. W ten sposób „Krasnoludki” objęły prowadzenie. Ale nie na długo. Drugą konkurencję „Astronautów” rozstrzygnęli na swoją korzyść. Ich reprezentant, Wojtek, wlaź na maszt jak niedźwiedź, co w tym wypadku oznacza zręczność, a nie ociążałość. Markowi, „Krasnoludkowi” zabrakło sił na ostatnim metrze masztu. Zjechał na dół bez chorągiewki. Wtedy widownia podzielona na zwolenników „Astronautów” i „Krasnoludków” zaczęła się denerwować, trąbić, walić w co się dało i skandować: - „As-tro-nau-ci!” „Kras-no-lud-ki!”

Przystąpiono do następnej konkurencji. „Szybowiec” przywołał do stołu sędziowskiego strugaczy. Na gwizdek rozpoczęli robotę, że aż wióry leciały. W konkurencji tej sprawdziło się przysłowie: co nagle, to po diable. Obydwie łódki podobniejsze były do koślawych kapci niż do łódek, ale z tej koślawej pary „Szybowiec” wybrał dzieło Mietka „Astronauty” i w ten sposób „Astronauty” prowadzili 2:1.

Przy szalonym dopingu „Krasnoludków” rozpoczęła się czwarta konkurencja: wyścigi w workach. Zorganizowana ona była w sposób następujący: z linii startowej wyruszyła pierwsza para zawodników w kierunku linii mety odległej o 30 m. Tam czekała druga para, której poszczególne zawodnik ruszał w kierunku linii startu, gdy jego partner-poprzednik przekroczył linię mety. Po wykonaniu skaczącego zadania przez drugą parę ruszała para trzecia, jako ostatnia zdążając od linii startowej do mety. Przebieg tej konkurencji był bardzo dramatyczny. Początek zapowiadał zwycięstwo „Astronautów”. Ich reprezentant sadził naprzód kangurzymi susami. Wydawało się patrzącym, że worek oplatający mu nogi pomaga mu w tych susach, a nie przeszkadza. Wyprzedził Bolka „Krasnoludka” chyba o osiem metrów, tak że następny „Astronauta” (a był nim Adaś) już skakał z powrotem, gdy Bolek „Krasnoludek” doskakiwał swoje ostatnie metry. Wśród widzów wrzało. „Astronauty” triumfowali, gdyż Adaś jeszcze bardziej powiększył różnicę na korzyść swoich barw. Rozległ się skandowany krzyk zwolenników „Astronautów”: Nie pod-ska-kuj „Kra-sno-lud-ku”. Lewą no-gę masz za krót-ką!

I w tym momencie wszystko nagle się zmieniło. Adaś potknął się i rymnął jak długi orząc nosem murawę. Upadek był pechowy, nim się kontuzjowany pozbierał i podniósł, Ignaś

„Krasnoludek” dogonił go i wyprzedził. Tej straty nie odrobił już na ostatniej zmianie Rysiek „Astronauta”. Józek „Krasnoludek” nie oddał mu ani metra.

Radość „Krasnoludków” nie miała granic. Wynik turnieju brzmiał 2:2. „Astronauaci” mieli niewyraźne miny.

- Tylko nasz pech dał wam ten remis - powiedział kąśliwie któryś.

Ostatnia konkurencja miała zadecydować o wyniku turnieju. Jej faworytem był Wiesio „Krasnoludek”, trębacz nad trębacze.

Przed rozpoczęciem tej konkurencji nagle wśród „Krasnoludków” zawrzało. Biegli hurmem do „Szybowca”, który właśnie obwieszczał rozpoczęcie turnieju trębaczy.

- Trębacze na staaart!

- Proszę pana! Proszę pana! - rozlegały się podniecone głosy. - Wieškowi zginęła trąbka.

- Co takiego?

- Zginęła! - mówił Wiesiek głosem załamującym się z przejęcia. - Miałem ją tu... W namiocie. Poszedłem teraz po nią... Nie ma...

- Gdzież się podziała?

- Nie wiem...

- Proszę pana - odezwał się oficjalnym tonem Andrzej, kapitan „Astronautów” - przed chwilą wezwał pan zawodników do rozpoczęcia konkurencji. Nasz reprezentant jest gotów. Stoi tu z trąbką. Reprezentant „Krasnoludków” jest wprawdzie obecny, ale z powodu braku instrumentu nie może startować. Uważam, że konkurencję tę wygraliśmy walkowerem.

- Wygraliśmy! - ryknęli „Astronauaci” i ich kibice.

- Spokój! - rzekł kategorycznie „Szybowiec”. - Sprawa wygląda bardzo podejrzanie.

Kto schował trąbkę Wiesiowi?

Odpowiedziała mu głucha cisza. W końcu odezwał się Olek, trębacz „Astronautów”:

- Przecież Wiesio może trąbić na naszej trąbce.

- Nie... - mówił ze łzami w oczach Wiesiek. - Ja potrafię grać tylko na swojej...

Wspaniała zabawa zmieniła się nagle w coś nieznośnego. Wydawało się, że jest parno jak przed burzą. Wesoły turniej został przerwany. Goście rozchodzili się z uczuciem zawodu. „Krasnoludki” złymi oczami patrzyli na „Astronautów” w uzasadnionym chyba przekonaniu, że to wśród nich ukrywa się sprawca niesportowej afery.

- Skoro nikt z was nie ma nic do powiedzenia na temat trąbki, musimy przeszukać teren - mówił na zarządzonym natychmiast apelu „Szybowiec”. - Przecież nie wyrosły jej skrzydła. Nie odfrunęła. Musi się znaleźć. Zbiórka w rzędzie.

Zatupotały nogi.

- W prawo zwrot. Odstęp dwa metry. Przeczeszemy teren, każdy krzaczek, każdy dołek. Najpierw w obozie „Astronautów”, potem „Krasnoludków”. - To powiedziawszy „Szybowiec” zagwizdał. Tyralliera ruszyła. Każdy z posuwających się powoli chłopców przetrząsał wszystko, co spotkał na swej trasie. Odbywało się to w ciszy i napięciu. W ten sposób „grzebień” najpierw przesunął się przez obóz „Astronautów”. Terenu ubywało, a trąbki jak nie było, tak nie było. Aż raptem z lewego skrzydła rozległ się krzyk:

- Jeest!

Mirek „Krasnoludek” stał na skraju lasu, już na łące przed rozgrzebaną kopką siana. Wszyscy popędzili w jego stronę. Jacek trzymał w ręku trąbkę odwijając ją z ręcznika, w który była Skręcona.

- Gdzie ona była? - padały pytania nadbiegających.

- Tu. W tej kopce. W ten ręcznik była okręcona - mówił z przejęciem Mirek.

- Pokaż mi ten ręcznik - powiedział urzędowo „Szybowiec”. - Przecież to ręcznik któregoś z was. Zgodnie z zarządzeniem jest naznaczony. O! Tu jest monogram...

- Pan kierownik działa jak detektyw Tutam - powiedział z uznaniem któryś z „Krasnoludków”. - A jakie litery ma ręcznik?

- J. K.

- J. K. Kto to może być?

- Jacek Krajewski! Oczywiście „Astronauta”! - wykrzyknął któryś z „Krasnoludków”.

- Hańba, wstyd! - krzyknął drugi.

- To wcale nie mój ręcznik! Odczepcie się! Ja nie mam z tym nic wspólnego poza tym monogramem i - protestował rozpaczliwie Jacek.

- Jak nie on, to Jurek Kowalski!

- Racja! On też jest J. K.!

Jurek stał wielce zafasowany i zdumiony.

- Tak... To rzeczywiście mój ręcznik, ale... ale to nie ja. Słowo daję, że nie ja!

- Nie Jacek, nie Jurek, więc kto?

- Jurek, nie kręć gitary!

- Jacek, przyznaj się bez bicia!

- Słuchajcie, chłopcy - przemówił „Szybowiec” zwracając się do Jacka i Jurka - sprawa jest poważna i naprawdę będzie lepiej, gdy ten, który to zrobił, powie odważnie i po męsku, jak było.

- To nie ja! - powiedział z całą stanowczością Jacek.

- I nie ja! - tak samo powiedział Jurek. - Więc kto w takim razie?

Zapanowała ogólna konsternacja i gwar pomieszanych głosów.

- Przyznajcie się „Astronauci” spod ciemnej gwiazdy!

- Schowali, a teraz orbitują!

W ten sposób sprawa utknęła na martwym punkcie, ale w tym właśnie momencie do wzburzonej gromady podszedł przyjaźnie uśmiechnięty pan z fajeczką.

- Przepraszam... - rzekł do „Szybowca” - jestem detektyw Tutam.

- O! Z nieba chyba pan nam spada!

- Nie. Ja zawsze chodzę po ziemi. Nie wiem, czy pan spostrzegł, że od samego początku obserwowałem dzisiejszy turniej. Znakomite widowisko. Zresztą nie od dziś obserwowałem pańskich podopiecznych i dlatego pozwalam sobie interweniować.

- Proszę bardzo. Jest pan przecież przyjacielem wszystkich małych obywateli.

- Ano właśnie. Dlatego zależy mi na tym, żeby wszystkie ich sprawy były jasne i czyste. Ta historia z trąbką bardzo mnie przejęła i nader bacznie śledziłem rozwój wydarzeń. Oczywiście poczynania pana były bardzo słuszne. To poszukiwanie trąbki... Nie wydaje mi się jednak, żeby obecny kierunek pana dociekań i podejrzeń był słuszny. Chodzi mi o Jacka i Jurka. Czy pozwoli mi pan przejąć i dokończyć sprawę?

- Oczywiście. Nikt tego nie zrobi lepiej od pana.

- Dziękuję. Wobec tego, pozwoli pan, że obejrzę ręcznik, w który zawinięta była trąbka.

- Naturalnie.

- Bądź co bądź sprawca dbał o instrument - mówił Tutam jakby do siebie. - Zawinął go przed porzuceniem. To daje do myślenia.

Detektyw badał ręcznik bardzo uważnie.

- No, tak. Trochę jest pobrudzony.

- Poplamiony! - zawołał któryś z chłopców, wtykających nosy.

- Chciałbym porozmawiać w cztery oczy z Wiesiem-trębaczem.

- Jestem... - odezwał się pokrzywdzony trębacz. Detektyw objął go serdecznie ramieniem i odszedł z nim za namioty. Wśród zebranych szumiało. Sytuacja naprężała się coraz bardziej. Kto, u licha, schował tę trąbkę? Nie Jacek? Nie Jurek? Ale ręcznik jest przecież Jurka. Czyżby rzeczywiście mówili prawdę?

Po pewnym czasie detektyw i Wiesio dołączyli do zebranych. Tutam zwrócił się do „Szybowca”:

- Poproszę pana, żeby zechciał pan zarządzić zbiórkę „Krasnoludków”, o tu, dookoła



mnie, w takim „koło naokoło”.

- „Krasnoludków”? - zdziwił się „Szybowiec”. - Skoro pan sobie życzy. Proszę bardzo. Zbiórka!

Wokół Tutama uformowało się koło. Poza kołem stali „Astronauci” przyglądając się temu, co działo się wewnątrz.

Tutam puszczając dymki ze swej fajeczki szedł powoli od Krasnoludka do Krasnoludka oglądając każdego od stóp do głów. Trwało to dość długo.

- Dziękuję panu - rzekł do „Szybowca” skończywszy przegląd. - Myślę, że sprawa się wyjaśniła. To nie Jacek i nie Jurek.

Podejrzany spadł kamień z serca.

- A kto?

- Zanim to się wyjaśni ostatecznie, muszę odbyć drugi mały spacer z pewnym „Krasnoludkiem”. - Zebranych obiegł szmer zdumienia.

Tutam podszedł do chłopca w białej koszuli i niebieskich farmerkach, stojącego sobie jak gdyby nigdy nic z rękami w kieszeniach.

- Z Markiem?! - zaszumiało wśród chłopców. Dlaczego?!

Tutam i Marek odeszli na tyle daleko, że nie było słyhać, o czym rozmawiają, a na tyle blisko, że było widać, jak Marek w miarę upływu czasu i słów Tutama kurczył się i pochylał, jak w końcu zaczął beczeć. Wtedy to Tutam wrócił do zebranych. Sam. Marek pozostał z boku. Przysiadł na pniu. Nie przestawał beczeć. Detektyw wyjął z ust fajkę i powiedział:

- Moi drodzy. A więc wszystko się wyjaśniło. Chcę wam rzecz przedstawić szczegółowo, bo chyba warta jest tego.

Chłopcy strzygli uszami z ciekawości.

- Sprawa w gruncie rzeczy jest dość prosta. Gdy Mirek znalazł trąbkę - ciągnął swą relację Tutam - zawiniętą w ręcznik Jurka „Astronauty”, uświadomiłem sobie, że przechodząc przez obóz „Astronautów” widziałem tam kilkanaście ręczników suszących się na sznurze i że w jednym miejscu tego sznura było puste miejsce, jakby ktoś zdjął czy ściągnął jeden z ręczników. Uświadomiłem sobie wtedy drugą rzecz również nader prostą, że jeśli zawinięta w ręcznik trąbka znalazła się w kopce siana, to sprawca tej afery musiał przejść trasę od sznura z ręcznikami do kopki siana. To chyba proste. Na tej trasie, jak wiecie, rosną jeżyny. Pogoda piękna, więc dojrzewają. Ta sprawa skojarzyła mi się z plamami na ręczniku. Ręka, która zrywała soczyste jeżyny pozostawiła plamy na ręczniku. Oto jeżyna. Oto świeża plama. To samo. Ale, jak się okazało, nie tylko ręcznik został poplamiony jeżynami. Koszula również.

Czyja? Tajemniczego sprawcy.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Marka.

- Plamy te w czasie przeglądu spostrzegłem na koszuli. Tak, tak. Na koszuli Marka. Są one takie same, jak na ręczniku.

Wśród zebranych zaległa grobowa cisza.

- Fakty powyższe - ciągnął dalej Tutam - potwierdziły moją opinię o Jacku i Jurku, że mówią prawdę. Natomiast wszystkim jest wiadomo, że Marek też jest trębaczem. Tylko gorszym od Wiesia i z tego powodu nie biorącym udziału w turnieju. Niestety ta sytuacja wzbudziła w nim najgorsze uczucia zawiści, które pchnęły go do tego kompromitującego kroku. Żałuje teraz, ale co się stało, nie odstanie.

- Hańba! Wstyd! - zagrzmiało dokoła.

- Ręcznik Jurka ściągnął ze sznura, żeby na nas, na „Astronautów” zwalić winę! - zawołał oburzony Wojtek.

- Hańba! Wstyd!

Wszystkie oczy zwróciły się na Marka, który siedział na swoim samotnym pieńku z twarzą ukrytą w dłoniach.

- To niesłychane - powiedział ze smutkiem „Szybowiec”. - Zawiść go tak zaślepiła, że własne, małe ambicje postawił wyżej niż zwycięstwo całego zespołu.

- Tak - dorzucił Tutam - Marek powiedział mi, co wtedy myślał: „Jeżeli ja nie trąbię, to niech wszystko przepada”. Teraz już tak nie myśli. Żegnam pana. Do widzenia, chłopcy! Tutam oddalił się szybko. Wtedy Marek wstał ze swego pieńka i począł iść, jakby dźwigał ogromny ciężar, w kierunku chłopców i „Szybowca”. Szedł i płakał... Hańba! Wstyd! Spotkał się z tymi dwoma strasznymi słowami.

Rzecz jasna, że turniej został dokończony. Wiesio odegrał hejnał wspaniale. Dał koncert jak Wojski na rogu - ten z „Pana Tadeusza”. Zwyciężył. A w ogólnej punktacji zwyciężyły „Krasnoludki”.

## **Koty**

### ***(Siedemnasta przygoda detektywa Tutama)***

Ta „mleczna historia”, którą ostatnio opowiedział nam detektyw Tutam, zdarzyła się w pewnym warszawskim domu, trochę nietypowym, bo miał on w zapleczu podwórko pełne zieleni, gdzie krzewy rosły gęsto, a tajemnicze ścieżki biegły kręto i z górki na pazurki. Nic też dziwnego, że rozhasana gromadka najmłodszych mieszkańców owego domu często tam bobrowała płosząc ptaki i koty.

Z tymi kotami to był specjalny problem. No, bo żyły sobie dziko i bezpiecznie, żywiąc

się upolowanymi wróblami lub czasem gołębiami. Nie wiadomo było, co z nimi robić, bo i żal było tego bezdomnego towarzystwa, i jednocześnie trudno było obojętnie patrzeć na tę hultajską drapieżność.

Mimo wszystko wśród mieszkańców domu przeważały ludzkie uczucia i z niejednego okna coś tam spadało na podwórze i dzikusom żyło się nie najgorzej. Szczególnie miękkie serce dla tej miauczącej czeredy miała pani Anastazja Wiotka, emerytka mieszkająca na parterze, w pokoju, którego okna wychodziły na ogrodową część podwórza, tam właśnie, gdzie koty miały swoje chody i kryjówki. Pani Anastazja miała po prostu kociego fijoła. Dużą część swej emerytury przeznaczała na dożywianie tych podwórzowych dzikusów. Nic też dziwnego, że pod jej oknami o każdej porze dnia i nocy pełno było kociego chuligaństwa. Niesamowicie wyglądało to wieczorem, gdy na podwórze wjeżdżały wracające do garażów samochody. Wówczas światła reflektorów wydobywały z ciemności czarne i złotookie sylwetki czmychających na boki kocurów.

Oczywiście najmłodszy mieszkańcy opisywanego domu też nie przechodzili obojętnie obok tej kociej sprawy; dziewczynki o miękkich sercach wzruszały się kociętami, chłopcy zaś o kamiennych - płoszyli je przeraźliwymi odgłosami.

Tyle o kotach. Zajęło to dość dużo miejsca, ale i detektyw Tutam wiele słów tej sprawie poświęcił.

W domu tym mieszkał również samotny stary kawaler pan Euzebiusz Puzderko, technik dentystyczny, artysta swego zawodu, który uszczęśliwiał ludzi artystycznie wykonanymi sztucznymi szczękami. Zawód swój traktował poważnie i wzniosie, pragnąc przynieść ulgę ludziom cierpiącym z powodu złego stanu zębów. Sam również zębów nie miał i może z tego powodu bardzo lubił mleko i wypijał duże jego ilości. Nie ma to jak mleczko - mawiał - bo to i witaminy i błogo. Żeby to tak wszyscy zamiast alkoholu... Pan Euzebiusz co wieczór zostawiał pod drzwiami swojej kawalerki pustą butelkę, a rano skoro świt zabierał pełną, pozostawioną tam przez roznosicielkę mleka. Otóż pewnego ranka spostrzegł z niemałym zdumieniem, że w butelce brakuje mleka. Zawartość nie odpowiadała cenie. Sprawa zaczęła się powtarzać i to w formie coraz ostrzejszej. Po tygodniu pan Euzebiusz znalazł w butelce połowę tego, co w niej powinno być. Wieczorem nastawił budzik na 6 rano i obudziwszy się po dobrze przespanej nocy nasłuchiwał czekając na roznosicielkę. Gdy przyczłapała pod jego drzwi, wychylił się i tak do niej przemówił:

- Szanowna obywatelko! Od tygodnia otrzymuję od pani butelki z niewłaściwą ilością mleka, to znaczy dużo mniej, niż powinienem otrzymać za to, co płacę.

- Pod złym adresem kieruje pan te pretensje - odpowiedziała szorstko dotknięta

roznosicielka. - Ja panu stawiam pod drzwi pełną, opieczętowaną butelkę, jak każdemu. Nie wypijam pańskiego mleka.

- Otóż to! To pragnąłem od pani usłyszeć. Byłem i jestem przekonany, że pani jest w porządku, ale jakiś nieznany amator cudzego mleka pociąga, że tak powiem, z mojej butelki.

Kto to może być?

- Ja tam wiem? Może to dzieciaki? Sodomia teraz z nimi i Gomora.

To powiedziawszy poszła, dokąd miała iść, dzwoniąc pustymi butelkami.

- Ale nazajutrz butelka pana Puzderko została opróżniona niemal do dna. Pan Euzebiusz zakipiał. Niewiele myśląc chwycił słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer detektywa Tutama.

- Chętnie się tym zajmę - zabrzączała membrana w słuchawce. - Już kilka razy interweniowałem w sprawie mleka. To się zdarza dość często. Chwileczkę. Zapiszę adres...

Wkrótce w kawalerce pana Euzebiusza zjawił się sympatyczny pan z fajeczką.

- No, słucham, słucham. Co mi pan jeszcze może na temat tego mleka powiedzieć? Nikogo pan nie podejrzewa?

- Hm. Czy nikogo? Widzi pan, podejrzenia to rzecz ryzykowna, bo można się omylić.

- To prawda, ale zdarza się również często, że od poszlak do dowodów droga niedaleka.

- Więc dobrze. Będę z panem zupełnie szczery. Podejrzewam o te mleczne nadużycia lokatorkę tego domu, panią Anastazję Wiotką, która ma kociego fijoła i która prawdopodobnie moim kosztem dożywia koty. Wie pan, to niesłychane! Te koty to plaga tego domu! W marcu spać nie można, tak wrzeszczą. A ta pani karmiąc je powoduje, że przyrost naturalny tej plagi wzrasta zastraszająco. Niedługo ludzie z tej kamienicy będą musieli się wyprowadzić, bo ich miejsce zajmą koty!

- Aha, aha... - potakiwał Tutam pykając swą fajeczkę. - A gdzie mieszka owa pani Wiotka?

- Na parterze. Pode mną.

- A jak się układają z tą panią stosunki sąsiedzkie?

- Fatalnie.

- A dlaczego?

- Bo była niezadowolona z zębów, które dla niej zrobiłem. A robota, słowo honoru, była na medal.

- Nie wątpię. Pozwoli pan, że niebawem ponownie pana odwiedzę. Na razie złożę wizytę pani Wiotkiej.

- Szanowna pani... Dowiedziałem się - mówił detektyw do nieco przestraszonej pani Anastazji - że kocha pani zwierzęta. Chodzi mi o koty...

- Ach, tak. To takie bezdomne sierotki. Dożywiám je, jak mogę.

- A jak pani to robi?

- Ano, kupuję, gdy tylko mogę, mięska, jakiego się da... Albo ryb...

- Ho, ho!

- Czasem przyleję im mleka...

- Mleka? A jak organizuje pani to karmienie?

- One organizują, nie ja. Przychodzą pod okno, na ten betonowy tarasik i wyczekują...

Rzucam im po prostu te ochłapki.

- A z mlekiem, jak bywa?

- Z mlekiem? Widzi pan te głodomory wolą mięso. Ale stawiam im czasem miseczkę, to i chlepczą...

- A ostatnio dawała im pani mleko?

- Ostatnio nie. A dlaczego pan pyta?

- Wybacz pani, ale nie odpowiem na to pytanie. Dziękuję. Do miłego widzenia. Aha! Jeszcze jedno... Jaki, proszę pani, jest stosunek do tego kociego towarzystwa dzieci, mieszkających w tym domu?

- Chłopców obrzydliwy, dziewczynek lepszy, ale też nie o wiele.

- A czy jest, proszę pani, wśród nich - mam na myśli dziewczynki - taka, którą można by nazwać „kocią mamą”?

- Nie zauważyłam takiej. Chociaż może Ela z czwartego piętra...

- Z tej klatki schodowej?

- Tak. Z tej. Numer mieszkania 12.

Po chwili detektyw Tutam znalazł się na czwartym piętrze. Zadzwoił pod numer dwunasty. Najpierw rozległo się jazgotliwe ujadanie. Potem otworzyła mu drzwi sympatyczna dziewczynka o zadartym nosku i figlarnym uśmiešku.

- Cicho, Bobik! - uciszyła zabawnego pieska, który również czynił honory domu.

- Jestem detektyw Tutam. Prawdopodobnie rozmawiam z Elą. Czy tak?

- Tak...

- Powiedz mi, moja kochana, czy lubisz koty?

- Koty? Owszem. Nawet bardzo.

- I co? Masz własnego?

- Nie. Niestety. Tato nie chce się zgodzić... Bo u nas jest pies. Pan rozumie. Ale za to

opiekuję się czasem podwórzowymi... Dawniej taką kotką, co miała kocięta...

- To ładnie. Na czym polega ta opieka?

- Zanoszę im resztki obiadu...

- A obecnie masz taką podopieczną kotkę?

- Nie... Na wiosnę miałam. Było sześcioro kociąt. Teraz już to całe towarzystwo hula po świecie, to znaczy po krzakach i śmietnikach.

- A czy mogłabyś mi pokazać miejsce, gdzie kotka miała gniazdo?

- A naturalnie. Proszę bardzo.

Ela prowadziła detektywa. Wkrótce znaleźli się na tyłach domu.

- Widzi pan, o tu. Mieli coś budować... W tych deskach. O! - Ela wydała stłumiony okrzyk.

- No, co tam? - zapytał Tutam.

- Kotka! Niech pan spojrzy... Kotka z małymi... Jakie śmieszne. Trójkolorowe.

Podeszli parę kroków. Kotka karmiąc małe patrzyła niespokojnie i fukała ukazując zęby ostre jak szpilki.

- Odsuńmy się. Nie denerwujmy stworzenia - powiedział Tutam. - Ale widzę, że tej prawdziwej kociej mamie powodzi się całkiem dobrze. Spójrz. Ma miskę, nawet można powiedzieć miche, z niedopitym mlekiem. To znak, że nie jest głodna. Ktoś tu o nią dba i to bardzo troskliwie.

- Rzeczywiście... - szepnęła z przejęciem Ela.

- No, i jak, Elu? Czy naprawdę nic o tej kotce i tym mleku nie wiedziałaś?

- Słowo daję, że nic. Pan myśli, że ja...

- Ano, myślę, co myślę. Chwileczkę. Coś tu leży...

- Co to? Kluczyk?

- Tak. Kluczyk. Wygląda mi na kluczyk od skrzynki do listów. Czy to twój?

- Nie. Nie mój... Dlaczego miałby być mój?

- A może jednak twój?

- Nie! Skąd! Ja tu od wiosny nie byłam... - Ela patrzyła na Tutama niespokojnymi oczami jak kotka.

- No, moja kochana, skoro nie masz mi nic więcej do powiedzenia na temat tej kotki i tego mleka, to muszę ci na razie podziękować za przewodnictwo. Na razie. Bo pewno wkrótce jeszcze raz cię odwiedzę.

- Tak? - W głosie Eli brzmiał niepokój. Odeszła z zafrasowaną minką. Odchodząc obejrzała się podejrzliwie kilka razy na Tutama. Detektyw stał zamyślony kręcąc w palcach

kluczyk z czerwoną tasiemką.

Po chwili znalazł się na klatce schodowej przed „wiszącą szafą” z lokatorskimi skrzynkami do listów. Zaczął od numeru dwunastego. Spróbował znalezionym kluczykiem otworzyć skrzynkę. Nie pasował.

- Mówiła prawdę... - mruknął z uśmiechem detektyw. - To nie jej kluczyk. Mruknąwszy powtórzył próbę otwierania zaczynając od początku, od góry. Próby te nie dawały pożądanego rezultatu. Wreszcie... Tak. Trzecia skrzynka od końca w ostatnim rzędzie otworzyła się bez trudu. Kluczyk pasował znakomicie. Detektyw uśmiechnął się z zadowoleniem. Skrzynka oznaczona była numerem czterdziestym trzecim. Detektyw pykając fajeczkę podszedł do listy lokatorów. Odszukał numer czterdziesty trzeci i odczytał nazwisko: Izydor Jackowski. Tutam otworzył windę, wsiadł i pojechał na czwarte piętro. Zadzwoił pod numer dwunasty. Bobik odszczekał swoją serię powitalną.

- Bardzo cię, Elu, przepraszam, ale potrzebuję twojej pomocy. - Ela patrzyła niespokojnie na Tutama. - Powiedz mi, moja kochana, kto mieszka pod numerem czterdziestym trzecim?

- Pod czterdziestym trzecim Alik Jackowski...

- Alik. Czy to twój kolega?

- Nie. Ale znam go dobrze. To „zoolog”. Tak go nazywamy, bo ciągle chodzi do ZOO i ma kręcka na punkcie zwierzaków. Mnóstwo pieniędzy na to wydaje... Teraz ma pięć chomików...

- Tak? A czy interesuje się kotami z podwórza?

- Chyba nie. Chłopcy nie nadają się na „kocie mamy”.

Rozmowa Tutama z mamą Alika miała przebieg następujący:

- Proszę pani, muszę pani z racji pełnionych przeze mnie funkcji zadać kilka pytań.

- Słucham pana.

- Ten kluczyk - to mówiąc Tutam wyjął z kieszeni kluczyk z czerwoną tasiemką - jest od skrzynki należącej do państwa? Czy tak?

- Tak. Rzeczywiście.

- Czy ostatnio miał go w swoich rękach syn pani, Alik?

- Ostatnio? Miał. Posyłałam go na dół, żeby mi przyniósł pocztę. Pomaga mi jak może we wszystkich drobiazgach...-]

- Ma pani pocichę z syna?

- A mam. Uczynny i ma takie ładne zainteresowania...

- Jakie?

- Kocha zwierzęta.

- A mąż pani, co porabia?

- Mąż mój nie żyje. Mam teraz tylko Aliką.

- To pewno się u pani nie przelewa?

- A nie. Ale jakoś tam wiązę koniec z końcem.

- Bardzo pani dziękuję i bardzo panią przepraszam. Kluczyk jeszcze zatrzymam.

Chciałbym poza tym porozmawiać z Alikiem i to w cztery oczy. Może mi go pani przysłać dziś o godzinie 16?

- Proszę bardzo. A czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

- O co chodzi? - Tutam uśmiechnął się życzliwie i tajemniczo. - Chciałbym z nim porozmawiać o zwierzętach. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu”?

- Ależ przeciwnie. Bardzo jestem rada.

O godzinie 16 Alik zadzwonił do Tutama.

- Mój drogi - mówił detektyw wprowadzając go do pokoju - chciałbym, żebyś rozmawiał ze mną jak ze swoim przyjacielem, bo ja tak zamierzam rozmawiać z tobą. Powiedz mi, czy ty opiekujesz się kotką, która okociła się w tych deskach?

- Ja...

- A powiedz mi, skąd bierzesz mleko, którym je karmisz? - Alik milczał długo, a jego jasne oczy wypełniły się łzami.

- Sprzed drzwi pana Puzderko? - zapytał patrząc mu łagodnie w oczy Tutam. - Czy tak?

- Tak...

- Czy to jest w porządku?

- Nie...

- Dlaczego więc to robisz?

Alik milczał. Pierwsza łza spłynęła mu po policzku.

- Nie miałem pieniędzy na mleko... A, a nasze wypijają chomiki...

- Rozumiem. - Tutam objął Alikę po przyjacielsku. - Rozumiem i nie będę całej tej sprawie nadawał rozgłosu. Musisz mi tylko przyrzec, że pójdziesz do pana Puzderko i wszystko mu wyjaśnisz. Jestem przekonany, że ci wybaczy. To bardzo dobry człowiek. Masz. Oddaję ci kluczyk, który zgubiłeś przy twojej kotce. Do pana Puzderko pójdz jutro. Pamiętaj, jutro, nie dziś.

- Dobrze. Dziękuję...

Nietrudno domyślić się, że Tutam porozumiał się z panem Puzderko przed terminem



wizyty Alika, toteż pan Euzebiusz przyjął Alika z życzliwością i wyrozumiałością.

- Byłem pewien - mówił pan Puzderko - że to Anastazja Wiotka. Nigdy nie trzeba ludzi podejrzewać. A to ty... Taki z ciebie „zoolog”. Źle zrobiłeś, mój drogi, że nie przyszedłeś do mnie i nie poprosiłeś o tę kroplę mleka.

- Źle, ale stało się... Przepraszam...

- Tak, tak... A jutro rano przyjdź z kubkiem, to ci odleję trochę mleka.

### **Świerkowa gałązka**

#### ***(Osiemnasta przygoda detektywa Tutama)***

W pełnym rwetesu, przedświątecznym tygodniu, kiedy to, jak co roku, każdy miał pełne ręce roboty, pani Krajewska, matka Jurka, powiedziała:

- Co jak co, ale choinkę w tym roku musisz kupić sam. Ja już nie dam rady. Za dużo tego dobrego.

- Mogę kupić - mruknął Jurek. - Tylko żeby mama potem nie mówiła, że choinka jest taka albo owaka...

- Kup ładną, to wszystko będzie w porządku. Masz tu 50 złotych. Drzewko musi być okazałe.

- Za 50 złotych będzie. Idę. Z Jackiem pójdę. Co dwie pary oczu, to nie jedna.

Wkrótce dwaj przyjaciele, sąsiedzi, mieszkający w dwóch domkach bliźniakach, znaleźli się na drodze. Działo się to w niewielkim miasteczku, które wyrosło jak grzyb po deszczu w sąsiedztwie nowo założonej fabryki. Ta fabryka to była cukrownia. Domki pracowników tej cukrowni liczne i śliczne ciągnęły się wydłuż drogi, która już przekształciła się w ulicę, ale ogrody i ogródki tych domów łączyły się z dookolnymi polami. Miasteczko miało już swoje miejskie aspiracje, miało pocztę, aptekę, parę sklepów i nawet kino. W dniach przedświątecznych ruch w sklepach był ożywiony. Wszyscy kupowali gwiazdkowe prezenty, a na placyku przed kinem choinki.

Tego dnia śnieg prószył od rana. Było bielutko i czyściutko.

- Otóż uważasz - mówił Jurek do Jacka - mama dała mi na choinkę 50 złotych. To jest pieniądz.

- Jest...

- Pomyślałem sobie - kapujesz - że można by ten pieniądz zaoszczędzić na prezenty gwiazdkowe.

- No, a za co kupisz choinkę?

- Ale ty masz mózgownicę elektroniczną. Wcale jej nie kupię, tylko wytnę. I to z twoją pomocą.

- Gdzie wytniesz?
- A tu. W zagajniku za torem kolejki.
- Czyś ty oszalał? Przecież to nasz „Park Kultury”!
- Jaki tam park? Lasek jak każdy inny.
- Nie lasek tylko park. Przez duże „P”. Wszystkie zabawy tam się odbywają.
- Dziury w tym twoim parku przez duże „P” nie będzie, jak jeden świerczek zakosimy.
- Ja tam kosić nie będę.
- Będziesz, będziesz! Pomożesz mi. A forszą podzielimy się po połowie. Jak spółka to

spółka. Zarobisz na prezenty.

- Na prezenty gwiazdkowe taka brudna forsa?
- Nie filozofuj, tylko łap okazję.
- Kiedy widzisz...
- Widzę, że się wahasz jak stare wahadło.

Wkrótce dwaj „zamachowcy” znaleźli się w zagajniku wewnątrz grupki świerków przyprószonych śniegiem. Wszystko dookoła przykryte było równiutką białą kołderką.

- O rety! - jęknął Jacek. - Gdy samochód przejeżdżał, widać nas było jak na dłoni.

- Było. A teraz nie widać. Ten smreczek będzie dobry. Zadrzyj mu gałęzie do góry i trzymaj. Tak. Właśnie tak. A ja go podetnę. Wyostrzyłem mój fiński nóż... O, do licha! Pieniek zamarzył na kość. Ale jakoś idzie. Trzymaj, bo mi gałęzie oczy zasłaniają...

Po paru minutach wysiłków świerk się przechylił i oddzielił od ziemi.

- Dobra jest! - sapnął Jurek. - Mamy choinkę, a tym samym i forszę!

- Na prezenty... - westchnął Jacuś.

- Ano, ano. Czekaj. Wezmę go pod pachę.

- Szkoda, że nie mamy sznurka...

- A szkoda. Czekaj. Ta gałąź sterczy całkiem na opak. Koślawa. Trzeba ją ciachnąć.

O, tu. Przy pieńku. Ciach! Fajny ten nóż. Teraz chodu!

Chłopcy ruszyli na przełaj w kierunku domków-bliźniaków. Po kwadransie byli u siebie.

- No, to cześć! Masz tu swoją dolę, 25 złotych.

- Dziękuję... Cześć...

Rozstali się w nie najlepszych nastrojach.

- Mama! Zobacz jaka fajna! Sama byś takiej nie kupiła! - wołał Jurek wchodząc do pokoju.

- Rzeczywiście urodziwa. Ale to nie choinka. To świerczek srebrzysty. Gdzie go

kupiłeś?

- A u takiego jednego przed kinem. Miał różne...

- Prześliczny. Ale wiesz co, synku? Sprawa wydaje mi się podejrzana. Skąd ten sprzedawca wziął taki srebrzysty świerczek? Takie świerczki rosną tylko w parkach...

- Nie mam pojęcia, skąd go wziął - wzruszył ramionami Jurek. - Nie zastanawiałem się nad tym. Był, to go kupiłem.

- No, pewno, pewno. Przecież ja nie mam do ciebie pretensji. Tak tylko mówię.

Wincenty Kępka, emeryt, były magazynier i zasłużony pracownik cukrowni był wielkim patriotą fabryki i osiedla. Chociaż mocno już posunięty w latach, zawsze pierwszy stawał do roboty z łopatą lub grabiami w ręce, gdy trzeba było porządkować teren, sadzić drzewka lub kwiaty. Nic też dziwnego, że kochał także zagajnik, który zawsze dumnie nazywał „Parkiem Kultury” i że dzień w dzień, chociaż mu za to nikt nie płacił, chodził na lustrację terenu. Dziś również człapał sobie ochoczo i mruczał pod nosem:

- Tak, tak, moje lipki... Zabrał wam listopad liście, a grudzień zmienił was w drapichrusty, panie dobrodziejski. Ale nie martwcie się. Przyjdzie i wasz miesiąc: lipiec. Za to świerczki trzymają się zielono. Rosną sobie, panie dobrodziejski, jak złoto, a raczej jak srebro, bo są srebrzyste... Ale co to? Co ja widzę? Zrąbany! Zbrodnia. Barbarzyństwo. Drzewko moje kochane! Sam je sadziłem na 1 maja... A złodzieje. Chuligany. Już ja im tego nie daruję! Zaraz... Przecież bawi tu u rodziny detektyw Tutam... Przyjechał na święta... Wspaniała okazja, panie dobrodziejski. Pędzę... Chociaż jest na urlopie, ale musi zająć się tą sprawą. Lecę... Musi!

I rzeczywiście detektyw Tutam zajął się tą sprawą. Słuchał uważnie gwałtownej opowieści pana Wincentego.

- No, cóż? - powiedział z uśmiechem. - Sprawa nie jest łatwa. Nic nie obiecuję, ale spróbować trzeba.

Zacniemy od wizji lokalnej. Będę wdzięczny, jeżeli zaprowadzi mnie pan na miejsce „ścięcia”. - Chodźmy, chodźmy prędko, panie dobrodziejski...

- To tutaj - sapał pan Wincenty, gdy wchodzili między świerczki. - O! Pozostał tylko pniaczek. Ach, co to był za świerczek!

- Tak - potwierdził Tutam pykając fajeczkę i rozglądając się dokoła. - Rzeczywiście niewiele zostało. Ten ścięty świerk był taki jak te, co tu rosną?

- Taki samiuteńki panie dobrodziejski. Najpiękniejszy z nich wszystkich. Srebrzysty!

- Taki jak ta gałązka? - To mówiąc Tutam podniósł zielono-srebrną gałązkę, leżącą w pobliżu sterczącego pieńka.

- Tak. Właśnie taki. No, i co, szanowny panie detektywie? Czy ujmie pan tego okrutnika, tego kata, który ściął...

- Nie wiem. Sprawa nie wygląda beznadziejnie. Niech mnie pan teraz zostawi tu samego.

- Idę. Idę i czekam, panie dobrodziejski. A chuligany...

Po odejściu pana Wincentego detektyw Tutam stał jakiś czas zatopiony w myślach i w dymkach swej fajeczki. Oglądał uważnie gałąź przed chwilą podniesioną z ziemi. Schował ją do teczki. Potem... Potem jak Winnetou począł iść za podwójnym śladem, widocznym na śniegu i prowadzącym krok po kroku, jak się okazało, w kierunku pobliskiej kolonii. Ślad urywał się na brzegu drogi, ale kierunek był wyraźny. Detektyw przeszedł przez ulicę i po drugiej stronie dostrzegł ciąg dalszy śladów. Tutam uśmiechnął się z zadowoleniem.

Dni jednak mijały i nic szczególnego się nie działo. Pan Wincenty czekał i czekał na znak od Tutama. Niestety daremnie. Nadszedł w końcu dzień Gwiazdki. Nastrój był świąteczny, czysty, ludzie uśmiechali się do siebie przyjaźnie, radowały się serca, a ten i ów nucił już kolędę: „Aniołowie się radują, pod niebiosa wyśpiewują...”.

W południe zjawił się u Jurka Jacek i powiedział z determinacją:

- Masz tu te twoje brudne pieniądze. Nie potrzebuję ich. Nie chcę. - To mówiąc rzucił mu 25 złotych, trzasnął drzwiami i zniknął. Jurek spochmurniał i długo nie podnosił leżących na podłodze pieniędzy.

Wieczorem w każdym domu świeciła się wigilijna radość. Choinki jarzyły się świeczkami i pryskały zimnymi ogniami. „Bóg się rodzi, moc truchleje.”

U państwa Krajewskich było podobnie. Różnica polegała na tym, że choinka ich była piękniejsza niż gdziekolwiek.

- No, no! Popisałeś się, synu, tą choinką - mówił pan Krajewski pojadając makowiec. - Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak pięknego drzewka.

- Muszę się przyznać - wtrąciła pani Krajewska - że wysyłałam cię po nią z duszą na ramieniu. Bałam się, że przyniesiesz miotłę zamiast choinki.

- Jaką tam miotłę. Ja nie tylko choinkę... Ja, ja mam też prezenty... To jest kalendarz dla mamy, a to długopis dla taty... Wy wszystko dla mnie, to ja chociaż to...

- Dziękuję! - ucieszył się z niespodzianki ojciec.

- I ja też - mówiła wzruszona mama. - Jak to wszystko pięknieje w tym czystym blasku choinki... Skromny prezent staje się skarbem.

- W czystym blasku... - powtórzył w myśli słowa mamy Jurek patrząc pochmurnie w podłogę.

- „Bóg się ro-dzi, moc truchle-je...” - zanucił ojciec.

W ten wieczór wigilijnej radości Jurek czuł się po prostu fatalnie. Najgorsze było to, że musiał udawać dobry, gwiazdkowy humor. Podobny był do „zimnego ognia”: z wierzchu lśniące iskierki, a wewnątrz szaro-czarna zwęglona „dusza”.

Tak minęła Wigilia i pierwsze, i drugie święto. Czas począł zacierać przykre myśli. Nadszedł Nowy Rok. Jurek po śniadaniu wybiegł przed dom, bo śniegu było pod dostatkiem, więc śnieżne kule fruwały we wszystkich kierunkach, raz po raz rozpryskując się na czyjejsz czapie. Rozmówki też krzyżowały się jak śnieżki:

- Wiecie, do nas przyszedł od samego rana listonosz z życzeniami! - wołała Jadzia.

- U nas był kominiarz! Tak! W swoim czarnym ubraniu i cylindrze. Ale, wiecie, on zamiast biletów wizytowych ma w tym roku takie złote kółka jak medale olimpijskie, które wiesz na choince.

- Medale?

- Tak. U nas też był i też powiesił! - wołała Ela.

- A na tym „medalu” jest napis: „Szczęścia życzy kominiarz”.

Wyhasawszy się do woli Jurek wrócił do domu. Włączył telewizor, ale ledwo zdążył wyregulować obraz, w przedpokoju zadzwonił dzwonek. Jurek pobiegł otworzyć. W drzwiach stał - kominiarz. Uchylił cylindra.

- Moje uszanowanie. Kłania się kominiarz i życzy wszystkiego dobrego. Czy zastałem rodziców?

- Jesteśmy! Jesteśmy! - wołała pani Krajewska.

- Prosimy na kieliszek wina - dorzucił pan Krajewski.

- Dziękuję pięknie. Winkiem nie pogardzę, ale jeśli państwo pozwolą, to moją „wizytówkę” zawieszę na choince. Tak sobie to w tym roku wymyśliłem. Żeby było chociaż raz inaczej.

- Ależ bardzo prosimy. Tu jest choinka.

Kominiarz wyjął z teczki złoczone kółko i zawiesił je na gałązce srebrzystego świerka.

- Proszę... Życzy szczęścia kominiarz.

- Dziękujemy. Wzajemnie.

- Prześliczne drzewko. Obszedłem już prawie całą kolonię, a ładniejszego nigdzie nie widziałem. Ale zaraz... Mam tu jeszcze jeden drobiazg... - To mówiąc kominiarz wyjął z teczki świerkową gałązkę jakby rodzoną siostrę gałązek srebrnej choinki. Państwo Krajewscy obserwowali ze zdziwieniem kominiarza.

- Ta oto gałązka, proszę państwa, pochodzi niewątpliwie z tego oto świerczka.

Świadczy o tym kształt przecięcia tu i tam. - To mówiąc kominiarz wskazał miejsce na świerczkowym pieńku i na przekrój gałązki. - Jedno i drugie pasuje jak ulał. Państwo darują...  
- Kominiarz nagle zmienił głos. - Nie jestem kominiarzem. Jestem detektywem.

- Dętek... ty... - jęknął przerażony Jurek.

- Tak. Państwo pozwolą, że się przedstawię. Detektyw Feliks Tutam do usług...

- Ależ proszę pana! Co to ma znaczyć?! - zawołał pan Krajewski.

- Najmocniej przepraszam. Niestety, służba nie drużba. Chciałbym wiedzieć, a raczej muszę wiedzieć, jaką drogą ten świerk znalazł się u państwa.

- Bardzo prosta - odpowiedziała ukrywając niepokój pani Krajewska. - Poleciałam memu synowi, obecnemu tu Jurkowi, żeby zajął się sprawą choinki. Dałam mu 50 złotych... Poszedł i kupił tę oto choinkę...

- Niestety, syn pani nie kupił tej choinki, ale wyciął ją w zagajniku, w miejscowym Parku Kultury.

- Co takiego?! - krzyknął pan Krajewski, przesywając Jurka groźnym wzrokiem.

- Tak. Wyciął, a pieniądze... To już państwo dowiedzą się od niego, co zrobił z pieniędzmi. No, i mogę chyba być spokojny, że załatwię państwo tę sprawę do końca.

Zapanowała gnębiąca cisza. Pani Krajewska patrzyła na Jurka szeroko otwartymi oczami.

- Czy to prawda? - szepnęła wstrząśnięta.

- Mów! Czy to prawda?! - krzyknął pan Krajewski.

- Prawda - powiedział opuszczając głowę Jurek.

- Co zrobiłeś z pieniędzmi?

- Kupiłem pre... prezenty. Resztę...

- Synku! - zawołała pani Krajewska.

- Bardzo mi przykro - odezwał się po długiej chwili milczenia Tutam, że zakłóciłem państwu spokój świąteczny. Myślę jednak, że prawda jest lepsza od oszustwa i zakonspirowanej kradzieży. Żegnam. - To rzekłszy Tutam zniknął za drzwiami.

Pan Krajewski wielkimi krokami przemierzył pokój. Zatrzymał się przed Jurkiem.

- To, co zrobiłeś - rzekł z gniewem i smutkiem - przekreśliło nam święta. Uczciłeś je kradzieżą i oszustwem. Zwracam ci ten długopis, bo pali mi on ręce. Pieniądze na ten prezent zdobyłeś w sposób nieuczciwy.

- Ja ci zwracam kalendarz - powiedziała z głębokim smutkiem pani Krajewska. - On mi też parzy ręce. Jak mogłeś zrobić coś podobnego?

- Ja, ja nie wiem... Ja, ja przepraszam...

- Teraz przepraszasz i sądzisz, że tym odrobisz to, co się stało? Nie, mój drogi. „Odrobić” to tylko może kara. Przez miesiąc żadnych łyżew, żadnych sanek. Słyszysz? Żadnych meczów.

- Tak... Słyszę... I... Tato, ja się zobowiązuję, że, że na wiosnę, słowo daję, w tym...ym miejscu, gdzie wy...wyciąłem ten świerk, po...posadzę trzy świerki ku...kupione za własne oszczędności... Takie srebrzy... brzyste...

- To dobra myśl - spokojniej już powiedział pan Krajewski.

Detektyw Tutam w tym momencie był u pana Wincentego Kęпки. Poinformował go o wszystkim. Pan Wincenty z ciężkim sercem wysłuchał opowieści Tutama. Sam nie bardzo wiedział dlaczego, ale opuściła go dawna zawziętość.

- Pójdę - powiedział - do państwa Krajewskich i jakoś ich pocieszę, panie dobrodziejski. Ten Jurek to nie najgorszy chłopiec. Znam go od urodzenia. I przecież coś mu przyświecało, takie małe światełko... Te prezenty. Zaplątał się, panie dobrodziejski.

- Tak. Dobrze będzie, jeśli pan pójdzie. To pan wdrożył całą tę sprawę. Niech im pan powie jakieś ciepłe, noworoczne słowo.

Tutam pożegnał się i poszedł. Na klatce schodowej zatrzymał go jakiś chłopczyk. Był to Jacuś.

- Proszę pana... Proszę pana... - mówił ze łzami. - Ja, ja byłem razem z Jurkiem... Ja z nim razem ten świerk ścinałem. Przed samą gwiazdką...

Tutam uśmiechał się i pogładził go po głowie.

- To ładnie, że do mnie przyszedłeś. Myślę jednak, że należy ci się ta sama kara, którą otrzyma Jurek. Idź do niego. Do widzenia!

- Do widzenia! Idę.

## **Krokusy**

### ***(Dziewiętnasta przygoda detektywa Tutama)***

Hania znalazła się w Zakopanem zupełnie nieoczekiwanie. Zabrał ją tam samochodem wujek Kazio, który w tej przepięknej miejscowości załatwiał jakieś ważne sprawy, związane z budową nowego hotelu.

Hania po prostu uwielbiała swego zawsze wesołego wujka, który do wszystkich się uśmiechał i stale myślał, jak by komu zrobić przyjemność. Mama Hani porozumiała się z kierowniczką szkoły, bo chodziło o „wolny dzień” w sobotę, i po uzyskaniu jej zgody, córunia już w piątek po obiedzie wsiadła do wspaniałej „Wołgi” i pod opieką wujka ruszyła w świat.

Nie będziemy tu opisywać drogi, która była cudowna. Przechodzimy od razu do

historii, wiążącej się bezpośrednio z detektywem Tutamem, powtarzamy bowiem jego relację.

Hania pierwszy raz w życiu była w Zakopanem, toteż, gdy w sobotę rano stanęła przy zalanym słońcem oknie i ujrzała na niebie ośnieżone masywy gór, a tuż pod domem świerki w białych futrach iskrzących się w słonecznych promieniach, aż krzyknęła z zachwytu:

- O, jejku!

Marcowe słońko przygrzewało rozkosznie, śnieg tajał, potoczek bulgotał, narciarze z nartami na ramionach wędrowali w góry.

- No, moja kochana - powiedział wujek - możesz sobie tu pospacerować do obiadu, a ja gnam na konferencję. Jeśli się zmęczysz, to jest leżak na tarasie. Spotkamy się na obiedzie. Po obiedzie pojedziemy do Bukowiny. A uważaj na piegi, bo słońce już porządnie przygrzewa!

- Dobrze. Będę uważała, ale to nic nie pomoże...

Wujek odjechał. Hania ubrała się starannie, przewiesiła przez ramię swoją torebkę „konduktorę” i pobiegła nad potok. Miała wrażenie, że przyjechała tu po to, żeby obudzić wiosnę. Potok mamrotał jakieś górskie tajemnice, spod srebrzystych koronek topniejącego śniegu widać było zeszłoroczną trawę i „kalafiorkowe” główki lepiężnika, pierwszego górskiego zwiastuna wiosny.

Robiło się coraz cieplej. Koło południa Hania spróbowała poleżeć na leżaku, ale trwało to tylko chwilę. Coś ją ciągnęło i niosło w świat. Powędrowała więc wzdłuż potoku i wkrótce znalazła się w zaczarowanym świerkowym lasku. Tam na ścieżce spotkała dwóch chłopców. Jeden miał na głowie „degolówkę”, a drugi czarną, włóczkową narciarkę z czerwonym pomponem. Ten drugi miał również na szyi żółty szalik w czerwono-czarną kratę.

- Ty, Królowna Śnieżka! - odezwał się jeden mrugając do drugiego. - Mamy dla ciebie bukiet... - To mówiąc „ujawnił” ukrywaną za plecami wiązaną przepięknych liliowych kwiatów o złotych gardziółkach.

- Śliczne! - wykrzyknęła Hania.

- Możemy ci je sprzedać.

Hania patrzyła z zachwytem na kwiaty i przez głowę przebiegła jej myśl, że ładnie będzie, jeśli je kupi dla wujka.

- A ile za nie chcecie?

- Niedużo. Dziesięć złotych.

- To ma być niedużo?

- No, a jak? Przecież to są kwiaty unikatowe...

- Cud natury!



- No, dobrze... - Hania otworzyła „konduktorkę” i wyjęła z portmonetki monetę. - Płacę wam pieniędzem - powiedziała - który dostałam „na szczęście”. Nike, widzicie?

- Może być Nike. Nie szkodzi. Cześć, królewno!

Zadowolona z kwiatów i z siebie Hania wróciła do hotelu, żeby wstawić bukiet do wody. Zdziwiło ją jedno: ludzie, z którymi się mijała, patrzyli na nią spod oka. Na nią i na kwiaty. Nie rozumiała, dlaczego.

Po godzinie nadszedł wujek Kazik. Już z daleka wołał:

- Jak tam piegi? Widzę, że nie zmarnowałaś czasu...

- Nie. Skądże. Wujku, patrz! Przyniosłam ci ten bukiet... To za to, że jesteś taki fajny.

- Ten bukiet! Coś ty najlepszego zrobiła? Dziewczyno! Przecież to są krokusy!

- Krokusy? No to co?

- Jak to co? Nie wolno ich zrywać. One są pod ochroną.

- Pod ochroną? Ja... nie wiedziałam...

- Nie wiedziałaś? Każde dziecko o tym wie, a ty...

- Ja ich nie zrywałam. Ja je kupiłam.

- Od kogo?!

- Od takich dwóch. Mówili do mnie „Królewna Śnieżka”...

- Ładna historia! Dałaś się wciągnąć w bardzo niemiłą sprawę. Ale skoro nie wiedziałaś... Dziękuję ci za dobre intencje. Ja ci dokuczam piegami, a ty mi za to krokusy... No, chodź. Idziemy na obiad. Przy obiedzie opowiesz mi dokładnie, jak to było.

Wkrótce znaleźli się w gwarnej jadalni. Zasiedli przy swoim stoliku. Rozmawiali o niefortunnych krokusach.

- Żeby ja tych chuliganów dostał w swoje ręce, to już bym wiedział, co z nimi zrobić. Oni nie są pod ochroną - sapał oburzony wujek.

- Myślę, że trafią w pana ręce - wtrącił się nieoczekiwanie do rozmowy jakiś sympatyczny pan, siedzący przy sąsiednim stoliku. - Tak myślę - mówił stukając fajeczką o popielniczkę. - Przepraszam bardzo, że się wtrącam, ale, choć przypadkowo, to jednak z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwałem się rozmowie pana z Hanią. Pan pozwoli. Jestem detektyw Tutam.

- O!

- O!!

- Zachowanie tych dwóch krokusowych przestępców - ciągnął detektyw - jest oburzające. Raz, że niszczyli roślinę chronioną, dwa, że wyzyskali twoją, Haniu,

nieświadomość, która mnie, muszę to stwierdzić, nieco dziwi. No, ale trudno. Cała ta sprawa bardzo mnie zainteresowała i postanowiłem zająć się nią niezwłocznie. Musisz mi, Haniu, odpowiedzieć na kilka pytań.

- Dobrze. Naturalnie...

- Po pierwsze rysopisy. Jak wyglądał jeden i jak drugi?

- Jeden był... No taki zwyczajny. Miał ze dwanaście lat...

- Po czym byś go poznała?

- Po czym? Chyba po brązowej „degolówce”...

- Aha, aha... A drugiego?

- Drugi był w zwyczajnej wełnianej narciarce. W czarnej z czerwonym pomponem i...

- I co?

- I w ręce trzymał żółty szalik w czerwono-czarną kratę... Tak. Było gorąco...

- Powiadasz - żółty szalik w czerwono-czarną kratę? - Tutam puścił błękitny dymek z fajeczki.

- Tak. Taki jaskrawy. Pamiętam doskonale.

- A drugi, z pomponem, jaki był? Duży czy mały?

- Taki jak tamten w „degolówce”...

- Co byś mogła jeszcze o nich powiedzieć?

- Nic chyba... Może jeszcze to, że mówili do mnie „Królowa Śnieżka”. Ale byli niesympatyczni.

- A nie mówili ci, co mieli zamiar zrobić za te dziesięć złotych, które od ciebie wyłudzili?

- Nie.

- No, dziękuję w takim razie. Teraz państwa pożegnam. Myślę, że się wkrótce zobaczymy.

Gdyby się dało cofnąć czas o dwie godziny, można by było zobaczyć następującą scenę.

Na placyku przy jednej z głównych ulic Zakopanego, którego środek zajmowała fontanna zmieniona zimą w spiętrzony, olbrzymi i obecnie gwałtownie topniejący kolos lodowy, figlował biały miś zapraszający do fotografii. Miś obejmował łapą klienta, a fotograf, misiowy partner, robił zdjęcie. Było przy tym śmiechu co niemiara, bo niektórzy amatorzy zdjęć myśleli, że to prawdziwy miś, a tymczasem był to Jędrzek Gąsienica ubrany w skórę niedźwiedzia.

Otóż do tego fotografa i do tego misia podeszło w pewnej chwili dwóch chłopców.

Jeden był w brązowej „degolówce”, drugi w czarnej narciarce z czerwonym pomponem.

- E! Misiek! Daj łapę!

- Mnie drugą. O, raj! Nie tak mocno! Rękę mi uszkodzisz...

- Dobrze jest, dobrze jest... - wołał fotograf z aparatem przy oku. - Uwaga! Ptaszek!

Ptaszek! Już. Jutro o dziesiątej proszę po odbiór fotografii.

- Przecież jutro niedziela.

- Nie szkodzi. W sezonie pracujemy i w niedzielę.

- Gdzie odbiór?

- Tu. U mnie. Całe biuro noszę ze sobą.

- No, to klawo. Ile płacimy?

- Dwanaście złotych.

- Co? Mamy tylko dziesięć.

- Trudno. Niech będzie dziesięć. Hu! - fotograf chuchnął w monetę. - Nike na szczęście.

Chłopcy odeszli.

- Zmarnowaliśmy forszę - mówił ten w „degolówce”.

- Wcale nie - mówił ten z pomponem. - Będziemy mieli reprezentacyjne zdjęcie z poskromionym polarnym niedźwiedziem.

Wkrótce potem obok tej zamrożonej i rozmrażającej się fontanny przechodził udając się na obiad do „Orbisu” detektyw Tutam. Jak to on, patrzył niby tylko przed siebie, a wszystko widział, co działo się na lewo i co na prawo.

Miś pokazuje swoje sztuki - myślał sobie wesoło. - Słońce świeci i rozpuszcza tę lodową fontannę. Ten fotograf to pewnie nieźle zarabia. Ludzie lubią figle i pamiątkowe zdjęcia. Ale co znaczy ten szalik, powiewający tam jak sztandar na patyku? Nic chyba nie znaczy. Słońce dogrzewa i fotografowi pewnie zrobiło się gorąco. Tak, tak... Słonko, słoneczko...

Niebawem detektyw znalazł się w jadalni. Przy sąsiednim stole siedział sympatyczny pan i miła, przypieczona słońkiem, piegowata dziewczynka. Rozmawiali o krokusach. To była ta rozmowa, do której włączył się detektyw. Nic też dziwnego, że - gdy Hania wspomniała o żółtym szaliku w czerwono-czarną kratkę - Tutam bacznie nastawił ucha, a dymek z jego fajeczki oznaczał zadowolenie.

Po obiedzie detektyw dziarskim krokiem poszedł w kierunku fontanny. Szukał wzrokiem szalika na patyku. Powiewał tam, gdzie przedtem.

- Proszę pana - Tutam zwrócił się do niezmordowanego fotografa. - W jakim celu

zatknał pan tu ten „sztandar”?

- Ktoś zgubił szalik, więc tak go wystawiłem na widok publiczny. Być może, że właściciel się zgłosi. A może to pana szalik?

- Nie. Nie mój. Ale interesuję się nim trochę. Jak pan sądzi, czy właściciel tego szalika fotografował się u pana?

- Nie wiem. Może się i fotografował. Nie zauważyłem. U mnie robota idzie lawinowo. Ptaszek! Ptaszek!

- Przepraszam pana, że panu przeszkadzam. Jestem detektyw Tutam.

- Detektyw?

- Tak.

- Czego pan ode mnie chce?

- Żeby mi pan zechciał powiedzieć, czy fotografowali się u pana tacy dwaj chłopcy, jeden w „degolówce”...

- Panie szanowny. U mnie się dziś fotografowało stu chłopców i co drugi był w „degolówce”. Pan widzi, jak to idzie.

- Jeżeli pan nie może odpowiedzieć mi na moje pytanie, muszę od pana zażądać, by mi pan przedstawił do wglądu wszystkie fotografie, które ma pan przygotować na jutro do oddania klientom.

- Dlaczego?

- To jest sprawa służbowa. Poszukuję dwóch podejrzanych osobników.

- Ach, tak? Wobec tego proszę pana do mnie dziś wieczorem. Mieszkam na Witkiewicza. Jest wywieszka. „Foto-Giewont”.

Nazajutrz o godzinie dziesiątej dwaj rabusie krokusów zgłosili się po odbiór fotografii. Miś figlował z jakąś chichoczącą turystką. Fotograf wziął od przybyłych kwit, rzucił na nich zakłopotanym wzrokiem i powiedział:

- Bardzo przepraszam. Fotografia niestety się nie udała.

- No, to co będzie?

- Ano, musimy ją powtórzyć. Misiek! - zawołał do swego partnera, Jędrka Gąsienicy. - Powtarzamy zdjęcie. To, co nie wyszło.

Misiek podskoczył niedźwiedziowato i zagarnął w swoje łapy tego w „degolówce” i tego z pomponem. Jedną łapą chwycił jednego, drugą - drugiego. Jednocześnie energicznym ruchem zrzucił z głowy niedźwiedzią kufę. Nie był to Jędrak Gąsienica. Był to detektyw Tutam.

- Czego pan od nas chce?! - wrzasnął ten w „degolówce”.

- Puść pan, bo!... - wołał ten z pomponem.

- Stać i nie ruszać się, bo wezwę milicję. Jesteście oskarżeni o zrywanie roślin chronionych oraz o niedozwolony handel tymiż roślinami.

- My?

- Skąd?

- No, nie gadać, nie gadać. Za mną.

W hotelu doszło do konfrontacji. Hania poznała ich, a oni ją. Tutam zabrał delikwentom legitymacje szkolne. Finał całej sprawy rozegrał się przed obliczem kierownika szkoły. Szczegółów tego finału opowiadać nie będziemy. Łatwo się domyślić, że nie był on wesoły.

- No, co Haniu? - mówił wujek w drodze powrotnej. - Podróże kształcą, prawda? Przybyło ci trochę wiedzy o świecie i piegów na nosie.

- Oj, tak! - westchnęła Hania tuląc w dłoniach zawinięte w mokrą ligninę niefortunne krokusy. Pozamykały swoje złote gardziołka, ale i tak były prześliczne, ametystowe.

### **Remanent**

#### ***(Dwudziesta przygoda detektywa Tutama)***

Wszystko zaczęło się w kwiaciarni. Znajdowała się ona na ruchliwej ulicy w pobliżu przystanku autobusowego. W jej sąsiedztwie pełno było sklepów, a w tych sklepach pełno klientów. Ruch był duży, bo po pierwsze był to już Wielki Tydzień, a po drugie - kwietniowe słońce przygrzewało rozkosznie. Wystawowe okno kwiaciarni nęciło przechodniów bogactwem świątecznych kwiatów. Stały tam pięknie przystrojone wstążkami złożone kosze i koszyczki z różnymi, białymi lub niebieskimi hiacyntami. Obok nich żółte, delikatne żonkile i czerwone tulipany o długich szarozielonych liściach. No, i ułożone na płaskim talerzu w najbardziej wiosenny wianek - wiązaneczki fiołków. Wśród tych kwiatów i kwiatków królowało potężne, półotwarte, wielkanocne jajo, przystrojone gałązkami o srebrzystych kotkach. Z jaja tego wyglądały na świat żółte, puchate kurczątko. Alleluja!

W ten słoneczny, przedświąteczny dzień kwiaty miały ogromne powodzenie.

- Proszę ten hiacynt, ten różowy.

- Służę panu.

- Ja... Nie wiem sama... Może trzy żonkile...

- Proszę bardzo.

- Chociaż nie. Raczej trzy tulipany.

- Proszę bardzo.

- Przepraszam. Ani żonkile, ani tulipany, tylko...

- Ja proszę bukietek fiołków! - wypowiedział swoje życzenie chłopiec, stojący za niezdecydowaną panią.

- Chwileczkę, kawalerze - obraziła się niezdecydowana pani - już się zdecydowałam...  
Proszę jeden tulipan i jeden żonkil...

- Służę pani. A ty za fiołki płacisz siedem złotych.

- Dziękuję.

Chłopiec powąchał fiołkowy bukietek, podszedł do drzwi, gdzie czekał na niego koleżka oglądający wielkanocne jajo.

- Załatwione - powiedział półgębkiem drugi do pierwszego.

- Idziemy.

- Proszę ten duży kosz. Ten z pięcioma hiacyntami - mówił następny klient wdychając hiacyntowe aromaty.

Niezdecydowana pani jeszcze raz chciała zmienić decyzję, ale dwukwiatowa wiązanka już była zapakowana i zapięta szpilką.

- A ja proszę - mówiła mała klientka w żółtej wiatróweczce - o ten pęczek stokrotek i ten fiołków.

Ruch w kwaciarni był duży, ale w tym momencie coś się raptownie zmieniło. Ludzie idący ulicą zbliżali się wprawdzie do drzwi kwaciarni z wyraźną chęcią czynienia kwiatowych zakupów, lecz w ostatniej chwili rezygnowali i szli dalej. Kwaciarnia opustoszała. Jakiś pan uchylił drzwi, lecz cofnął się nagle burknąwszy niechętnie „przepraszam”.

Kierowniczka sklepu i ekspedientka, panna Joasia, spojrzały na siebie zdziwione.

- Co to takiego? Taki był ruch i raptem, jakby kto uciał.

- No, właśnie, właśnie... To z pewnością chwilowe. Odsapniemy momencik.

Ale momencik przedłużał się. Minęło pięć, potem dziesięć, potem piętnaście minut, a kwaciarnia wciąż była pusta. Ludzie wyraźnie ją omijali.

- Nie rozumiem, co to się dzieje? Godzina szczytu się zbliża, a u nas puchy - denerwowała się kierowniczka.

- Tak. Właśnie...

Czas płynął. W pewnym momencie drzwi się otworzyły gwałtownie. Stała w nich jakaś grubawa i zdenerwowana jejmość. Warknęła od progu.

- Długo będziecie robić ten remanent?! Aleście się wybrali! W same święta!

- Jaki remanent? O co pani chodzi?

- Jak to o co?! Wywieszka wisi jak wół!

- Gdzie wisi? Co wisi?

- Tu! O! - To mówiąc zdenerwowana klientka trzepnęła ręką w kartonową wywieszkę, huśtającą się na czerwonych wstążeczkach pośrodku oszklonych drzwi.

Panna Joasia wykrzyknęła:

- Niech pani patrzy! Niech pani tylko patrzy!!

Kierowniczka podbiegła do drzwi. Na wywieszce „stało” czarne na białym, wypisane dużymi czytelnymi literami słowo: REMANENT, a niżej mniejszymi: przepraszamy.

- Co to takiego? Skąd to się wzięło?! - wykrzyknęła kierowniczka.

- Ktoś przypiął to do wywieszki, informującej, od której do której nasz sklep jest otwarty... Niech pani spojrzy. Dwa spinacze!

- To dywersja! - wołała oburzona kierowniczka. - Dwie godziny przestoju w godzinie szczytu! Natychmiast telefonuję do detektywa Tutama!

Podbiegła do telefonu i gwałtownie nakręciła numer. Wydawało się, że aparat rozleci się w kawałki.

- Halo! Pan detektyw Tutam? No! Całe szczęście, że pana zastałam! Mówi kierowniczka sklepu z ulicy Pierwszego Kwietnia numer 73. Ktoś, proszę pana, złośliwie wywiesił nam wywieszkę z napisem REMANENT! Jeśli to możliwe, proszę pana o natychmiastową interwencję.

Wypowiedziawszy to kierowniczka zamieniła się w słup. Słuchała, co mówił detektyw. Trwało to chwilę.

- Co powiedział? - pytała niecierpliwie panna Joasia, gdy kierowniczka odłożyła słuchawkę.

- Że zaraz przyjeżdża i żebyśmy nie zdejmowały do jego przyjazdu tej nieszczęsnej wywieszki.

Wkrótce zjawił się detektyw, ale nie drzwiami od ulicy, tylko gospodarczymi od zaplecza.

- Moje uszanowanie. Melduję się do usług - mówił uśmiechając się po swojemu. - Nie zdjęła pani wywieszki. To dobrze. - Tutam nabijał tytoniem swoją fajeczkę. - Rzeczywiście warto wyjaśnić, kto „zarządził” ten REMANENT. Więc jak to było? Ruch, klient za klientem i nagle stop. Tak?

- No, właśnie! Stop na dwie godziny!

- Taka strata dla sklepu!

- Muszą sobie panie przypomnieć, kto był w sklepie przed tą przerwą.

- Była taka niezdecydowana pani, co nie wiedziała, czy chce kupić tulipany czy

żonkile.

- Kto jeszcze?
- Ostatnia była dziewczynka w żółtej wiatrówce. Kupowała stokrotki i fiołki.
- Dziewczynka? A ile miała lat?
- Bo ja wiem? Osiem albo dziewięć.
- A kto jeszcze?
- Taki elegancki pan... Kupił kosz hiacyntów...
- No, i jeszcze chłopiec!
- Chłopiec? A co kupił?
- Pęczek fiołków.
- Miły był czy niemiły?
- Jak to chłopiec. Uśmiechnięty blondas.
- Nie blondas, tylko brunet - poprawiła pannę Joasię kierowniczką.
- Więc blondyn czy brunet?
- Blondyn.
- Brunet!
- Aha. Zdania pań są podzielone. Kogo jeszcze panie pamiętają?
- Ja już nikogo. Już tylko tłum klientów - westchnęła ciężko kierowniczką.
- I ja też nikogo więcej - dorzuciła panna Joasia.
- Dziękuję w takim razie. Działo się to wszystko o godzinie pierwszej? - pytał Tutam spoglądając na zegarek.

- Chyba tak... Co pan o tym wszystkim myśli, panie inspektorze?

- Ano, to i owo. Panie darują. Nie lubię wyprzedzać faktów. Gdy tylko będę miał coś konkretnego do powiedzenia, nie zapomnę o paniach. Wywieszki w dalszym ciągu proszę nie zdejmować. - To rzekłszy Tutam wyszedł przez zaplecze sklepu.

Gdy znalazł się na ulicy, stanął przed słupem z plakatami i udając, że czyta, bacznie rozglądał się wokoło. Jego myśl pracowała intensywnie:

- Jeśli sprawca zrobił to dla kawału, to według wszelkiego podobieństwa będzie chciał zobaczyć, czy kawał mu się udał... A więc, być może, sprawca ów znajduje się tu gdzieś w pobliżu...

Tutam obserwował sklepy sąsiadujące z kwaciarnią. Nic szczególnego nie spostrzegł ani w Delikatesach (oprócz czekoladowych zajęcy w srebrze cynfolii), ani w sklepie Cepelii (oprócz stosu pisanek kurpiowskich i ułożonych w glinianym siwaku kolorowych palemek). Z kolei przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy, I tam też nic. Nagle, gdzieś w wiosennych



błękitach, z rumorem przeleciał szybszy od dźwięku odrzutowiec. Tutam odruchowo podniósł wzrok do góry i wtedy... W otwartym i zalanym słońcem oknie na drugim piętrze ujrzał dwie głowy; jedną jasną, drugą ciemną. Detektyw zamarł w skupieniu. Nie ulegało wątpliwości. Chłopcy obserwowali kwiaciarnię. Tutam uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Blondyn i brunet... - mruknął z uśmiechem.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Po kwadransie ta sama taksówka przystanąła w pobliżu słupa z ogłoszeniami. Wsiadł z niej Tutam. Spojrzał w okno naprzeciwko, w którym trwali jak na posterunku dwaj obserwatorzy. Z taksówki wyskoczył również pies kundelek. Podobny był do puchatej szczotki, którą omiata się pajęczynę. Tutam prowadził go na smyczy. Niebawem detektyw i pies znaleźli się w kwiaciarni. Weszli przez zaplecze.

- No, jesteśmy - powiedział Tutam - panie pozwolą... Mój asystent Miecio. To od słowa zamiatać. Mam do pań prośbę. Mój pomocnik musi powąchać bukiecik fiołków.

- Proszę bardzo - kierowniczką podała Tutamowi pęczuszek fiołków. Tutam przywołał pieska.

- No, Mieciu, powąchaj! Mocno!

Piesek przytknął lśniący nos do podanego bukiecika. Kichnął raz i drugi.

- No, teraz już wiesz, jak to pachnie. Możemy iść. Niech wywieszka jeszcze pozostanie tam, gdzie jest. Dziękuję paniom.

Tutam i pies wyszli z kwiaciarni. Wkrótce detektyw rozmawiał z dozorcą domu, którego okno tak go zainteresowało.

- Kto tam mieszka?

- Inżynier Kucharski.

- Ma synka w wieku dziesięć, dwanaście lat?

- Ma Wojtka.

- Który to numer mieszkania?

- Pięć.

- Które piętro?

- Drugie.

- Dziękuję.

Detektyw wszedł na klatkę schodową, prowadząc na smyczy swego asystenta. Jego czarny i lśniący nos pracował intensywnie. Na pierwszym piętrze Miecio jednym susem znalazł się pod drzwiami numeru 3 i merdając nerwowo ogonem popiskiwał z emocji.

- Tu? - zdziwił się Tutam. - Chyba się pomyliłeś... Idziemy na drugie piętro - detektyw

musiał ciągnąć Mięcia na smyczy. Miecio nie chciał odejść od drzwi numer 3. Przewyciężywszy opory swego asystenta detektyw zadzwonił pod numer 5. Otworzył mu blondas o bystrych oczach.

- Dzień dobry. Czy to ty jesteś Wojtek Kucharski?

- Tak, to ja...

- A ja jestem detektyw Tutam.

- De... te... Słucham pana...

- Chciałem z tobą porozmawiać w pewnej sprawie.

- Proszę, niech pan wejdzie...

- Dziękuję. Rodziców nie ma?

- Nie ma...

- Za to jest twój przyjaciel.

- Jest... A skąd pan wie?

- Bo jestem, mój kochany, detektywem.

W pokoju zalanym słońcem stał chłopiec o czarnej czuprynie.

- To jest właśnie mój przyjaciel Romek...

- Dobrze. Cieszę się, że mam okazję was poznać.

Chłopcy milczeli patrząc na Tutama wyczekująco.

- O której wróciliście ze szkoły?

- O dwunastej.

- A co robiliście potem?

- A przyszliśmy tu, żeby... No, żeby odrobić lekcje, bo po obiedzie pójdziemy na tego... na mecz...

- Aha. Więc przyszliście o dwunastej i nie wychodziliście nigdzie?

- Nie. Nie wychodziliśmy.

W tym momencie Miecio szarpnął się gwałtownie i wybiegł do przedpokoju. Chłopcy pobiegli za nim. Tutam skorzystał z momentu i szybkim ruchem ręki pochwycił leżący na biurku skrawek kartonu, który poprzednio tam wypatrzył. Skrawek ten błyskawicznie schował do teczki i szybkim krokiem przeszedł do przedpokoju. Miecio z nosem przy szparze piszczął u drzwi wiodących na schody.

- Moi drodzy - powiedział Tutam - niestety, muszę was na jakiś czas zatrzymać w areszcie domowym, aż do wyjaśnienia pewnej niewyraźnej sprawy.

- Nas? Dlaczego?

- Jakiej sprawy?

- Dowiedcie się we właściwym czasie. Nigdzie nie wychodźcie. Czekajcie tu na mnie.  
Aha. Proszę was o wasze szkolne legitymacje.

Chłopcy niechętnie wykonali rozkaz Tutama. Spochmurnieli.

Detektyw wyszedł na klatkę schodową, powstrzymując napinającego smycz Mięcia. Zeszli na pierwsze piętro. Miecio ruszał czarnymi nozdrzami i piszczał u drzwi oznaczonych numerem 3. Tutam zadzwonił. Otworzyła mu dziewczynka o zadartym nosku i rozwianej grzywce. Zanim Tutam zdążył się przywitać, Miecio wyrwał mu się i pobiegł w głąb mieszkania.

- Przepraszam cię bardzo. Jestem detektyw Tutam.

- Pan Tutam! - szepnęła zaskoczona dziewczynka - proszę do pokoju...

Gdy weszli, Tutam ujrzał na stole, przykrytym papierami, świąteczne laboratorium. Były to kubki różnego fasonu, każdy wypełniony farbą innego koloru, każdy z wetkniętym patykiem-mieszadłkiem, zabarwionym zawartością kubka. Obok w glinianej misce stała piramidka jajek naturalnego koloru. Czekwały one na kąpiel w przeznaczony dla siebie farbie. Te, które już taki zabieg przeszły, obsychały obok pyszniąc się swoim wyglądem. Jedne były czerwone, drugie granatowe, trzecie żółte... Błyszczały jak polakierowane, bo każde z nich - rzecz to oczywista - wytarte było dookolusienieczka zuchelkiem słoniny. Tutam objął to wszystko jednym rzutem oka i powiedział uprzejmie:

- Widzę, że przerwałem ci świąteczne zajęcia. Przepraszam. Nie zajmę ci dużo czasu.

- Nic nie szkodzi - powiedziała mała gospodyni stając w drzwiach do drugiego pokoju - zdążę do Wielkiej Soboty. Muszę przygotować święcone. Upiekę jeszcze trzy mazurki! - Nagle zawołała: - niech pan spojrzy! Jaki to miły piesuś! Kwiatki wacha.

Tutam rzucił okiem przez uchylone drzwi. Miecio oparty łapkami o brzeg komódki, wyciągał się na całą długość, by dosięgnąć nosem stojący tam w dużym kieliszku pęczek fiołków.

- To jest mój nieoceniony asystent Miecio. Mieciu! Chodź tu! Moja kochana - mówił Tutam głaszcząc asystenta - powiedz mi, czy ty masz żółtą wiatrówkę?

- Nie. Skąd. Ja mam zielony płaszczyk ze złotymi guzikami. Śliczny.

- Nie masz żółtej wiatrówki... A powiedz mi, skąd masz te fiołki?

- Dostałam - powiedziała spuszcżając oczki Zosia.

- A od kogo?

- Od Wojtka Kucharskiego...

- Lubicie się?

- Tak... Trochę...

- Kiedy ci je przyniósł? Która wtedy była godzina?

- Chyba pierwsza. Może trochę po pierwszej.

- Czy pamiętasz to dokładnie?

- Tak. Wróciłam ze szkoły. Było pięć lekcji. - No, dziękuję ci i przepraszam za najście, Do widzenia!

Tutam poszedł do kwiaciarni, ale wkrótce znów znalazł się na klatce schodowej. Na półpiętrze przystanął. Poglaskał Miccia.

- No, dobrze, dobrze. Znakomity z ciebie pomocnik. Już wszystko wiemy. Prawda?

Miccio triumfalnie wymachiwał ogonem. Po chwili Tutam i jego asystent znaleźli się pod numerem piątym.

- Moi drodzy - powiedział poważnie detektyw patrząc w oczy to Wojtkowi, to Romkowi - w poprzedniej naszej rozmowie usiłowaliście zataić przede mną prawdę. Mówiliście, że po przyjściu ze szkoły nigdzie nie wychodziliście, a tak nie było.

Chłopcy milczeli.

- Wychodziliście. Do kwiaciarni. Tak czy nie?

- A tak... Wychodziliśmy na chwilę po te... fiołki... - mamrotał Wojtek.

- Czy tylko po fiołki?

- Tylko...

- On je kupił... Dla tej... dla Zośki...

- Tak to prawda. Ale niecała prawda. Co jeszcze robiliście w tej kwiaciarni?

- Nic. A co mieliśmy robić?

- Znowu kłamiecie nie licząc się z niczym. Nawet z nastrojem Wielkiego Tygodnia. Prawda jest taka: wywiesiliście w kwiaciarni tę oto wywieszkę ze słowem „Remanent”. - To mówiąc Tutam wyjął z teczki karton.

- My?! - oburzył się Wojtek. - Skąd?! Ja to pierwszy raz w życiu widzę na oczy!

- My? - wzruszył ramionami Romek.

- Wy - odpowiedział lodowato Tutam. - Oto jest kawałek kartonu, odcięty od tego, na którym wypisaliście słowo „Remanent”. - Tutam wyjął z teczki biały skrawek. - Proszę. Pasuje jak ulał. Ten skrawek leżał tu na twoim biurku. Więc wy czy nie wy?

- My... - powiedział ledwie dosłyszalnie Romek. - My. A raczej ja... To ja powiesiłem ten karton w kwiaciarni. I tak jakoś zapomniałem, że to już Wielki Tydzień. Strasznie mi głupio...

## **Makulatura**

*(Dwudziesta pierwsza przygoda detektywa Tutama)*

- Już jutro rozpoczynają się dni Oświaty, Książki i Prasy.

- Co z tego, kiedy forsę nie mamy.

- Forsa leży w piwnicy.

- Jak to?

- A tak. Niedaleko mojej jest taka bezpańska piwnica i pełno w niej rupieci. Byłem tam dziś. Sterty, uważasz, jakichś starych nut. Makulatura. Można to opylać. Złoty za kilo.

- Cudze nuty opylać? Coś ty?!

- To w ramach wiosennych porządków.

Wkrótce po tej rozmowie Jędrzek i Marta znaleźli się w piwnicy.

- Tu, uważasz, jest moja piwnica, a za tym zakrętem ta bezpańska. O tu... Proszę. Sezam otwarty.

Weszli do środka. Było ciemno. Jędrzek przesunął ręką po murze. Znalazł kontakt. Przekręcił. Zabłysło światło. Pełno tu było jakichś skrzynek, doniczek, drutów... W kącie piętrzyła się sterta starych nut.

- Widzisz? Są...

- Jest też i sznurek...

- Nie. To drut. Kabel... Powiążemy nim nuty w dwie paki. Coś ta żarówka kiepsko świeci.

- Cała jest w kurzu i pajęczynie. Obetrę ją... - Lecz ledwo Marta dotknęła żarówki, coś w niej mignęło, trzasnęło - i w piwnicy zapanowała ciemność.

- Korki poszły - zawyrokował Jędrzek. - Nie przejmuj się. Mam zapaliki. Wykręcimy tę piekielną żarówkę, żeby spięcie się nie powtórzyło. Poświeć. Korki zaraz naprawię. Przy wejściu jest szafka. Widziałem. Czekaj. Utnę kawałek tego kabla... Poświeć, mówię. Wezmę z niego, uważasz, drucik do korka...

Operacja ta trwała krótko. Niebawem światło rozblysło ponownie. Jędrzek okazał się zręcznym elektrotechnikiem. Działali teraz szybko. Po chwili gotowe były dwie paki, obwiązane znalezionym kablem. Na wierzchu każdej z nich dla niepoznaki Jędrzek umieścił warstwę gazet. Jędrzek taszczył swoją. Marta swoją. Ciężko jej było. Drut wpijał się w dłoń. Zatrzymała się więc i obwiązała uchwyt chusteczką do nosa. Tak było lepiej.

Transport odbył się na rowerze, obciążonym po obydwu stronach pakami. Doprowadzili rower do punktu skupu makulatury, znajdującego się opodal, na małej ruderowatej uliczce. Transakcja poszła szybko. Paki znalazły się na wadze. Było tego dobre dwadzieścia jeden kilo.

- Proszę. Macie, co wam się należy - powiedział kierownik punktu wręczając im

dwadzieścia jeden złotych. - A co zrobicie z tymi pieniędzmi?

- Kupimy sobie książki na kiermaszu. Jutro.

- O, to pięknie! Makulaturę zmienicie na literaturę. A jakie to książki chcecie sobie kupić?

- Ja „Czterech pancernych”.

- A ja „Ucho od śledzia”.

Na pozór wszystko poszło gładko, ale... Tego samego dnia pan Ambroży Okruszko, stary nauczyciel muzyki, zawędrował myślą do starych nut, które przechowywał w piwnicy. Zatęsknił do jakiegoś starego walca, więc poczłapał na dół. Ogromnie się zafrasował, gdy nut nie znalazł.

- A niegodziwcy! Wszystkie nuty mi wynieśli. No, tak... Nic dziwnego. Zapomniałem o kłódce, gdy byłem tu poprzednim razem. Nie zamknąłem...

Poczłapał ze łzami w oczach na górę. Gdy znalazł się w swojej kawalerce, drżącym z przejścia palcem nakręcił numer telefonu swego przyjaciela - detektywa Tutama. Tutam z całą serdecznością odniósł się do sprawy. Natychmiast wsiadł do swojej „Zastawki” i zjawił się u pana Okruszko.

- Nie martw się, mój drogi. Postaram się odnaleźć twoje skarby...

- Tylko w tobie nadzieja...

- Musisz mnie zaprowadzić do tej piwnicy.

- Już prowadzę...

Poszli.

- Tu jest moja piwnica.

- Nie ma w niej światła?

- Jest. Ale ktoś wykręcił żarówkę...

- Oprawka zdezelowana i osmolona... - mówił Tutam świecąc po kątach latarką o kształcie buławy. Oględziny trwały dość długo.

- No, dobrze. Dziękuję. Wracajmy...

Szli z powrotem. Tutam ciągle rozglądał się na wszystkie strony, świecąc latarką. Zatrzymał się przy skrzynce z korkami. Pochylił się... Podniósł kawałek drutu.

Po wyjściu z piwnicy pożegnał się ze swym przyjacielem:

- Do widzenia - mówił. - Zależy mi nie tylko na odnalezieniu twoich skarbów, ale także sprawców tej historii. Ta druga część sprawy będzie dużo trudniejsza niż pierwsza. Do miłego...

To rzekłszy Tutam oddalił się wolnym krokiem, pykając w zamyśleniu swą fajeczkę.

Przystanął. Pykał. Potem wszedł do pierwszej z brzegu bramy, odszukał dozorcę i zapytał:

- Gdzie tu jest najbliższy punkt skupu makulatury?

- A tu. Na ulicy Zajęcej nr 7.

- Dziękuję.

Niebawem Tutam rozmawiał z kierownikiem punktu skupu.

- Jestem detektyw Tutam - przedstawił się kierownikowi. - Poszukuję pewnego transportu makulatury, dostarczonego panu dziś prawdopodobnie przed godziną lub dwiema.

- O! Dużo dziś transportów wpłynęło.

- To były stare nuty.

- Nuty? Nie widziałem. Ale możemy sprawdzić. Tu leży dzisiejszy wpływ.

Tutam rzucił okiem na wskazany stos makulatury.

- Same gazety i tygodniki...

- Rzeczywiście.

Detektyw przerzucał paki i paczki. W pewnym momencie jakby zastygł w bezruchu.

- Interesuje mnie - rzekł po chwili - ta paczka. O ta. I ta także. Te dwie paczki, związane przewodem elektrycznym...

- Proszę bardzo - powiedział kierownik - ale to są gazety.

- Sprawdzimy - rzekł krótko Tutam.

To rzekłszy porównał kawałek kabla, który znalazł przy skrzynce, z kablem opasującym paczki. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Jednocześnie odchylił gazetę, okrywającą zawartość paczki. Pod gazetą ukazały się nuty. Na pierwszej okładce widniał napis: „Nad pięknym, modrym Dunajem. Walc”.

- W porządku - rzekł Tutam. - Te obydwie paczki muszę zatrzymać. - To mówiąc detektyw sięgnął po drugą i ze szczególną uwagą obserwował kabel. Odwinął coś, co stanowiło „udoskonalony uchwyt”. - Paczki te zostały panu sprzedane wbrew woli właściciela. Koszty pokrywam.

- Proszę bardzo...

- Ale to jeszcze nie wszystko. Czy nie przypomina pan sobie, kto przyniósł te dwa pakunki?

- Doprawdy nie - mówił zafrasowany kierownik. - Tylu się tu interesantów przewija...

- A proszę pana, czy wśród tych interesantów była kobieta, może dziewczynka?

- Kobieta?

- Była dziewczynka, panie kierowniku - odezwał się pomocnik punktu skupu, krzątający się wśród makulatury. - Ja ją zapamiętałem. Ona była z takim chłopcem. We dwoje

byli. Przypchali te paczki na rowerze.

- A, tak. Tak! - zawołał kierownik. - Teraz sobie przypominam.

- Co pan sobie przypomina?

- Rozmawiałem z nimi. Mówili, że tę makulaturę sprzedają, żeby mieć pieniądze na książki, na jutrzejszy kiermasz.

- To bardzo interesujące. Czy nic więcej pan sobie z tej rozmowy nie przypomina?

- Owszem. Chłopiec mówił, że kupi sobie „Czterech pancernych”, a dziewczynka „Ucho od śledzia”.

- Ach, tak. Bardzo panu dziękuję i mam do pana prośbę, by zechciał pan te nuty odesłać właścicielowi, panu Ambrożemu Okruszko. Tu jest jego adres. To bardzo blisko.

Nazajutrz była niedziela - pierwszy dzień kiermaszu książki. Pogoda była piękna, majowa. Po niebieskim niebie przepływały pogodne obłoki, a z głośników wypływały piosenki. Od rana trwało oblężenie kiosków. W jednym z nich ku radości nabywców podpisywała książki autorka „Ucha od śledzia”. Rzecz dziwna. Towarzyszył jej detektyw Tutam. Jeszcze wczoraj wieczorem złożył jej wizytę przemawiając w te słowa:

- Zwracam się do szanownej pani z prośbą, by zechciała mi pani dopomóc w pewnej sprawie. Chodzi mi o chwilowe zatrzymanie pewnej dziewczynki, która jutro przyjdzie na kiermasz kupić pani książkę. Wiem o tej dziewczynce niewiele. To tylko, że jej imię i nazwisko zaczyna się od litery M. Oto jej chusteczka. Oto monogram M. M. Prośba moja polega na tym, żeby pani podpisując książki dziewczynkom, pytała o imię i nazwisko. Ja będę pani towarzyszył.

- Skoro pan sobie tego życzy, muszę się przychylić do pana żądania, chociaż...

- Dziękuję pani bardzo. Tu chodzi o pewne nadużycie.

- Ach, tak?

Tutam siadł w kiosku obok znanej autorki i - niby to zajęty książkami - obserwował przesuających się małych miłośników książek.

- Jak masz na imię i jak się nazywasz? - pytała autorka dziewczynki, która z uśmiechem podawała jej książkę do podpisu.

- Zosia Krawczyk.

- Zo...si Kraw...czyk... - pisała znana autorka. - Proszę, Zosiu.

- A ty?

- Marysia Małinowska.

Tutam spojrział na nią uważnie.

- Marysiu - zapytał - czy to ty zgubiłaś tę chusteczkę?



- Chusteczkę? Nie. Mam przecież.

- Dobrze, dobrze - powiedział Tutam - znalazłem chusteczkę z monogramem M. M. Mogła być twoja.

- Nie. To nie moja.

Po kwadransie historia się powtórzyła. Przed kioskiem stała dziewczynka i jak jej poprzedniczki i poprzednicy podała autorce książkę do podpisu.

- Jak się nazywasz?

- Marta Markowska.

- Zdaje mi się, Marto, że to twoja chusteczka - powiedział Tutam, pokazując jej chusteczkę z monogramem.

- Tak! Moja! Dziękuję panu! Ten monogram wyszyła mi mama na wszystkim, jak wyjeżdżałam na kolonie... Pan znalazł tę chusteczkę?

- Tak. Ale nie tylko chusteczkę. Chciałem z tobą porozmawiać. Momencik - Tutam wyszedł przed kiosk, wziął zdziwioną Martę pod rękę i powiedział:

- Jestem detektyw Tutam.

Jaki był wynik tej rozmowy, nietrudno się domyślić. Marta przyznała się do wszystkiego. Detektyw posuwając się po swojej nitce do kłębka odnalazł, rzecz jasna, Jędrka. Marta i Jędrak musieli zameldować się z wyjaśnieniem i przeprosinami i u pana Okruszko, i u rodziców, i u wychowawcy w szkole. Otrzymali to, na co zasłużyli. Ale najniwyraźniej się czuli, gdy porównywali własne postępowanie z postępowaniem bohaterów książek, które nabyli na kiermaszu.

### **„Zielona Noc”**

#### ***(Dwudziesta druga przygoda detektywa Tutama)***

Wakacje dobiegały końca. Na kalendarz nie ma rady. Obwieścił on wszem i wobec przedostatni dzień pobytu na koloniach, a tym samym i ostatnią noc oraz następujący po niej pożegnalny dzień. Jednak myśl o tej nocy w języku obozowym zwanej zieloną nocą rozweselała uczestników kolonii w ciężkich chwilach pożegnania wakacji.

Jak wiadomo, w tę noc nie obowiązuje normalny regulamin obozowy. Wprost przeciwnie. Jest to noc wesołych swawoli i kawalerskich pomysłów. No, i rzeczywiście. Gdy trębacz obozowy po tej wesołej nocy wytrąbił pobudkę, ujawniły się różne dziwne rzeczy. A więc po pierwsze Jędrak obudził się z siwymi wąsami, fantazyjnie wymalowanymi na policzkach pastą do zębów. Wyglądał jak skrzyżowanie białego królika z cyrkowym kłownem. Porwał się na równe nogi i rozmazał ręką pastę od ucha do ucha.

Śmiechu było co niemiara. Ale najwięcej wesołości wzbudziła sprawa spodni Emila.

Po pobudce wyskoczył z łóżka i chciał je wciągnąć na chude pedały, a spodnie znikły jak kamfora. Na taborecie nie było, pod poduszką nie było, pod łóżkiem nie było... Ale za to na placu przed barakiem śmiech aż dudnił. Chłopcy stali pod masztem, na którym przez czas wakacji powiewała flaga obozowa, i pokazywali palcami rycząc ze śmiechu powiewające na czubku spodnie Emila. Wiatr majtał nogawkami imitując napowietrzny marsz.

Tak to zbliżał się czas ostatniego, pożegnalnego apelu, ale zanim służbowy zarządził zbiórkę, każdy z obozowiczów wrzucał swój plecak na stojącą pod sosnami „Nysę”, bo powrót był tak znakomicie zorganizowany, żeby na stację wędrowało po piachu i w skwarze nie stado jucznych zwierząt, tylko śpiewająca gromada.

Kierownik kolonii, fraszobliwy Słonecznik (tak go nazywali chłopcy, bo stale zwracał swoją sympatyczną twarz do słońca), zawołał gromkim głosem:

- Dwóch takich, co grają na fortepianie, wystąp! Wystąpiło hurmem dziesięciu ochotników.

- Dwóch, powiedziałem.

- Ja byłem pierwszy! - krzyknął Tolek.

- A ja drugi!! - wrzasnął Olek.

- Dobrze, dobrze. Ale ani jeden, ani drugi z was nie gra na fortepianie.

- Słowo honoru, że wygram „Wlazł kotka”.

- A ja „Pije Kuba”.

- No, to włączcie na „Nysę”. Będziecie konwojować plecaki.

- E, panie kierowniku... My byśmy woleli iść ze wszystkimi...

- Nie jęczeć, tylko wsiadać. Pojedziecie z rzeczami.

Tolek i Olek wgramolili się do „Nysy”, usadowili się po jaśniepańsku na plecakach i odjechali wznosząc tumany kurzu.

Kierownik zarządził zbiórkę i zakomenderował:

- Odlicz.

- Raz, dwa, trzy, cztery... - potoczyła się sztafeta głosów. Stojący na końcu Julek wrzasnął:

- Szesnaście „ślepa”!

- Jak to ślepa? - zapytał zdziwiony kierownik. - Przecież jest was trzydziestu czterech.

Dwóch pojechało w konwoju, to musi być was do pary. Szesnaście „pełna”.

- Jest „ślepa” - powtórzył Julek.

- Pewności, trąby jerychońskie, źle pokryli w parach. Pokryj. Odlicz.

Sprawa się powtórzyła.

- Szesnaście „ślepa”! - wrzasnął powtórnie Julek.

- No, to której trąby brakuje?

- Albina - zauważył ktoś z drugiego szeregu.

- Albin! Wystąp! - zawołał Słonecznik.

Nikt nie wystąpił, tylko dzieciół stukał w ciszy na pobliskiej sośnie.

- Nie ma go...

- Jak to nie ma? Przecież chyba był w baraku?

- Był...

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem...

- A dziś? Kto go widział dziś?

Zapanowała cisza.

- Nikt go nie widział?

Cisza jeszcze się pogłębiła.

- A co jest z jego łóżkiem i plecakiem? Służbowy! Biegiem marsz, sprawdzić.

Po chwili wrócił zdyszany jak wyżeł służbowy.

- Mel... mel... mel...

- Nie jesteś młynek od kawy. Melduj porządnie.

- Mel... melduję, że ple... ple... ple...

- Nie jesteś czapla-papla.

- Że plecak jest roz-be... bebeszony, a łóżka w ogóle nie ma.

- Łóżka nie ma? Co to ma znaczyć?

- Nie ma.

- Słuchajcie no, trombony! Coście zrobili z Albinem i jego łóżkiem?

- Może on się utopił... - odezwał się nagle jakiś cichy, grobowo-kpiarski głos.

- E, tam... Był gruby i pływał jak ponton!

- Ale ponton może pęknąć...

- Ze śmiechu...

Słonecznik nie miał ochoty na żarty.

- Idziemy tyralierą nad jezioro - zawołał z przejęciem i wielkim zdenerwowaniem w głosie. - Przeszukamy przystań i trzciny... Nie daj Boże... Naprzód maaarsz!

W tym momencie do Słonecznika zbliżył się pan w pepitkowym ubraniu pykający fajeczkę.

- Przepraszam pana...

- A, nasz miły sąsiad! - wykrzyknął kierownik. - Pan detektyw Tutam... Świetnie, że pan się zjawia.

- To moja specjalność - rzekł z uśmiechem detektyw. - Muszę się zjawiać tam, gdzie mogę być potrzebny. Przyszedłem, bo chciałem z panem i z pana dzielną gromadką zabrać się do miasta, ale słyszę, że ma pan kłopoty.

- A tak. I to nie lada jakie. Zginął nam Albin, proszę pana. Właśnie ruszamy tyralierą przeczesać trzciny. Nad wodą wszystko możliwe.

- Niech pan odpędzi czarne myśli, panie kierowniku. Jestem przekonany, że go wkrótce odnajdziemy całego i żywego. Przecież mamy za sobą zieloną noc.

- Oby, oby... Proszę. Niech pan działa.

- No, doskonale. Najpierw parę pytań i to pod adresem nie tylko pana, ale i tych wszystkich obecnych tu zuchów. Powiedźcie mi, czym się odznacza Albin? Jak byście go scharakteryzowali?

- Ma stale niesamowitą melodię do jedzenia! - zawołał ktoś z szeregu.

- Jest gruby jak balon zaporowy - dodał ktoś drugi.

- I gdzie się tylko da, zaraz zasypia jak niedźwiedź.

- On się zakrywa kocem na głowę, żeby nie słyszeć pobudki.

- Tak. Te relacje potwierdzają moje spostrzeżenia - zakończył detektyw Tutam. - On się nie utopił, panie kierowniku. Moja detektywistyczna propozycja jest następująca: skorzystamy, proszę pana, z orkiestry, którą tu macie wśród was.

- A mamy, mamy! I to pierwszorzędną.

- Ano właśnie. Słyszałem ją nieraz. Dziś chodzi mi przede wszystkim o bęben. Kto gra na bębnie?

- Ja! - wysunął się piegowaty i krępy Felo.

- Słuchajcie no - rzekł Tutam. - Zwracam się do orkiestry. Obejdziecie grając teren kolonii, ale grać będziecie co tchu w płucach i co siły w rękach. Tak żeby martwego obudzić.

- Przepraszam... - wtrącił się zaniepokojony kierownik. - Przecież pan mówił, że Albin się nie utopił...

- Oczywiście, że nie - roześmiał się Tutam. - To jest przecież zwrot przysłowiowy. Chodzi o to, żeby Felek walił w bęben jak najgłośniej.

- Zrobi się - oświadczył dumnie Felo.

Po chwili orkiestra ruszyła. Trębacz trąbił, aż mu się brzuch wydał, akordeonista rozciągał akordeon tak, że mu drzewa zawadzały, a Felo walił pałką w skórę bębna: Bam, bam! Bam, bam, bam! Aż dziecięły i zające czmychały, gdzie pieprz rośnie. Za orkiestrą

kroczył Tutam i Słonecznik, a za nimi cała gromada. W ten sposób ten dziwny pochód przesuwiał się od domku do domku. W pewnej chwili między jednym a drugim „bam” z baraku stojącego już poza właściwym terenem kolonii rozległ się stłumiony głos: Ratuunku! Wszystkie oczy i kroki zwróciły się w tę stronę. Tutam podszedł do drzwi. Skobel był przetknięty patykiem w kształcie zgrabnie wystruganych widełek, stanowiących tak dobrze znaną zasadniczą część procy. Widełki sterczały w żelaznym uchu. Detektyw spojrzał bystro na to improwizowane zamknięcie, wyjął widełki i chowając je do kieszeni wszedł razem ze Słonecznikiem do środka. Oczom ich ukazał się następujący widok: wśród starych kajaków, bezzębnych grabi i motyk, na polowym łóżku o brezentowym naciągu szamotał się Albin wołając: Ratunku! Usiłował daremnie uwolnić się z piżamy, która pętała go jak kaftan bezpieczeństwa. Piżama była zaszyta i przyszyta mocną wędkarską żyłką do brezentu łóżka.

- Na pomoc! - ryknął Albin ujrzawszy przybyłych.

- Co ty tu robisz? - pytał zdumiony Słonecznik.

- Ja nie wiem... Ja spałem...

- Skąd się tu wziąłeś?

- Nie wiem... Położyłem się spać normalnie... u siebie. Obudziła mnie tu przed chwilą ta burza...

- Ha, ha! - śmieli się wszyscy. - To nie burza. Nie grzmoty. To Felo tak walił w bęben.

- Ratuunku! Ja się nie mogę ruszyć! Ja muszę... Jestem przypięty.

- Hej, tam! Kto ma scyzoryk? Odpruć go natychmiast.

Za chwilę zasapany i rozczochrany Albin stał drapiąc się w głowę przed kierownikiem i detektywem.

- Mój drogi. Ubieraj się i pakuj raz dwa, bo spóźnimy się jeszcze przez ciebie na pociąg - mówił podniecony kierownik.

- Tak, ale ja najpierw muszę... - mówił przestępując z nogi na nogę Albin.

Wkrótce cała wiara stała w dwuszeregu.

- No, chłopaki. Kto to zmalował? Kto przeniósł śpiącego Albina do tego lamusa? Ci „malarze” napędzili mi strachu, że nie daj Boże... Naprawdę myślałem już, że Albin pogrążył się w jeziorze...

- Nie w jeziorze, tylko we śnie jak niemowlę.

- No, kto go tak wyszykował? Liczę do trzech. Raz...

- Panie kierowniku... Przecież to była „zielona noc”...

- Zielona, zielona, ale przez ten wybryk możemy spóźnić się na pociąg.

- Jeżeli natychmiast wyruszymy, to się nie spóźnimy - wtrącił Tutam spoglądając na

zegarek i tak mówił dalej: - Panie kierowniku. Wprawdzie ten „zielony” żart przekroczył granice bezkarnej wesołości, ale przecież rzeczywiście „zielona noc” ma taryfę ulgową. Niechże więc pan nie tracąc czasu szybko wędruje ze swoim „wojskiem” na stację, a ja wkrótce nadjadę tam w konika... Chcę jeszcze poczynić tu pewne obserwacje, które, jak przypuszczam, pozwolą ustalić, kto śpiącego Albina przyszył do łóżka i wyniósł do lamusa. Potrzebny mi będzie do tych czynności służbowy. Przyjedzie on razem ze mną na stację. Ale z góry proszę o łagodny wymiar kary dla sprawców, bo powtarzam - „zielona noc” ma swoje prawa.

- No, dobrze, dobrze - powiedział udobruchany Słonecznik.

- Naprzód maarsz!

Po godzinie, na kilka minut przed odejściem pociągu z zarezerwowanymi dla kolonii przedziałami wszyscy spotkali się na stacji: zasapany Słonecznik ze spoconą gromadą, Tutam z Kazikiem - no, i oczekujący od dawna konwojenci: Tolek i Olek. Wkrótce wszyscy znaleźli się na właściwych miejscach. Pociąg ruszył. Wówczas Tutam zwrócił się do Słonecznika:

- Mam zwyczaj, proszę pana, wszystkie sprawy, w które się jako detektyw angażuję, doprowadzać do końca. Chciałbym więc i dziś postawić kropkę nad i, chociaż rzecz jest błaha i w gruncie rzeczy śmiechu warta. Ustaliłem już, kto przeniósł razem z łóżkiem śpiącego Albina do lamusa.

Do przedziału, w którym siedział Tutam pchali się już jeden przez drugiego zaciekawieni i rozśmieszeni chłopcy.

- Zawołajcie mi tu Olka i Tolka - powiedział Tutam.

Wkrótce zjawili się wezwani.

- Mój drogi - rzekł Tutam zwracając się do Olka i wyjmując z kieszeni widełki od procy, którymi był zatknięty skobel lamusa. - Mój drogi, te widełki to twoje dzieło, prawda?

- Nie - rzekł Olek niepewnie drapiąc się za uchem. - Pierwszy raz je widzę na oczy...

- Czyżby? A ty? - Tutam zwrócił się do Tolka. - Czy ty też widzisz je pierwszy raz w życiu?

- Nie. Nie pierwszy... Drugi...

- A kiedy widziałeś je pierwszy raz?

- Jak żeśmy zatykali skobel od lamusa...

- Ano, tak. To są właśnie sprawcy, panie kierowniku, tego „zielonego figla” - Tolek i Olek. No, i figiel byłby tylko figlem „zielonej nocy”, gdybyście w porę Albina obudzili.

- My... my... żeśmy o nim zapomnieli...

- Tak. Słowo honoru..

- Bo... bo pan kierownik kazał nam jechać z tymi plecakami.. Że to niby my na tym, na fortepianie...

- Lanie wam spuścić, urwipolcie - burczał kierownik. - Strachu mi napędziliście o Albina i o mało nie spóźniliśmy się wszyscy na pociąg. Uf! Koszulę mam mokrą... Wasze szczęście, że pan detektyw Tutam ujmuje się za wami i prosi o łagodny wymiar kary...

- Ja wnoszę prośbę - wmieszał się z uśmiechem detektyw - o całkowitą amnestię dla przestępców. Niech zielona noc będzie zieloną nocą.

- Niech żyje detektyw Tutam! - zawołali jak jeden mąż chłopcy.

- No, dobrze już, dobrze - powiedział Słonecznik. - Ale niech nam pan powie, jak pan ustalił, że autorami tej historii byli Tolek i Olek.

- Sprawa nader prosta. Po prostu banalna. Przy łóżku Olka pełno było strużyn z tych wideltek. Wyciął nimi te widelki z tej oto gałęzi. - To mówiąc Tutam pokazał odcięte kawałki rozwidlonej gałązki, z której Olek wystrugał widelki do swojej procy nie ukończonej już z powodu wyjazdu.

- Niepotrzebnieście go zatykali tym patykiem, bo on i tak obudził się dopiero na grzmot mojego bębna - powiedział na zakończenie Felo bębniasta. - Na moje Bum, bum! Bum, bum, bum!

## **Pstrągi**

### ***(Dwudziesta trzecia przygoda detektywa Tutama)***

Pani Matylda Perkalska, kobieta o złotym sercu i złotych rękach, spędzała wakacje wraz ze swym siostrzeńcem Januszem i foksterierkiem Floksem w przepięknej dolinie Soły. O złotym sercu świadczył jej stosunek do siostrzeńca, którym jako osoba samotna opiekowała się od lat jak rodzona matka. O złotych zaś rękach świadczyła jej praca. Była pierwszą krawcową spółdzielni „Elegantka”.

Pani Matylda zamieszkała w domku położonym na zielonym zboczu zbiegającym do Soły na wprost ogromnej zapory, za którą spiętrzało się ogromne, niebieskie jezioro. Woda przepuszczana przez zaporę wytwarzała prąd i ujarzmiona nie zagrażała powodziami. Spacerzy w dookolne góry, pełne strumieni, kalin i modrzewi, darzyły rozkosznym powietrzem i precudnymi widokami, otwartymi aż hen, po Babią Górę. Jeden z tych strumieni płynących w pobliżu nazywał się Żarnówka Mała, drugi - Duża, a trzeci w ogóle nie miał nazwy, choć bulgotał i śpiewał równie pięknie jak obydwie Żarnówki. W tej pięknej okolicy szukało wypoczynku wielu wczasowiczów. Znajdował się tu i ośrodek wypoczynkowy z piękną, strzeżoną pływalnią, a także rozbił swoje namioty obóz harcerski.

Pani Matylda była zapaloną turystką, więc ciągnąc za sobą wszędzie Janusza i Floksa,

z zapalem korzystała ze znakowanych tras, wiodących na zielone szczyty. Ale to „ciągnięcie” było powodem konfliktów, bo Janusz, w przeciwieństwie do Floksa, był urodzonym wodolazem i bardziej niż górskie szczyty pociągało go jezioro, pływalnia i kajaki. Urywał się więc cioteczce raz po raz i nawiązywał jakieś wodniackie przyjaźnie z tubylcami.

- Czy ty jesteś kaczką? - świdrowała mu dziurę w brzuchu pani Matylda, na co on odpowiadał:

- A czy ciocia jest wiewiórką?

Było więc trochę sporów, ale wynik ich był dobry, bo Janusz uprawiał i turystykę, i pływanie. Pani Matylda mimo tych sporów z dnia na dzień czuła się lepiej, toteż rozpromieniła się jak kwitnąca dalia, gdy dowiedziała się z miejscowej prasy, że do miejscowości tej przybył na wypoczynek detektyw Tutam. Był on jej dalekim kuzynem, taką „dziesiątą wodą po kisielu”, ale zawsze okazywał jej wiele sympatii, bo wzruszał go jej stosunek do Janusza. Nic też dziwnego, że w tej sytuacji zapragnęła nawiązać z nim kontakt i ugościć go należycie. Kontakt jako goniec miał nawiązać Janusz, a co do ugoszczenia... No, cóż? Los czasem bywa łaskawy. Gdy dnia tego pani Matylda wracała z samotnego spaceru, bo Janusz gdzieś jej czmychnął u wylotu jaru, którego dnem płynęła Żarnówka Mała, zatrzymali ją jacyś trzej chłopcy - jeden czarniawy, drugi rudawy, a trzeci kędzierzawy. Kędzierzawy zagaił:

- Może pani kupi ryby?

- Ryby? Co za ryby?

- Takie - powiedział czarniawy rozchylając ociekający wodą worek. Floks powąchał ostrożnie zawartość.

- To chyba płotki?

- Ale się pani zna! - wykrzyknął rudawy. - To są pstrągi!

- Pstrągi? A rzeczywiście... Mają cętki na bokach...

- No!

Pani Matyldzie błysnęła radosna myśl:

- Kupię te pstrągi. Uraczę tą królewską rybą detektywa Tutama. A ile za nie chcecie? - dodała głośno.

- Dwie dychy.

- No, dobrze. Ale musicie pójść ze mną, bo nie mam w co wziąć tych pstrągów.

Po chwili całe towarzystwo znalazło się w domku na zboczu.

- Jak pani chce - mówił kędzierzawy przekładając pstrągi z worka do miski - to jutro możemy pani też przynieść... Pstrągów w tej Żarnowce, choć Mała, dosyć!



- Jutro? No, dobrze. Przyniescie. Jeżeli ja nie wezmę, to może sąsiadka albo detektyw Tutam...

- Tutam? - zapytał z niepokojem rudawy. - To on tu jest?

- Jest. I prawdopodobnie będzie dziś u mnie na kolacji. Powiem mu o tych pstrągach.

- Dobra. To jutro o tej samej godzinie - mruknął czarniawy.

- O pierwszej - dorzucił kędzierzawy.

- Dobrze. A tu macie pieniądze za dziś.

Wkrótce po odejściu chłopców zjawił się Janusz.

- Widziałeś się z wujkiem Tutamem? - pytała zaaferowana pani Matylda.

- Widziałem. Przyjdzie o szóstej.

- To znakomicie. Mam dla niego pstrągi. Patrz!

- Skąd je ciocia ma?

- A kupiłam od chłopców. Przed chwilą poszli.

- Fajowo! Będzie ucztą! Tylko są trochę za małe. Te, co pływają pod zaporą, są jak konie. Ze trzy razy większe od tych.

- Nie szkodzi. I tymi uruczmy wujka Tutama.

Floks wspinał się przednimi łapkami na krawędź krzesła i wtykał nos do miski. Był psem, nie kotem, więc nie ruszył pstrągów.

Detektyw Tutam delektował się pstrągami.

- Cóż to za znakomita ryba! Naprawdę, moja kochana Matyldziu, uraczyłaś mnie po królewsku.

- Cieszę się, że ci smakują.

- Palce lizać - mówił Tutam - sięgając po trzeci kawałek. - Ale powiedz mi, moja kochana, gdzie ty je kupiłaś, bo to wcale niełatwa sprawa.

W tym momencie Floks nastawił uszy i zwrócił swój zmyślny pyszczek w kierunku okna. Warknął.

- No, co tam, Floks? - zapytał Tutam. - Miły piesek...

- Kota czuje - skomentował sprawę rzeczowo Janusz.

- Ano niełatwa - mówiła uśmiechając się pani Matylda - ale poszczyło mi się. Nawinęli mi się tacy mali sprzedawcy.

- Mali sprzedawcy? - Tutam zaciekawiał się wyraźnie. - Gdzie to było?

- A tu, w jarze. Na samym początku.

- W jarze Żarnówki Małej?

- Tak. Interesujesz się tą sprawą?

- Tak trochę.

- A co? Chciałbyś może kupić pstrągów? Ci chłopcy będą tu jutro o pierwszej. Umówiłam się, że przyniosą następną porcję.

- Tak? To bardzo dobrze. Przyjdę wobec tego jutro. Będę ci wdzięczny, jeśli ułatwisz mi ten zakup.

- Ależ oczywiście. Umawiałam się z nimi z myślą o tobie. Dla nas wystarczy tego, co pozostało z dzisiejszej uczy.

W tym momencie Floks z jazgotliwym ujadaniem rzucił się do okna. Tylnymi nogami stał na łóżku, przednimi oparł się na oknie. Sierść zjeżyła mu się na karku.

- Floks! Uspokój się! - strofowała go pani Matylda.

Janusz wyrżał przez okno.

- Kot rozrabia na drzewie. Na wróble poluje. Floks! Szkoda gardła na tego łazika. Spokój!

Tutaj wyszedł pod wieczór, gdy nad górami i jeziorem zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Szedł wolno, oddychał głęboko, bo było pięknie i świeżo. Teraz dopiero po swojemu zaczął rozmyślać nad tymi pstrągami.

- Ci chłopcy wyglądają mi na zwykłych kłusowników. Muszę się jednak zająć tą sprawą... Żle jest, gdy skorupka za młodu nasiąknie brakiem poszanowania przepisów.

Gdy znalazł się w swej kwaterze, wdał się w rozmowę z gospodarzem:

- Słyszałem, drogi panie, że grasują tu chłopcy wylapujący pstrągi w potokach. Jak oni to robią?

- Ano, idą potokiem w górę w trzech, dajmy na to, i grzebią rękami w jamach. Gdzie woda przeskakuje kamień, pod nią jest spokojna wnęka... Tam siedzą pstrągi. Jak który z chłopaków zmaca pstrąga, to wszyscy zastawiają jamę rękami, no i koniec. Już im taki pstrąg nie ucieknie, choć to ryba jak sprężyna.

- To oni tak godzinami moczą ręce w potoku?

- Ano, tak. Pod każdym kamieniem grzebią.

- Aha, aha... No, i łapią te pstrągi bez kart rybackich i bez wędek...

- Ano, bez.

- Czyli mali kłusownicy.

- Ano, tak. Tylko że i dużych nie brak.

- Jakby dużego kto od małego uczył, to by było lepiej.

- Ano, pewnie, pewnie... A są i tacy, co i w rezerwatach potrafią broić.

- Niestety.

Tutaj pożegnał się i poszedł do swego pokoju. Nie bardzo mu się chciało angażować w tę pstrągową historię, bo przyjechał tu na odpoczynek i sprawa była przecież banalnie prosta. Cóż? Należało tylko pójść jutro o pierwszej do kuzynki Matyldy i rozprawić się z umówionymi na tę godzinę dostawcami pstrągów. Tutaj westchnął:

- Cóż robić? Pójdę. Albo się człowiek czemuś poświęca, albo nie...

Nazajutrz już przed pierwszą był w domku na zielonym zboczu w pobliżu zapory.

- Cieszę się, że jesteś - mówiła serdecznie pani Matylda. - Dzięki tym pstrągom znów się widzę z wielkim człowiekiem.

- Nie przesadzaj, droga Matyldziu. A gdzie Janusz?

- Poszedł do ośrodka na pływalnię. To kaczka nie chłopiec. Dostawcy pstrągów już powinni być.

Tutaj spojrzął na zegarek.

- Rzeczywiście. Już jest po pierwszej.

- Zaraz się zjawią. Zależy im przecież na zarobku...

- Tak. Z pewnością. Ale wiesz co, Matyldziu? Mój detektywistyczny nos mówi mi, że oni dziś w ogóle nie przyjdą.

- Dlaczego? Przyjdą. Przecież mówiłam im, że będę miała nabywcę. Chyba, żeby nic im się nie udało złapać.

- Może jeszcze z innych powodów.

- Z jakich?

Tutaj zamiast odpowiedzi uśmiechnął się i puścił kłębek ze swej fajeczki. Czas płynął. Było już wpół do drugiej. Wtedy nagle zapiszczał Floks i popędził co tchu do ogrodu. Na ścieżce pojawił się Janusz.

- Jest moja kaczka - powiedziała pani Matylda.

- Jestem. Dzień dobry, wujku. Napływałem się jak pstrąg.

- Rzeczywiście. Jesteś wymoczony i czysty. Rzadko się widzi u obywateli w twoim wieku takie czyste ręce - mówił Tutaj pykając fajeczkę i bacznie obserwując ręce Janusza.

- To tak od kraula, ale i od wiosła też...

- Ano, tak. I od wody w potoku chyba tak samo.

- Pewno. Ale ja jestem jeziorowy, nie potokowy...

- Potoki cię nie interesują?

- Nie. W potoku nie można pływać.

- Ale za to można łapać pstrągi.

- Mnie tam takie łapanie nie obchodzi.

- Nie rozumiem - przerwała tę rozmowę pani Matylda - czemu oni nie przychodzą.

- A ja rozumiem. Wiedzą, że ja tu jestem i wolą nie ryzykować.

- Skąd mogą wiedzieć? O wczorajszej twojej wizycie wiedzieli, bo sama im powiedziałam, ale o dzisiejszej nic nie wiedzieli.

- Może i wiedzieli. Może ich kto uprzedził.

Janusz spod oka patrzył na Tutama, a Tutam na Janusza.

- No, to nic z tych pstrągów nie będzie - powiedział po chwili Tutam. - Byłem tego pewien. Pójdę już. Zbliża się pora mego obiadu.

Tutam pożegnał się i zszedł po zboczu. Chwilę się na dole zastanawiał, potem szybko poszedł w kierunku Ośrodka, gdzie był basen pływacki na jeziorze. Przyszedłszy tam udał się prosto do dyżurnego ratownika.

- Przepraszam pana. Jestem detektyw Tutam.

- Czym mogę panu służyć?

- Chodzi mi o pewną drobną sprawę. Czy pan miał tu dyżur od rana?

- Tak.

- A czy był tu dziś u pana na basenie i kajakach Janusz Perkalski?

- Janusz? Był. To zdolny pływak. Będą z niego ludzie.

- Jak długo był?

- Od rana do przerwy obiadowej.

- Do przerwy obiadowej... - powtórzył w zamyśleniu Tutam - Dziękuję panu. To tylko chciałem wiedzieć.

Detektyw szedł z powrotem piękną drogą wzdłuż brzegu jeziora. Był niezadowolony z siebie. Jego podejrzenie okazało się niesłuszne. Wyglądało na to, że Janusz nie był współnikiem łowców pstrągów. Poszlaka wymoczonych do czysta rąk okazała się błędna.

Nazajutrz rano kamienistym łożyskiem bezimiennego potoku posuwali się w górę jaru, grzebiąc rękami wśród kamieni, trzej mali kłusownicy: czarniawy, rudawy i kędzierzawy.

- No, tośmy kiwnęli nie byle kogo, bo samego detektywa Tutama - pogadywał chępliwie czarniawy.

- Łazi tam pewnie wzdłuż Żarnówki Małej i żaby płoszy! - dodał rudawy.

- Kiwnęliśmy, ale już było kiepsko. Na włosku wisiało - mówił kędzierzawy.

- Co wisiało?

- No, jak podsłuchiwałem wtedy pod tym oknem i jak ten zwariowany Floks zaczął szczekać. Jakby mnie przyłapali, to byśmy wsiąkli.

- Aleś się nie dał.

- Jak byś nie słyszał tej rozmowy, to byśmy wczoraj wmeldowali się z tymi rybami prosto w łapy Tutama.

- Uwaga! - krzyknął czarniawy. - Jest!

Wszyscy trzej zastawili wylot kamiennej wnęki rękami. Czarniawy po chwili trzymał już nad wodą w zaciśniętej garści cętkowanego pstrąga.

- Dobry początek. Jak zajdziemy od góry do tej łączki ze stertami siana, to każdy z nas będzie miał po pięć.

Na chwilę przerwali łowy, bo nad potokiem opalali się wczasowicze. Minęli ich jakby nigdy nic. Znowu zrobiło się pusto - tylko jakiś ptak szarpnął się w nadbrzeżnej kalinie. Coś zaszurało. Ucichło.

Obława posuwała się krok za krokiem w górę potoku. Gołe pięty i ręce przyzwyczyły się do zimnej wody. I czyste były jak nigdy. Takie ręce mają praczki po kilku godzinach prania.

W południe czarniawy miał pięć pstrągów, a rudawy i kędzierzawy po trzy.

- Widzicie? Ja dziś jestem pstrągowy król!

- Ano, jesteś, bo już kopki siana i dalej już iść się nie da i nie ma po co. Za płytko.

- No, to idziemy pod tę kopkę trochę pogrzać pedały, bo reumatyzmu można dostać od tej lodówki.

Trzej kłusownicy wyskoczyli na trawę ciepłą i rozkoszną. Szli w kierunku najbliższej kopki. - No, to i dziś będziemy mieli ze dwie dychy.

- Tylko pójdziemy gdzie indziej. Z Tutamem nie ma żartów - powiedział rudawy sadowiąc się pod kopką i wystawiając na słońce ręce i pedały. To samo zrobił czarniawy i kędzierzawy.

Wtedy stała się rzecz niesłychana. Kopka siana rozpadła się na boki, a z jej środka wyłonił się Tutam. Kłusownicy zbaranieli. Zza innych kopek wychylały się jakieś postacie. Kłusownicy poznali je po strojach. Byli to harcerze, których Tutam rozstawił na czatach wzdłuż trzech potoków.

- No, to porozmawiamy - odezwał się do kłusowników detektyw.